

MORD NA CESARZU
Gehenna Mikołaja II i jego rodziny

POTWÓR HOXHA
Zbrodnie czerwonego dyktatora Albanii

TAJEMNICA TARASA „BULBY”
Kim naprawdę był założyciel UPA?

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 10(116)/2022 PAŹDZIERNIK 2022

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO

ECZY

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515
Nr indeksu 296 031

Rosja 1917

APOKALIPSA REWOLUCJI

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



TYGODNIK OPINII DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

STRAŻNIK PAMIĘCI

ORLEN

PARTNER STRATEGICZNY

eprasa.pl ac2b0923d8

ADRES: **HISTORIA DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA
REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy:
Maciej Rosalak, Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Państwowe Muzeum Historyczne w Moskwie**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Moskwa, listopad 1933 r.

Jakow Ałksnis, szef lotnictwa sowieckiego, i płk Ludomił Rayski



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Zychowicz

Początek czerwonej zarazy

Sto pięć lat temu doszło do jednego z najważniejszych wydarzeń w historii ludzkości. A zarazem jednego z najbardziej przerażających. Mowa o rewolucji bolszewickiej w Rosji. Po raz pierwszy władzę w jakimś państwie przejęli komuniści. Wyznawcy najbardziej zbrodniczej ideologii, jaką kiedykolwiek wymyślił człowiek.

Komunizm jest często porównany do śmiertelnej zarazy. W porównaniu tym nie chodzi o rzucenie pustej obelgi. To ścisły opis rzeczywistości. Gdy bolszewikom udało się umocnić władzę w jednym państwie, rozpoczęli globalną ekspansję. To nie był przypadek, że w herbie Związku Sowieckiego sierp i młot zostały wpisane w planetę Ziemię.

Ambicją komunistów było bowiem opanowanie całego świata. A ściślej – całej ludzkości. Zamiana wolnych ludzi w niewolników czerwonego molocha. Wszechwładnego totalitarnego państwa potwora. Ten chory eksperyment całe szczęście zakończył się fiaskiem. Komunizm nie zwyciężył. W 1991 r. Związek Sowiecki przestał istnieć.

Po drodze udało mu się jednak zainfekować wiele państw świata. Chiny, Kambodżę, Koreę, Kubę, Polskę, Czechosłowację, połowę Niemiec, Somalię, Bułgarię i wiele innych krajów na kilku kontynentach. Według „Czarnej księgi komunizmu" pochłonęło to życie 100 mln ludzi. Kolejne setki milionów zostały skrzywdzone i zdeprawowane. Przetrącony został kręgosłup całych narodów.

W tym numerze „Historii Do Rzeczy" piszemy, jak to wszystko się zaczęło. W jaki sposób Leninowi, Trockiemu i Dzierżyńskiemu udało się przechwycić władzę. Jak potraktowane zostały stare rosyjskie elity, na czele z cesarzem Mikołajem II, jego żoną, synkiem i córkami. Piszemy o Polakach, którzy w 1917 r. znaleźli się w oku cyklonu.

Dzieje rewolucji bolszewickiej są najlepszym dowodem na to, że wielką historią rządzą drobne przypadki. Naprawdę niewiele brakowało do tego, żeby podczas wojny domowej białym udało się zdławić rewolucję. I powiesić Lenina na suchej gałęzi. Tak, to wszystko, o czym napisałem wyżej, wcale nie musiało się wydarzyć. Szkoda. ©℗

eprasa.pl ac2b0923d8



/ TEMAT NUMERU

.6–9 SEAN MCMEEKIN
Klucz do sukcesu czerwonych

.10–13 MIKOŁAJ IWANOW
Trzy kłamstwa o Leninie

.14–16 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Dom zła

.18–21 MICHAŁ PATRYK SADŁOWSKI
Śmiertelne błędy białych

.22–24 TOMASZ STAŃCZYK
W służbie bolszewików i przeciw nim

/ CZASY I LUDZIE



.26–29 SŁAWOMIR KOPER
Sierakowski: męczeński krzyż szubienicy

.30–33 ARKADIUSZ KARBOWIAK
„Bulba" i OUN-M

.34–36 JAKUB OSTROMĘCKI
Krew i lincz w USA

.37–39 PIOTR SEMKA
Karol: siedem dekad drogi do tronu

.40–43 BLENDI FEVZIU
Szaleństwa „małego Stalina"

.44–46 LESZEK LUBICKI
Bitwa Piastów nad Mozgawą

.48–51 JAROSŁAW SYRNYK
Skąd się wzięli Ukraińcy?

.52–55 MACIEJ ROSALAK
Polska miłość do trzech Gallów

.56–59 MAREK GAŁĘZOWSKI
Józef Mączka: poeta Żelaznej Brygady



/ CO CZYTAĆ

.60–63 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Talenty Wiesława Dymnego

/ FELIETONY

.68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Dziaders i „Dziady"

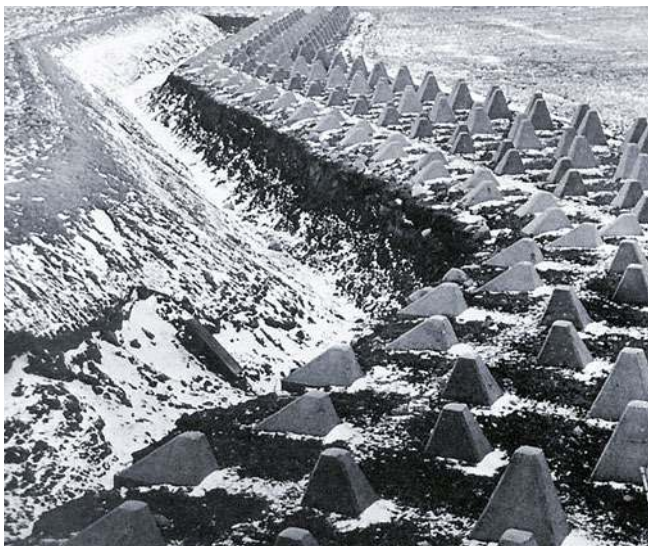
.69 PIOTR SEMKA
Gdy miasta płonęły jak zapałka

eprasa.pl ac2b0923d8

/ KRESY

.70–73 TOMASZ STAŃCZYK
Unia po Grunwaldzie

/ BATALIE I WODZOWIE



.74–77 MACIEJ ROSALAK
Wojna na niby

/ TECHNIKA



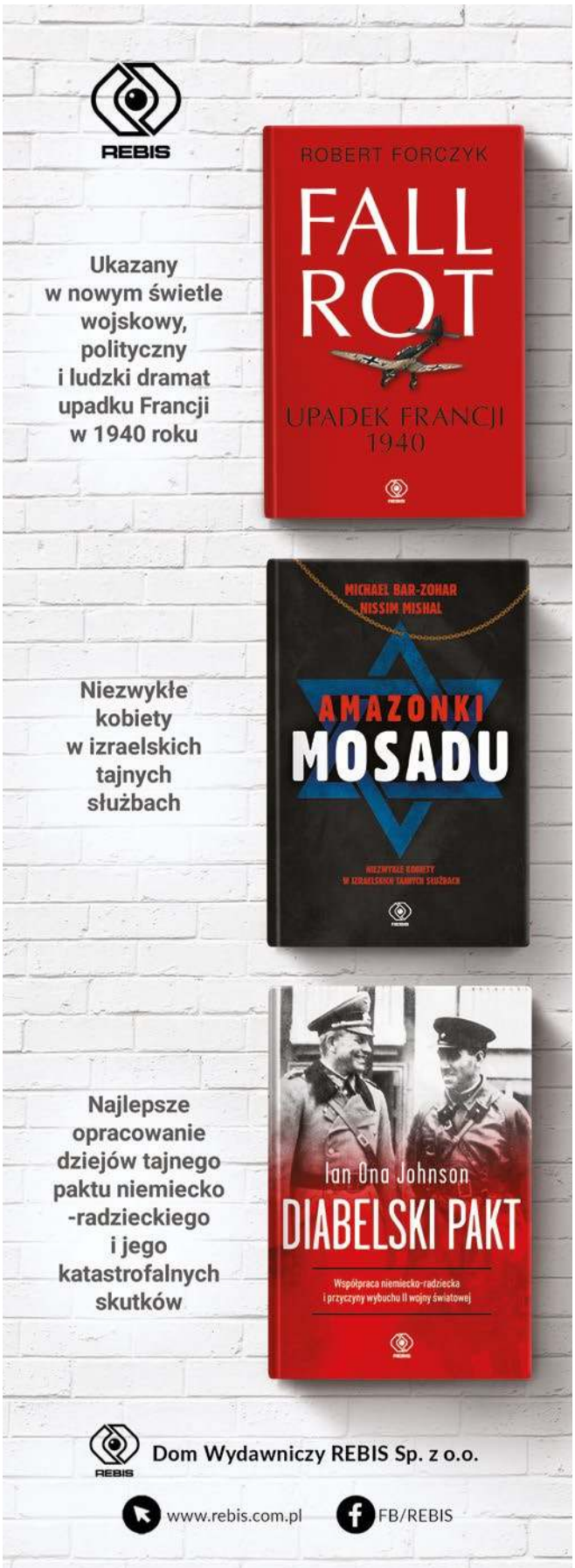
.80–81 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Traktory



/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
1944. Przerwany film reżysera Krawicza

REKLAMA



eprasa.pl ac2b0923d8



Rewolucja bolszewicka na propagandowym obrazie
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wywiad / Z prof. Seanem McMeekinem, amerykańskim sowietologiem, autorem książki „Rewolucja rosyjska. Nowa historia”

rozmawia Piotr Włoczyk

Klucz do sukcesu czerwonych

– Gdy bolszewicka propaganda antywojenna niszczyła morale armii, Kiereński bezmyślnie zarządził w czerwcu 1917 r. dużą ofensywę. W jej trakcie bolszewicy zaczęli tworzyć rady żołnierskie niemal na pierwszej linii frontu – mówi amerykański sowietolog

PIOTR WŁOCZYK: Co planowali Niemcy, przewożąc Lenina słynnym pociągiem? Czy naprawdę mogli wówczas zakładać, że ten człowiek wysadzi Rosję w powietrze?

PROF. SEAN MCMEEKIN: Raczej nie. Niemcy postanowili po prostu wysłać do Rosji bardzo obiecującego rewolucjonistę i zobaczyć, co uda mu się tam zdziałać. Na pewno jednak wiązali z nim spore nadzieje, bo agenci niemieccy w środowisku rosyjskiej lewicy przekonywali swoich mocodawców, że Lenin jest najbardziej radykalny i najskuteczniej rozsadzi morale w rosyjskiej armii. Od razu po jego powrocie do Rosji, w kwietniu 1917 r., partia zmieniła program. Bolszewicy, którzy działali w Rosji, byli zdziwieni, że Lenin optował jawnie za hasłem wycofania się z wojny. Większość członków partii nie była na to wówczas gotowa. Jednak Leninowi udało się postawić na swoim i antywojenna propaganda zaczęła błyskawicznie zalewać rosyjski front.

Niemcy byli zaskoczeni, że ich agent jest tak skuteczny?

Bez wątpienia. Lenin miał siać chaos, ale to, co udało mu się osiągnąć, zadziwiło Niemców. Kierownictwo niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych wiązało z Leninem i bolszewikami największe nadzieje i bardzo mocno popierało tę siłę rewolucyjną. Niemieccy generałowie nie byli jednak aż tak entuzjastycznie nastawieni do wykorzystania Lenina jako rozsadnika chaosu.

Dlaczego? Czyżby nie chcieli upadku swojego wielkiego wroga na Wschodzie?

Oczywiście, że chcieli wygrać z Rosją, ale bali się równocześnie, że może dojść do efektu bumerangu. Obawiali się, że rewolucyjne nastroje mogą się też pojawić w szeregach niemieckiej armii. I mieli rację, bo faktycznie tak się stało i w 1918 r.

eprasa.pl ac2b0923d8





Feliks Dzierżyński wraz ze swoimi współpracownikami

FOT. WIKIMEDIA COMMONS

bolszewicka propaganda zainfekowała też niemieckich żołnierzy.

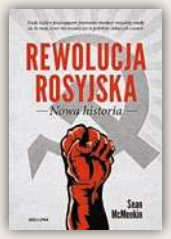
Co ciekawe, gdy okazało się, że bolszewicy przejęli władzę, niemieckie ambasady w Europie dostały z Berlina wytyczne, by nie obnosić się za bardzo z radością z powodu rewolucji w Rosji. Chodziło oczywiście o to, by nie dyskredytować Lenina, który i bez tego uważany był przez aliantów, a także przez bardzo wielu Rosjan za niemieckiego agenta.

Dlaczego rząd Kiereńskiego nie zdusił tej rewolucji w zarodku? Czyżby aż tak zlekceważył rewolucjonistów?

Nie ulega wątpliwości, że Kiereński kompletnie nie docenił bolszewików. Przyjrzyjmy się choćby reakcji Rządu Tymczasowego na tzw. kryzys lipcowy z 1917 r., gdy bolszewicy podjęli pierwszą poważną próbę zorganizowania puczu. Kiereński miał już wtedy zebrane solidne dowody na współpracę bolszewików z Niemcami. Przygotowywano wielki proces pokazowy. Jednak nie tylko nie doszło do procesu, lecz także Kiereński objął czołowych bolszewików amnestią!

To brzmi jak żart.

To się nie mieści w głowie, ale Kiereński bał się jednak równolegle przewrotu sił prawicowych i uznał, że nie należy za bardzo antagonizować lewicy. Nie tylko więc objął bolszewików amnestią, lecz także pozwolił im na wzięcie broni z rządowego arsenału! To było kompletne szaleństwo, ale Kiereński był święcie przekonany, że uda mu się temperować bolszewików za pomocą swojej armii. Tym samym przecenił własne możliwości i kompletnie nie docenił determinacji i skuteczności Lenina.



Czy ta rewolucja była doskonale zaplanowana i przeprowadzona czy może jednak Lenin miał mnóstwo szczęścia i – jak już ustaliliśmy – jego przeciwnicy kompletnie go zlekceważyli?

Jedno i drugie. Bolszewicy dobrze wybrali moment, bo musieli uderzyć przed wyborami przypadającymi w listopadzie. Wiedzieli bowiem, że je przegrają. Sprawnie zidentyfikowali też kluczowe punkty w stolicy, które musieli opanować. Mieli przy tym dużo szczęścia, bo bardzo niewiele zabrakło, by przegrali wówczas kluczową bitwę na przedpolach Piotrogrodu, która mogła zakończyć ich egzystencję. Później pokazali jednak, że potrafią walczyć. O Moskwę stoczyli przecież prawdziwy bój i zmiażdżyli tam swoich przeciwników.

Dlaczego bolszewicy wygrali?

Lenin rozumiał lepiej niż jego konkurenci na lewicy, że rewolucja musi być uzbrojona. Wielu innych socjalistów uważało, że wojna światowa jest tragedią, która przynosi niepotrzebne cierpienia. Lenin z kolei uważał, że to doskonała okoliczność dla rewolucjonistów. Rządy państw europejskich były – z jego perspektywy – na tyle niemądre, że dały masom broń. W 1917 r. bolszewicy wykonali ogromną pracę propagandową w rosyjskiej armii. To wówczas zyskali kluczowe poparcie, szczególnie w szeregach oddziałów służących na froncie północnym w okolicach Piotrogrodu, a także wśród marynarzy floty bałtyckiej. Ponadto osłabiali siły zbrojne przeciwnika swoją propagandą obiecującą pokój i przedstawiającą wojnę jako starcie imperialistów. Bolszewicy unicestwili wolę walki armii rządowej, przekonując jednocześnie wystarczająco dużo oficerów i żołnierzy, by wstąpili w ich szeregi.

Jaką rolę odegrały tu pozostałe dwa hasła propagandowe?

eprasa.pl ac2b0923d8

Jeżeli chodzi o „pokój, ziemię i chleb", to realizacja tych dwóch pozostałych postulatów nie wyglądała najlepiej. Chleba tak naprawdę nie mieli do rozdania. Ziemię z kolei planowali znacjonalizować, a chłopom nie za bardzo o to chodziło. Postulat pokoju był jednak bardzo nośny i znacząco przyczynił się do przeciągnięcia mas na stronę bolszewików.

Co takiego miał w sobie Lenin – pod względem talentów politycznych – że okazał się tak skuteczny?

Był pragmatyczny i elastyczny, ale przede wszystkim był bezwzględny. Uchwycenie władzy było jego absolutnym priorytetem i był on gotów zrobić wszystko, co konieczne, by do tego doprowadzić. Lenin dosłownie szedł po trupach, a wielu jego politycznych przeciwników nie było na to gotowych. Dla niego podpalenie kraju nie było problemem, jeśli przybliżało go do celu. Bardzo niewielu socjalistów było gotowych rozpętać wojnę domową, bazując na klasach społecznych, godząc się tym samym na śmierć milionów.

To była zupełnie nowa „jakość" w polityce?

Tak. Dla Lenina nie było żadnych granic w terroryzowaniu, mordowaniu i kłamaniu. Druga strona nie była gotowa pójść tak daleko w walce o Rosję. Przykładowo to, co zrobił Kiereński, odpuszczając bolszewikom po tzw. kryzysie lipcowym, było kompletnie obce Leninowi. On swoich przeciwników niszczył do samego końca, nie mając dla nich żadnych względów.

Na ile kluczowa była rola Lwa Trockiego w budowie bolszewickiej machiny wojennej?

Jego rola zarówno w czasie rewolucji, jak i w tworzeniu Armii Czerwonej jest trudna do przecenienia. Tworzenie bolszewickich sił zbrojnych nie szło początkowo łatwo, ponieważ korpus oficerski w Rosji był z punktu widzenia bolszewików bardzo podejrzany. Innego wyjścia jednak nie było – czerwoni musieli na moment odłożyć ideologię i podejść do sprawy pragmatycznie. Bez specjalistów wojskowych z carskiej armii nie dałoby się po prostu stworzyć skutecznej machiny wojennej. Bolszewicy nie ufali tym oficerom politycznie, ale postawili nad nimi swoich komisarzy i w ten sposób upewnili się, że panują nad sytuacją.

Trocki musiał przezwyciężyć kilka problemów. Dezercje były najbardziej palącym z nich, w czym zresztą ogromną rolę odegrali sami bolszewicy, wzywając żołnierzy armii rosyjskiej do ucieczki z bronią w ręku. I o ile czerwoni wcześniej agitowali za zniesieniem kary śmierci za dezercję, o tyle, gdy problem ten zaczął dotykać ich armii, nagle zmienili zdanie i wprowadzili u siebie taką karę. Trocki był zresztą znany z zaprowadzania w szeregach swojej armii bardzo brutalnej dyscypliny.

Bolszewicy zawsze byli radykalni, ale widać, że na początku pragmatyzm często wygrywał z ideologicznym radykalizmem, czego przykładem było choćby wspomniane przez pana korzystanie z usług „carskich" oficerów.

Lenin nie tylko doskonale znał prace Marksa, lecz także orientował się w pismach Clausewitza. Rozumiał, że koniec końców wygrywa strona silniejsza. I dlatego podchodził do sprawy pragmatycznie. Czekał z uderzeniem do momentu, aż będzie miał wystarczająco duże siły. Gdy w 1918 r. Lenin budował swoje komunistyczne państwo, bolszewicy podpisali układ z Niemcami, który pozwalał im się skupić na likwidowaniu zagrożenia na froncie wewnętrznym. Gdy jednak wiosną tamtego roku bolszewicy niepokoili się niemiecką ofensywą, wysyłali sygnały do aliantów zachodnich, by tamci przysłali do Rosji swoje oddziały. Później oczywiście przedstawiali interwencję tych państw jako imperialistyczną eskapadę, ale gdy w krytycznym momencie czuli, że mogą zginąć, nie wahali się wyciągnąć ręki – choć ostatecznie nic z tego nie wyszło – do „państw kapitalistycznych". Bez wątpienia bolszewicy byli bardzo elastyczni. Zrobiliby wszystko dla uchwycenia władzy.

Zdaje się, że rok 1918 był absolutnie kluczowy z punktu widzenia budowy sowieckiego imperium. Bolszewicy bardzo zręcznie uciekali wtedy spod topora.

To prawda, rok 1918 rozegrali bardzo dobrze i w ciągu tamtego roku ugruntowali swoją władzę. W ciągu pierwszego roku rządów bolszewicy byli w zasadzie na łasce Niemiec, którzy mieli na terenach zachodniej Rosji niemal milionową armię, trzymającą front od Bałtyku do Ukrainy. Na ironię losu zakrawa fakt, że amerykańska interwencja na Zachodzie, którą Woodrow Wilson przedstawiał jako ratowanie demokracji, sprawiła, że poprzez upadek Niemiec uratowany został komunizm. To oczywiście w żadnej mierze nie był cel Wilsona, ale niestety taki był skutek amerykańskiej interwencji: po kapitulacji Niemiec bolszewicy mogli się poczuć suwerennym bytem.



Bolszewicki sztandar popierający czerwony terror

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl ac2b0923d8



Ogrodzenie i obozowa wieża strażnicza w łagrze Perm-36 FOT. GERALD PRASCHL/WIKIPEDIA

Wróćmy do początku 1917 r. Jak niepopularny był car, gdy został zmuszony do zrzeczenia się tronu?

Wiele osób ma problem ze zrozumieniem dynamiki zdarzeń na początku rewolucji. Pod koniec 1917 r. bolszewicy byli na „fali" ze swoją antywojenną propagandą. Jednak na początku tamtego roku krytyka cara płynęła z kręgów, które uważały, że wojna nie jest toczona wystarczająco ostro. Car był krytykowany za to, że sam przejął kontrolę nad dowodzeniem. Na tym tle dochodziło do intryg, wielu ludzi z kręgów władzy było przekonanych, że żona Mikołaja II – z pochodzenia Niemka – mogła w rzeczywistości sprzyjać wrogowi Rosji. Rok 1917 zaczął się więc od zmasowanej fali krytyki cara płynącej ze strony patriotycznej, choć oczywiście lewica również nie przestawała atakować caratu. Wszystkie te wspomniane intrygi wydatnie osłabiły tron.

Rewolucja lutowa była jednak chyba dla wszystkich ogromnym zaskoczeniem.

Tak, reżim upadł błyskawicznie i był to wielki szok. Alianci Rosji kompletnie się tego nie spodziewali. Niemcy zresztą również nie sądzili, że car może upaść tak szybko. Nawiasem mówiąc, Berlin nie szczędził wsparcia dla rosyjskich przeciwników caratu, popierał, jak tylko mógł, nastroje rewolucyjne, np. zachęcając do jak największych obchodów rocznicy krwawej niedzieli, do której doszło w styczniu 1905 r. Co ciekawe, Niemcy wydali dużo więcej pieniędzy na tę operację w styczniu 1916 r. niż w styczniu 1917 r., kiedy uznali, że te działania nie przynoszą spodziewanych rezultatów...

Tymczasem nieoczekiwanie władza carska straciła kontrolę nad ulicami Piotrogrodu, a w tamtejszym garnizonie doszło do buntu. Car zrzekł się tronu, będąc przekonany, że ten spektakularny gest pomoże uspokoić sytuację. Tymczasem politycy z Piotrogrodu, którzy przekonywali generałów, że abdykacja pozwoli im zapanować nad tłumami, kompletnie rozminęli się z rzeczywistością. Rząd Tymczasowy nie był w stanie zapanować nad krajem, a radykalni działacze lewicowi zdobywali dla siebie coraz więcej władzy. Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich, realizująca radykalny program, torpedowała wysiłki Rządu Tymczasowego i nawet sama starała się dowodzić armią.

Jaką realną siłę miał Rząd Tymczasowy pod kierownictwem księcia Gieorgija Lwowa, a następnie Aleksandra Kiereńskiego?

Władza Rządu Tymczasowego była słaba, a na dodatek siły polityczne tworzące go nieustannie się ze sobą ostro ścierały. Gdy bolszewicka propaganda antywojenna niszczyła morale armii, Kiereński bezmyślnie zarządził w czerwcu 1917 r. dużą ofensywę. W jej trakcie bolszewicy zaczęli tworzyć rady żołnierskie niemal na pierwszej linii frontu. Kiereński tragicznie źle ocenił sytuację.

Żołnierze byli zmęczeni po trzech latach wojny i widzieli, że armia ledwo się trzyma?

Co ciekawe, o ile morale było bardzo niskie, o tyle zasoby armii rosyjskiej były jeszcze wówczas całkiem spore. Nie brakowało artylerii i amunicji. Pod względem zaopatrzenia Rosja była w niezłej sytuacji wojskowej, ale żołnierze nie mieli zamiaru brać udziału w ofensywie. Wykazywali oni chęć obrony samej Rosji, jednak nie chcieli – jak było w tym przypadku – atakować terytorium Austro-Węgier.

Dlaczego więc Kiereński wydał tak fatalny w skutkach rozkaz?

Wydaje się, że powodem była po prostu chęć dotrzymania słowa – Rosjanie zobowiązali się wcześniej wobec aliantów zachodnich, że przeprowadzą taką ofensywę. Kiereński chciał tego dokonać za wszelką cenę. W efekcie bardzo pomógł bolszewikom rozbić rosyjską armię.

Kolejnym fatalnym błędem było wejście przez niego w konflikt z gen. Ławrem Korniłowem, który był wówczas głównodowodzącym armii. Kiereński stracił przez to poparcie armii, a morale jej żołnierzy znalazło się na dnie. Sytuacja stała się tak zła, że bolszewicy byli w stanie do jesieni dokonać czegoś, co można w zasadzie nazwać „wrogim przejęciem" rosyjskiej armii.

Co było największym osiągnięciem propagandowym bolszewików?

Trzeba przyznać, że propaganda była ich bardzo mocną stroną. Myślę, że jednym z ich największych sukcesów było w tym kontekście kłamliwe przedstawienie swoich największych przeciwników. Biali bowiem wcale nie chcieli odbudowy caratu. Chcieli oni Rosji demokratycznej, której kierunek nada w przyszłości konstytuanta. Bolszewicy przekonali jednak masy, że ich przeciwnicy chcą powrotu starego systemu. Zresztą do dziś wielu ludzi powtarza tę nieprawdę, nie do końca być może zdając sobie sprawę, że to echo bolszewickiej propagandy.

Jak pan ocenia wybór, którego dokonał wówczas Józef Piłsudski?

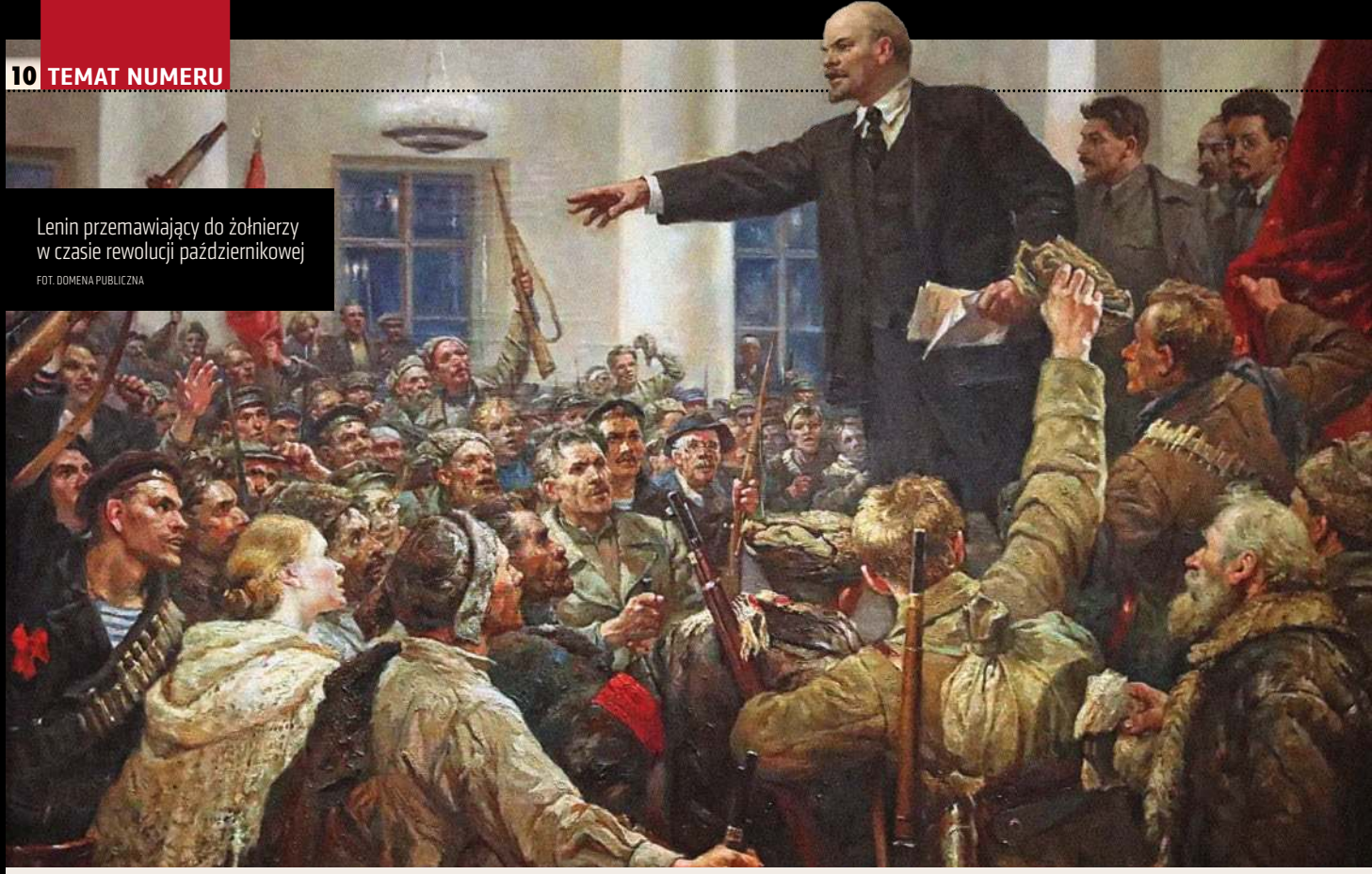
Polski przywódca obawiał się, że biali przywrócą Rosji siłę i będą się starali odbudować stare imperium. W związku z tym stwierdził, że to większe zagrożenie dla Polski niż bolszewicy. I trzeba jasno powiedzieć, że takie stanowisko nie było oderwane od rzeczywistości. Wtedy nikt nie wiedział, w którą stronę zaprowadzi świat bolszewizm, bo mało kto dawał bolszewikom duże szanse na utrzymanie władzy w Rosji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Sean McMeekin jest amerykańskim historykiem i sowietologiem, specjalizuje się w historii Rosji i Europy Środkowo-Wschodniej. W Polsce nakładem wydawnictwa Bellona ukazała się jedna z jego najbardziej znanych książek pt. „Rewolucja rosyjska. Nowa historia".

eprasa.pl ac2b0923d8



Lenin przemawiający do żołnierzy w czasie rewolucji październikowej
FOT. DOMENA PUBLICZNA

1870–1924 / CV wodza rewolucji bolszewickiej

Trzy kłamstwa o Leninie



Mikołaj Iwanow

/ Żaden był z niego „Rosjanin” oraz „przyjaciel ludu” – i wcale nie zmarł z powodu „nawału obowiązków”

Władimir Iljicz Lenin (prawdziwe nazwisko Uljanow) był niewątpliwie jednym z czołowych architektów historii ludzkości w XX w. Za życia szanowany i ślepo popierany przez zwolenników bolszewizmu, znienawidzony i oczerniany przez przeciwników komunistów i ich ofiar. Po śmierci przekształcony w bóstwo przez komunistów świata. Jego zabalsamowane ciało do dziś leży w majestatycznym mauzoleum na placu Czerwonym w Moskwie, mimo licznych apeli, aby wreszcie pochować ciało twórcy wielkiej rewolucji rosyjskiej.

Kult jego osoby przekroczył wszystkie rozsądne granice. Jego pomniki wzniesiono w centrum każdego miasta ZSRS. Do dziś jego pomniki są nawet we Włoszech, wzniesione przez jego włoskich wielbicieli. Po upadku ZSRS jedynie w Ukrainie w czasie tzw. leninopadu obalono 1324 pomniki Lenina. Kim był ten człowiek

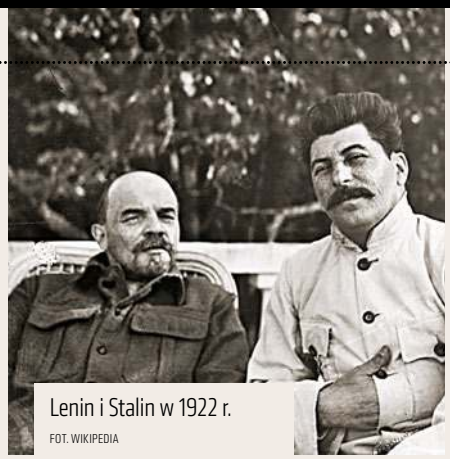
eprasa.pl ac2b0923d8

w rzeczywistości? Na czym polegała i nadal polega dla współczesnych komunistów jego charyzma? Czy rzeczywiście, gdyby nie zmarł kilka lat po rewolucji, nie doszłoby do utworzenia jednego z najbardziej krwawych i bezwzględnych totalitaryzmów świata? Czy był zaprzeczeniem Stalina, jak twierdzą niektórzy współcześni komuniści?

Lenin stworzył ruch bolszewicki (później komunistyczny), który na początku stulecia wyłonił się z rosyjskiej socjaldemokracji i stał się wyrazem skrajnie radykalnych dążeń i bezkompromisowej walki wielu pokoleń rewolucjonistów rosyjskich. Połączenie zachodniego komunizmu naukowego (marksizmu) i rosyjskich tradycji powstańczych okazało się wybuchowym spoiwem, wyjątkowo skutecznym środkiem walki z caratem, zakończonej ostatecznym triumfem w postaci jednej z najbardziej krwawych w swych skutkach rewolucji w historii ludzkości.

Dla Polaków Lenin uosabia genetyczną ciągłość między „białym" i „czerwonym caratem", między imperium carów Romanowów i bolszewickim systemem Lenina – Stalina. Rzeczywiście, obydwa reżimy imperialne dążyły do wymazania Polski z mapy Europy, do zniewolenia Polaków, do ich rusyfikacji lub sowietyzacji. Ale między tymi dwoma wrogami Polski istniała zasadnicza różnica. O ile carat nie ukrywał swych antypolskich intencji, otwarcie mówiąc o niezdolności Polaków do niepodległego bytowania, o tyle bolszewicy stosowali wobec Polaków wyrafinowaną demagogię, mówiąc o braterstwie, przyjaźni, solidarności robotniczej. Lenin i jego partia już w 1917 r. teoretycznie uznali prawo narodu polskiego do niepodległości, ale była dla nich to niepodległość jedynie dla ich polskich bolszewików.

Wbrew upowszechnianej przez bolszewików po 1919 r. tezie o ich decydującej roli w odzyskaniu przez Polskę niepodległości przewidywano dla Polaków (po przyszłej, „nieuniknionej" rewolucji światowej) jedynie ograniczoną i w szczególny sposób kontrolowaną autonomię w „wolnej socjalistycznej wspólnocie narodów". W przygotowanej przez Lenina rezolucji Wszechrosyjskiej Konferencji Organizacji Wojskowych RSDPR(b), która odbyła się w Piotrogrodzie w dniach 29 czerwca–6 lipca 1917 r., czytamy: „Potrzebna [...] szeroka autonomia terytorialna" (rzecz jasna, nie tylko dla samej Polski). Ten punkt widzenia istoty samookreślenia się narodu polskiego dominował także w praktycznej działalności rządu sowieckiego w pierwszym okresie porewolucyjnym (mniej więcej do podpisania traktatu pokojowego w Rydze w 1921 r.).



Lenin i Stalin w 1922 r.
FOT. WIKIPEDIA

Wbrew rozpowszechnionej w Polsce opinii o prawie identyczności pojęć „Rosjanin" i „bolszewik" partia Lenina była zasadniczo antyrosyjska. Lenin w kierownictwie bolszewików był otoczony prawie wyłącznie przez nie-Rosjan, a przewodniczącym frakcji bolszewickiej w Dumie rosyjskiej był Polak – Roman Malinowski. W swej walce partia bolszewicka opierała się przede wszystkim na poparciu mniejszości narodowych. Nie przypadkiem Aleksander Sołżenicyn, który w ostatnich latach swego życia przekształcił się z czołowego antykomunisty w czołowego nacjonalisty rosyjskiego, wielbiciela Władimira Putina, nazywał rewolucję bolszewicką 1917 r. „wielkim pogromem narodu rosyjskiego", wymieniając w pierwszej kolejności jako pogromców Rosjan: Żydów, Polaków i Łotyszy.

Kłamstwo pierwsze

Sam Lenin wbrew rozpowszechnionej opinii też nie był Rosjaninem. Jego narodowość za czasów Związku Sowieckiego była jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic państwowych. Oficjalnie był czystym Rosjaninem. Po upadku ZSRS okazało się, że wódz był w jednej czwartej Żydem, w jednej czwartej Niemcem, w jednej czwartej Kałmukiem i jedynie w jednej czwartej Rosjaninem. Jego żydowski dziadek po matce, Izrael Blank, przeszedł na prawosławie i przyjął imię Aleksander. Jego babcia po matce, Anna Blank, urodziła się w rodzinie Johanna Grosschopfa, Niemca, którego rodzina do Petersburga sprowadziła się pod koniec XVIII w. z północnych Niemiec. Jak twierdzi badacz niemiecki Gustaw Kruze, rodzina Grosschopfow znana jest w Niemczech z licznych przedstawicieli nauki i kultury, z wybitnymi pisarzami – braćmi Henrykiem i Tomaszem Mannami. Według wdowy po Leninie, Nadieżdy Krupskiej, dziadek Lenina ze strony ojca był ochrzczonym Kałmukiem i jedynie babcia po stronie ojca mogła poszczycić się pochodzeniem rosyjskim.

Rządząca w Rosji monarchia Romanowów opierała się przeważnie na rosyjskiej mniejszości imperium... Nie pomyliłem się, właśnie „mniejszości". Rosjanie stanowili w tym kraju jedynie 45 proc. ludności, natomiast nie-Rosjanie – 55 proc. Dlatego walka o prawa niemal 150 nierosyjskich narodów i narodowości, zamieszkałych w imperium, od samego początku istnienia bolszewizmu stała się dla Lenina jednym z głównych, a może nawet najważniejszym narzędziem obalenia caratu. Nie nacjonalizm, lecz tzw. internacjonalizm proletariacki stał się głównym hasłem partii Lenina.

Bolszewizm pod wodzą Lenina, będąc ruchem totalitarnym, przyznawał sobie monopol na wiedzę o sposobach rozstrzygania wszystkich podstawowych problemów ludzkiej egzystencji. Wódz bolszewików uznał więc również, że w sposób „najbardziej demokratyczny" i skuteczny potrafi rozwiązać raz na zawsze wszystkie skomplikowane problemy narodowościowe imperium rosyjskiego. Był on jakby przywódcą zbuntowanej rzeszy narodów nierosyjskich imperium. Znamiennye jest, że w czasie wojny domowej 1918–1822 r. po stronie bolszewików walczyli przeważnie przedstawiciele mniejszości narodowych, natomiast po stronie „białych" prawie wyłącznie sami Rosjanie.

Lenin uparcie dążył do przekształcenia „Rosji narodu rosyjskiego" w państwo bez określonej nacji uprzywilejowanej, rządzącej – w ojczyznę światowego proletariatu. Sprzeciwił się nawet koncepcji przewidującej uznanie któregoś z języków za język państwowy obowiązujący w całym kraju. Wspólnota ekonomiczna – stwierdzał – sama wyodrębni ten język nauczania, którego znajomość będzie korzystna i nieodzowna dla większości.

eprasa.pl ac2b0923d8



Malarskie przedstawienie pochodu bolszewików FOT. DOMENA PUBLICZNA

W latach pierwszej wojny światowej Lenin mimo swojego autorytetu znalazł się w mniejszości w grupie kierowniczej partii. Przeciwnicy podejmowali nawet próby wpłynięcia na zmianę jego poglądów. Szczególnie aktywni w tej dziedzinie byli członkowie grupy Wpieriod (Naprzód), a wśród nich tak znani działacze bolszewiccy, jak: Michaił Pokrowski, Anatol Łunaczarski, Stepan Szaumian i Feliks Dzierżyński. Nikołaj Bucharin i jego zwolennicy wysunęli własną koncepcję rozwiązania problemów narodowościowych – całkowite usunięcie z programu partyjnego problematyki narodowościowej. Przez to w sposób sztuczny próbowali rozerwać związki wewnątrznarodowe, zamieniając je na związki klasowe, internacjonalistyczne. Walka narodowowyzwoleńcza i internacjonalizm proletariacki były, według Bucharina, pojęciami sprzecznymi, niedającymi się w żaden sposób pogodzić.

Obronę swego stanowiska dodatkowo utrudniało Leninowi to, że jego przeciwnicy powoływali się w sporze z nim na poglądy Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, którzy – jak wiadomo – negowali znaczenie ruchów narodowowyzwoleńczych, a wyzwolenie narodów uciskanych wiązali ściśle ze zwycięstwem rewolucji proletariackiej. „Proletariat nie ma ojczyzny" – to hasło było jedną z głównych idei Manifestu komunistycznego Karola Marksa i Fryderyka Engelsa.

Opracowana przez Lenina koncepcja rozwiązania kwestii narodowościowej, mimo że z takim trudem zyskiwała poparcie kierownictwa partii, została przyjęta jako jej aktualny program. Z dużym uproszczeniem można powiedzieć, że sprowadzał się on do deklaratywnego uznania prawa każdego narodu do samostanowienia, w tym także do utworzenia własnego niepodległego państwa, z jednym jednak warunkiem – państwa proletariackiego.

Lenin nie był jednak zwolennikiem bezwarunkowego stosowania owego prawa. Gdy bowiem interesy narodowe i interesy klasowe zaczynały ze sobą kolidować, wówczas pierwszeństwo otrzymywały te ostatnie. Oznaczało to, że prawo do samostanowienia zostało podporządkowane celom tzw. walki klasowej proletariatu. Lenin nie rezygnował z tezy, że wielkie wielonarodowościowe państwo stanowi ideał z punktu widzenia zadań budownictwa socjalistycznego, aczkolwiek – wyjaśniał – w nowych warunkach społecznych jedność narodowościowa może być budowana tylko na podstawie jedności interesów klasowych proletariatu. Przewidywał, że nacjonalizm zniknie w wyniku zwycięstwa rewolucji socjalistycznej.

Kłamstwo drugie

Drugim wielkim kłamstwem komunistycznej propagandy dotyczącym Lenina była jego rzekoma „wielkoduszność". Był on „wielkim przyjacielem ludu", przeciwnym wszelkiego rodzaju przemocy. O dobroci, człowieczeństwie i miłości do ludzi tego człowieka komponowano piosenki, pisano wiersze i powieści. Był on w Kraju Rad najbardziej humanitarnym człowiekiem. W okresie tzw. odwilży chruszczowowskiej dość rozpowszechnione było przekonanie, że gdyby Lenin nie zmarł za wcześnie w wieku 54 lat, na pewno by nie dopuścił do wielkiego terroru i innych ludobójczych praktyk stalinizmu. „Powrót do leninizmu" – pod takim hasłem w partii powstawały liczne grupy opozycyjne.

W rzeczywistości, jak świadczą ujawnione po rozpadzie Związku Sowieckiego dokumenty, Lenin był ojcem „czerwonego terroru", wielkim poprzednikiem Stalina w stosowaniu wszelkiego rodzaju praktyk ludobójczych. Przez lata był ukrywany w archiwach telegram Lenina do obwodu penzeńskiego, ogarniętego antybolszewickim powstaniem chłopskim w sierpniu 1918 r. Wódz rewolucji pisał: „Towarzysze! Powstanie w pięciu powiatach waszej guberni powinno być bezlitośnie stłumione. Koniecznie trzeba:

1. powiesić (koniecznie powiesić, żeby ludzie widzieli) co najmniej setkę osławionych kułaków, bogaczy, krwiopijców;
2. opublikować ich nazwiska;
3. skonfiskować cały ich chleb;
4. wziąć zakładników... tak, aby na przestrzeni setek wiorst ludzie widzieli, bali się i drżeli...".

Lenin był głównym pomysłodawcą stworzenia na terytorium byłego imperium obozów koncentracyjnych. W maju 1919 r. – w związku z ofensywą armii białej pod dowództwem gen. Judenicza – zaproponował on szefowi piotrogrodzkiego komitetu partyjnego Grigorijowi Zinowjewowi stworzyć nad jeziorem Ładoga obozy koncentracyjne i wysłać do nich wszystkich nielojalnych wobec władz bolszewickich mieszkańców miasta.

W 1921 r., kiedy bolszewicy w celu walki z głodem na Powołżu zdecydowali się na konfiskatę kosztowności kościelnych, Lenin również naciskał, aby partia zastosowała bezwzględny terror. Z jego inicjatywy Biuro Polityczne podjęło uchwałę, natychmiast skierowaną w teren: „Politbiuro wydaje ustną dyrektywę o szczególnym znaczeniu i proponuje władzom sądowniczym, aby procesy sądowe przeciwko buntowniczemu klerowi i aktywistom cerkiewnym

eprasa.pl ac2b0923d8

przeprowadzać z maksymalną szybkością i zakańczać jedynie wyrokami śmierci dla bardzo dużej liczby najbardziej wpływowych i niebezpiecznych elementów „czarnej setki”… Im większą liczbę przedstawicieli reakcyjnego kleru i reakcyjnej burżuazji uda nam się rozstrzelać przy tej okazji, tym lepiej. Trzeba teraz dać tej grupie ludności nauczkę w taki sposób, aby przez kilkadziesiąt lat nie odważyła się nawet pomyśleć o jakimkolwiek oporze”. Stalin zatem miał wspaniałego nauczyciela.



Śmiertelnie chory Lenin z żoną Nadieżdą Krupską

FOT. WIKIPEDIA

Kłamstwo trzecie

Trzecie wielkie kłamstwo dotyczące Władimira Lenina dotyczy okoliczności jego śmierci. Według wersji oficjalnej, obowiązującej przez prawie 70 lat, wódz rewolucji „przygnieciony nawałem obowiązków, pracował bardzo ciężko, organizm jego nie wytrzymał i zmarł on na udar mózgu”. Rzeczywistość, jak się okazało według przechowywanych w ścisłej tajemnicy dokumentów medycznych, była o wiele bardziej prozaiczna. Wódz zmarł na syfilis.

W jakich okolicznościach i kiedy Lenin zakaził się tą chorobą, prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy. W związku z niepodważalnym autorytetem twórcy państwa sowieckiego odpowiedzialni za jego leczenie lekarze nie odważyli się tej sprawy nawet poruszyć. Gwoli sprawiedliwości musimy odnotować, że syfilis był w imperium Romanowów zjawiskiem dość rozpowszechnionym. W niektórych regionach kraju, zwłaszcza na Syberii i Uralu, zakażone było do 20 proc. ludności.

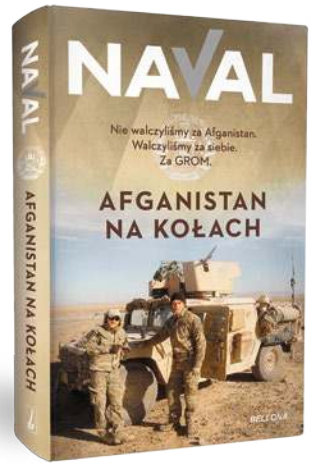
Po śmierci Lenina została przeprowadzona sekcja zwłok. Protokół z sekcji zwłok był kilkakrotnie przepisywany w celu ukrycia prawdy o przyczynach zgonu. Pierwotna diagnoza, ukrywana przez wiele lat, brzmiała: „Rozległa miażdżyca naczyń z powodu ich przedwczesnego zużycia i syfilityczne uszkodzenie mózgu”.

Przez dwa lata, podczas których Lenin zmagał się z chorobą, lekarze Aleksiej Kożejnikow, Wasilij Kramer i Wiktor Osipow prowadzili specjalny dziennik. Notowali, jakie leki i procedury zostały przepisane pacjentowi, objawy choroby i ogólny opis stanu zdrowia Lenina. Wszystkie te akta w 1924 r. zostały skonfiskowane przez organy bezpieczeństwa państwowego i utajnione, a ujawnione dopiero po 88 latach. Świadczą one niezbicie: wódz regularnie dostawał leki na syfilis.

Lenin zmarł 21 stycznia 1924 r., ale – jak twierdzą komuniści – „Lenin jest wiecznie żywy”. Według obliczeń sowietologów na świecie nadal istnieje 131 partii komunistycznych. Komuniści rządzą w takich krajach, jak Chiny, Kuba, Wietnam, Laos, Korea Północna i Nepal. W Putinowskiej Rosji w ostatnich wyborach parlamentarnych na komunistów zagłosowało prawie 10 mln osób.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



GROM
w Afganistanie

Kilkudniowe patrole, tysiące przejechanych kilometrów. Prawdziwe oblicze wojny.



eprasa.pl ac2b0923d8

16–17 lipca 1918 r. / Mord carskiej rodziny



Mikołaj II na obrazie Ernsta von Lipharta FOT. DOMENA PUBLICZNA

Dom zła



Grzegorz Janiszewski

Dynastia Romanowów, po ponad 300 latach panowania w Rosji, schodziła ze sceny w pożodze, która ogarnęła kraj. Carska rodzina znalazła się w bolszewickim potrzasku, mogąc spodziewać się najgorszego

Od rewolucji lutowej Romanowowie pozostawali pod strażą. Wiosną 1918 r. zostali przewiezieni z Tobolska do Jekaterynburga, do domu byłego inżyniera wojskowego i przedsiębiorcy Nikołaja Ipatiewa, który dorobił się na budowie kolei. W 1908 r. za 6 tys. rubli kupił on okazały, dwupiętrowy dom przy Wozniesieńskiej Górce 49/9, z którego teraz został wyrzucony.

Bolszewicy urządzili w nim „dom specjalnego przeznaczenia". Posiadłość otoczono podwójnym, wysokim płotem, którego nieustannie pilnowali wartownicy. Na poddaszach sąsiednich domów rozmieszczono karabiny maszynowe.

Dom był porządnie urządzony, ale warunki były ciężkie. Zbolszewizowani strażnicy nieustannie przypominali więźniom, że stare czasy już się skończyły. Przeklinali przy księżnych, rysowali na ścianach obsceniczne rysunki przedstawiające carycę i Rasputina. Kradli jedzenie, a pod oknami domu śpiewali nieprzyzwoite piosenki.

Licząca wcześniej ponad 50 osób carska służba została okrojona do lekarza rodziny – Jewgienija Botkina, służącej Anny Demidowej, kamerdynera Aleksieja Truppa i kucharza Iwana Charitonowa. Dni upływały na modlitwie, czytaniu książek i grach towarzyskich.

Ostateczne rozwiązanie

Na początku lipca stało się jasne, że miasto wpadnie w ręce zbliżającego się Korpusu Czechosłowackiego. Komendantem domu został kryminalista, funkcjonariusz miejscowej Czeka, stary rewolucjonista i Żyd Jakow Jurowski.

Prawdopodobnie wtedy też została podjęta decyzja o likwidacji uwięzionych, a wybór momentu pozostawiono miejscowym władzom. Komitet wykonawczy Uralsowietu 16 lipca wysłał do Trockiego i Lenina tajemniczy telegram, w którym informował, że „proces" byłego cara jest niemożliwy. Odpowiedzi do dzisiaj nie znaleziono, ale decyzja w takiej sprawie musiała zapaść na najwyższych szczeblach.

W obliczu postępów białych planowany sąd nad carem mógłby przynieść

eprasa.pl ac2b0923d8

skutek odwrotny do zamierzonego. Z kolei, gdyby monarcha został uwolniony – mimo że nigdy nie cieszył się przesadnym autorytetem – mógłby chociaż czasowo zjednoczyć większość przeciwników bolszewików. Tego ich chwiejąca się władza nie wytrzymałaby na pewno.

Droga do mrocznej piwnicy

Jurowski przygotowywał swoje komando zabójców, ale nie mówił im wszystkiego. 16 lipca, ok. godz. 23 zebrał w domu kilkunastu ludzi. Chciał, żeby na każdego skazańca przypadał przynajmniej jeden egzekutor. Kiedy wyjawił im, że trzeba będzie zabić też córki i następcę tronu, kilku odmówiło.

Obok Jurowskiego na pewno byli tam jego pomocnik Grigorij Nikulin, komisarz wojskowy Piotr Jermakow, naczelnik ochrony domu Paweł Miedwiediew i funkcjonariusz Czeka Michaił Miedwiediew-Kudrin. Reszta to prawdopodobnie Łotysze i Węgrzy ze stacjonującego w Jekaterynburgu batalionu Armii Czerwonej. Miejscowym bolszewikom zależało na „internacjonalizacji" wydarzenia.

Jurowski rozdał ochotnikom broń – sześć pistoletów i osiem rewolwerów, mieli też bagnety. Przydzielił każdemu ofiarę i kazał czekać. Mikołaj II z żoną grali wtedy w ostatniego w życiu karcianego bezika.

Około godz. 1.30 pod dom Ipatiewa podjechała wojskowa ciężarówka. Jurowski poszedł do Botkina i kazał mu budzić carską rodzinę, dla ewakuacji w „bezpieczne miejsce". W ciągu 40 minut wszyscy byli gotowi. Mikołaj wziął na ręce osłabionego chorobą Aleksego i ruszyli po schodach w dół, pozdrawiając znakiem krzyża stojącą na półpiętrze wypchaną figurę niedźwiedzicy z małymi. Przez podwórze weszli do piwnicy i stanęli pod ścianą naprzeciwko wejścia.

Pomieszczenie mierzyło jakieś 30 mkw. Nie było w nim nawet krzeseł, które przyniesiono dopiero na prośbę Aleksandry. Na jednym usiadła była cesarzowa, na drugim Mikołaj posadził Aleksego, stając przed nim, jakby chciał go chronić. Wielkie księżne stanęły pod drugimi drzwiami, za matką. Pozostali za cesarzewiczem. Jurowski kazał im czekać, a sam wyszedł po swoich towarzyszy. Po drodze kazał kierowcy ciężarówki wjechać na podwórko i zwiększyć obroty silnika. Zebrani w piwnicy niczego nie podejrzewali.



Miejsce egzekucji rodziny carskiej
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Oprawcy wrócili i ustawili się blisko, naprzeciw swoich ofiar. Jurowski kazał im wstać i zaczął odczytywać z kartki „wyrok". Kiedy padły słowa o karze śmierci, Mikołaj kazał mu powtórzyć, a potem zapytał:

– Mój Boże, co to ma znaczyć?

– To, że właśnie skończyło się wasze życie – wykrzyknął Jurowski i wystrzelił do cara.

Rozpoczęła się bezładna palba. Kilka innych kul trafiło Mikołaja w pierś. Car upadł, podobnie jak trafieni od razu Botkin i Trupp. Księżne trzymały się razem w kącie pomieszczenia, krzycząc z przerażenia. Kule odbijały się od szlachetnych kamieni, zaszytych w ich gorsetach, gwiżdżąc w powietrzu. Aleksy stracił przytomność i bezwładny półleżał na krześle. Pijany Jermakow wystrzelił carycy prosto w głowę. Aleksandra upadła obok Mikołaja.

Pomieszczenie wypełniło się prochowym dymem i tynkiem ze ścian, w które trafiały kule. Jeden z morderców został ranny w palec zbłąkaną kulą. Jurowski, któremu pocisk świsnął koło ucha, przerwał egzekucję i otworzył drzwi, żeby przewietrzyć pomieszczenie. Strzały w końcu ustały. Zszokowana Demidowa zaczęła głośno dziękować Bogu za ocalenie. Aleksy otworzył oczy, nie bardzo wiedząc, co się stało. Jurowski z Nikulinem zaczęli do niego strzelać. Chłopiec upadł na podłogę, jęcząc. Pijany Jermakow zaczął dźgać go bagnetem, ale zaszyte w bieliźnie brylanty nie puszczały ostrza. W końcu Jurowski strzelił mu z przyłożenia w ucho. Odchodzące od zmysłów księżne stały w rogu, rozdzierająco krzycząc. Jurowski z Jermakowem podeszli do Tatiany i Olgi i zamordowali je strzałami w głowę. Marię dźgnięto bagnetem, ale ten zatrzymał się na brylantach, więc Jermakow wystrzelił do niej z bliska. Potem przyparł bagnetem do ściany Anastazję, która krzyczała i nie chciała się poddać. W końcu wyciągnął pistolet i strzelił jej w głowę. Ostatnia zginęła Demidowa. Jermakow zaczął dźgać bagnetem martwe ciała Mikołaja i Aleksandry, przebijając je na wylot, aż do drewnianej podłogi.

Rzeź trwała ok. 10 minut. Cała piwnica zbryzgana była krwią i mózgami ofiar. Oprawcy po chwili odpoczynku okradli leżące bezwładnie ofiary z zegarków i pierścionków, a potem zaczęli ładować owinięte w prześcieradła ciała na ciężarówkę. Po drodze okazało się, że Maria i Anastazja jeszcze żyją, więc Jermakow zakłuł je bagnetem.

Ślady nie dają się zatrzeć

Ciała zostały przewiezione na oddalone o 15 km uroczysko Ganina Jama

eprasa.pl ac2b0923d8



Rodzina carska w 1913 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

i zrzucone do opuszczonego kopalnianego szybu. Mimo lipca woda na jego dnie była zamarznięta. Dlatego następnej nocy wydobyto je, oblano kwasem i próbowano spalić w wielkich ogniskach, polewając obficie benzyną. Potraktowane kwasem ciała nie chciały się palić, potem spadł ulewny deszcz. Szczątki Romanowów ponownie załadowano na ciężarówkę, żeby zrzucić je do innego szybu. Samochód po drodze ugrzązł w błocie, zbliżał się świt. Ostatecznie pochowano je w płytkiej jamie i przykryto podkładami kolejowymi na starej drodze koptiakowskiej, niedaleko od budki dróżnika na 184. kilometrze Gornozawodskiej Linii Kolejowej.

Tydzień później do miasta weszli biali. Zarządzone przez gen. Kołczaka śledztwo wyjaśniło wiele spraw związanych z morderstwem, w jego aktach znalazła się nawet fotografia miejsca prawdopodobnego zakopania zwłok, ale nie wydobyto ich wówczas. Kołczak raczej nie potrzebował carskich męczenników.

Po zwycięstwie bolszewików miejsce złożenia szczątków carskiej rodziny nie było specjalną tajemnicą. Jeździły tam wycieczki czekistów, w 1928 r. odwiedził je Majakowski, który pod wrażeniem napisał nawet wiersz „Imperator", opisujący „wrytego w drogę pod cedrem" cara.

Dom Ipatiewa przekształcono w akademik i mieszkania dla urzędników, a w 1923 r. – w muzeum. Głównym eksponatem była piwnica, w której zamordowano Romanowów, gdzie zachowały się ślady zbrodni. Od 1932 r., wraz ze wzmacnianiem władzy przez Stalina, zaprzestano tego. Carobójstwo nie było dobrym przykładem dla społeczeństwa poddawanego kultowi jednostki.

Dom jak wyrzut sumienia

Dom Ipatiewa nie dawał o sobie zapomnieć. Przyciągał wiernych, traktujących zamordowanych jak męczenników za wiarę. Zabrane z miejsca kaźni odłamki cegieł, tynku, drzazgi i kawałki tapet traktowano jak relikwie, opowiadając o ich cudownych właściwościach. Ślady krwi w piwnicy mimo remontów podobno nie dawały się zmyć. Co roku w prawosławne święta, rocznice urodzin i morderstwa cara pod domem płonęły świeczki zapalane przez „nieznanych sprawców", których funkcjonariusze miejscowego KGB nie byli w stanie wykryć.

Dom był jednym z niewielu zjawisk w ZSRS, który pozostawał poza kontrolą tajnych służb i władzy. Jednak dopiero w 1975 r. przewodniczący KGB Jurij Andropow zwrócił się do politbiura z wnioskiem o jego zburzenie. Motywował to zbliżającymi się 60. rocznicą morderstwa carskiej rodziny, 110. rocznicą urodzin Mikołaja II i „zainteresowaniem przejawianym przez obcokrajowców".

Stało się to dopiero dwa lata później, we wrześniu 1977 r., kiedy I sekretarzem partii w ówczesnym Swiedłowsku był Borys Jelcyn. Dla ukrycia prawdziwych zamiarów wyburzono cały kwartał, uzasadniając to koniecznością jego „rewitalizacji". Przedtem mieszkańcy wynieśli stamtąd wszystkie klamki, odłupane kawałki ścian i deski z podłóg. Pod listwą podłogową podobno znaleziono złotą bransoletę księżnej Tatiany, wysadzaną 40 brylantami.

Odnaleźć grób cara

Dom Ipatiewa w 1976 r. zdążył odwiedzić dramaturg i scenarzysta sowieckich filmów propagandowych Gelij Riabow. Doznał tam silnego wzruszenia i na własną rękę zaczął poszukiwać informacji na temat śmierci carskiej rodziny. Pod pozorem zbierania materiałów do filmowego scenariusza przekopywał tajne sowieckie archiwa. Znalazł raport z egzekucji, sporządzony przez Jurowskiego. Z Zachodu ściągnął książki ze wspomnieniami i z materiałami z prowadzonych przez białych śledztw.

Razem z poznanym w Swierdłowsku geologiem Aleksandrem Awdoninem zaczęli penetrować okolicę, kierując się zapisami ze zgromadzonych materiałów. Funkcjonariuszom miejscowego KGB tłumaczyli, że kręcą tu plenery do filmu. Po wykonaniu tytanicznej pracy latem 1979 r. w końcu natknęli się na poszukiwany „mostek z podkładów". Pod nimi, w płytkim grobie, znaleźli spoczywające od 60 lat w błocie szkielety. Awdonin zabrał trzy czaszki, prawdopodobnie Demidowej, Anastazji i Tatiany, w celu potajemnego odtworzenia ich wyglądu metodą Gierasimowa, ale ostatecznie wystraszył się i złożył je z powrotem do grobu.

Dopiero w 1991 r. zgłosił odkrycie władzom, do końca ukrywając prawdziwe położenie carskich szczątków. Miał rację. Dzień przed ekshumacją „nieznani sprawcy" rozkopali drogę, ale kilkaset metrów dalej. Po latach serca czekistów były nadal gorące albo palił je wstyd, ale pamięć osłabła. Szczątki zostały ekshumowane i po serii badań, które potwierdziły ich autentyczność, pochowane w 1998 r. w petersburskim soborze Piotra i Pawła. Szczątki Aleksego i Marii odnaleziono dopiero w 2007 r., kilkadziesiąt metrów dalej. Oprawcy zdołali je wcześniej prawie doszczętnie spalić.

Na miejscu Domu Ipatiewa w latach 2000–2003 została zbudowana Cerkiew na Krwi. Co roku pielgrzymują do niej setki tysięcy wiernych, żeby oddać cześć kanonizowanym przez Cerkiew prawosławną w 2000 r. męczennikom. Wielu Rosjan wierzy, że w momencie zabójstwa Romanowów rosyjski naród został przeklęty, a klątwa zostanie zdjęta dopiero, kiedy wyrazi on zbiorową skruchę za ten czyn.

Zwykle to ci sami, którzy popierają imperialne ambicje Rosji tudzież obecną agresję na Ukrainę. Taki rosyjski paradoks.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

DO RZECZY | HISTORIA DO RZECZY

FUNDACJA STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2022

JUBILEUSZOWA X EDYCJA WYJĄTKOWYCH NAGRÓD W KATEGORIACH:

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI



PARTNER STRATEGICZNY ORLEN

PARTNERZY GŁÓWNI KGHM POLSKA MIEDŹ, PZU

PARTNERZY PKO Fundacja, STRABAG TEAMS WORK., PGE, Lasy Państwowe

WSPÓŁORGANIZATOR INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO-WĘGIERSKIEJ IM. WACŁAWA FELCZAKA

eprasa.pl ac2b0923d8



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

1917–1919

Z dr. Michałem Patrykiem Sadłowskim, historykiem z UW, znawcą dziejów Rosji



rozmawia Piotr Włoczyk

Śmiertelne błędy białych

– Czerwoni ogłosili, że również carscy oficerowie mogą u nich służyć – to było ogromne, najprawdopodobniej kluczowe wzmocnienie Armii Czerwonej – mówi dr Sadłowski

PIOTR WŁOCZYK: Skoro biali byli śmiertelnymi wrogami bolszewików, to na pewno chcieli przywrócić carat. Na ile to powszechne wyobrażenie o wojnie domowej w Rosji przystaje do rzeczywistości?

DR MICHAŁ PATRYK SADŁOWSKI: Biali absolutnie nie chcieli powrotu do czasów samodzierżawia. Jest to jeden z mitów bolszewickiej propagandy. Chodziło o przekonanie mas, że biali walczą w obronie starych, carskich i kapitalistycznych porządków, czyli tego wszystkiego, co było przed rewolucją lutową. Tymczasem biali dążyli – poza obaleniem bolszewików – do kontynuacji państwowości rosyjskiej w oparciu o ideały rewolucji lutowej. Naczelnym postulatem była dla nich doktryna nieprzesądzania (ros. niepriedrieszenia).

Do czego się to sprowadzało?

Wszelkie fundamentalne zmiany ustrojowe, społeczne i gospodarcze, a także ewentualne przesunięcia granic mogą być zatwierdzone dopiero po wyborach i zebraniu się konstytuanty. W sensie ustrojowym biali walczyli więc o państwo i modernizację w znaczeniu zachodnioeuropejskim.

Czy rosyjskie masy rozumiały to hasło?

Nie. Z punktu widzenia mas było to hasło mało czytelne. Szczególnie jeżeli porównamy program białych z postulatami bolszewików, którzy ogłosili zrozumiałą dla większości dyktaturę proletariatu.

Trzeba zrozumieć specyfikę tego, co się stało w lutym 1917 r. Obalono wówczas cara, ale w rzeczywistości oznaczało to, że obalono nie tylko dynastię, lecz także samodzierżawie, czyli samą władzę państwową. Zarządzanie państwem z wielkim trudem próbował przejąć Rząd Tymczasowy. Miał on jednak niewielki

eprasa.pl ac2b0923d8

autorytet, a także dosyć słabą legitymację. Chłopi i robotnicy z czasem zobaczyli, że rewolucja lutowa sprawiła, iż władza tak naprawdę zniknęła. Natomiast bolszewicy mieli bardzo atrakcyjną ofertę dla wielomilionowej rzeszy ludzi i obiecywali powrót prawdziwej, silnej, choć o obliczu socjalnym, władzy.

„Biali" to bardzo pojemne określenie. Z jakich grup składał się ten ruch?

Był to ruch polityczno-wojskowo-społeczny, który powstał w reakcji na proces bolszewizacji Rosji. Był on bardzo zróżnicowany pod względem ideowym, a także terytorialnym. Mieliśmy biały ruch na południu, gdzie powstała Armia Ochotnicza. Dołączyli do niej potem Kozacy z Kubania. Była też biała Syberia z adm. Aleksandrem Kołczakiem, a także Armia Zachodnia (później Zachodnio-Północna) i tzw. biała Północ. Ich dowódcy mieli różne pomysły na Rosję. Biały ruch tak naprawdę jednoczyła idea antybolszewizmu. Chodziło o zbudowanie sprawnych sił zbrojnych, które obroniłyby Rosję przed bolszewizmem i zwołały konstytuantę. Dosyć powszechnie wierzono w sojuszników zachodnich. Biali chcieli kontynuować politykę wobec państw centralnych, którą ustalono jeszcze za cara.

Pod względem politycznym jego trzonem była z pewnością partia kadetów. Składała się ona głównie z osób silnie zokcydentalizowanych. Była to grupa najbardziej spójna ideowo i oddana sprawie. W szeregach białych nie brakowało też umiarkowanych monarchistów (konstytucyjnych), a nawet prawicowych eserów i mienszewików. Oczywiście tylko prawicowe siły socjalistyczne wchodziły w skład białych. Ten szeroki ruch chciał przebudować, zmodernizować Rosję na modłę zachodnioeuropejską. Rosja miała być równa zachodnim mocarstwom. Niemniej w warunkach lat 1918–1919 zabrakło szerokiej koalicji białych z umiarkowanymi socjalistami.

W kogo biali byli wpatrzeni w tym kontekście? W Wielką Brytanię?

Tak, Wielka Brytania z jej monarchią parlamentarną była jednym z głównych wzorów. Ale biali przypatrywali się również Ameryce i jej federalizmowi, by uniknąć pewnych problemów w konstrukcji państwa. Wzorcem była dla nich również francuska samorządność.



Oddział białej piechoty FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wśród białych w ogóle nie było ludzi zapatrzonych w Mikołaja II?

Jeżeli występowały w ich szeregach tendencje monarchistyczne, to chodziło raczej o monarchię konstytucyjną. Absolutnie, poza małymi wyjątkami, nie było mowy o powrocie do jednoosobowego rządzenia krajem.

Rosja zmieniła się bowiem diametralnie od początku 1917 r. Hasła demokratyczne, a także bolszewicki radykalizm sprawiły, że nie było powrotu do caratu. Samodzierżawna monarchia absolutna okazała się pod koniec swojego istnienia na tyle zgniła, że nawet ruch czarnosecinny, którego sympatycy jeszcze kilka lat temu żarliwie popierali Mikołaja II, w czasie rewolucji lutowej stanął po stronie Rządu Tymczasowego. Można wręcz powiedzieć, że w 1917 r. właściwie nikt nie podjął się realnej próby ratowania caratu. Generał Ławr Korniłow określał się jako republikanin, gen. Michaił Aleksiejew utożsamiał się bardziej z monarchią konstytucyjną, natomiast sam gen. Anton Denikin nie przesądzał, jaki to będzie ustrój. Na pewno jednak nie chciał powrotu do samodzierżawia.

Jakie wrażenie zrobiła na białych informacja o wymordowaniu rodziny cara?

Na białym południu gen. Aleksiejew zorganizował prywatną panichidę, czyli nabożeństwo żałobne za cara. Pojawiło się jednak na nim bardzo niewiele osób. Historycy podkreślają, że był to raczej odruch chrześcijański, gest, który miał pokazać szacunek dla byłego władcy. Można to porównać do sytuacji, gdy Władimir Putin złożył kwiaty przy trumnie Michaiła Gorbaczowa, chociaż wiadomo, że bardzo krytycznie patrzył na jego rządy. Niewielu białych płakało za Mikołajem II jako carem.

Ze wskazaniem lidera bolszewików nie ma najmniejszego problemu. A kto stał naprzeciw Lenina?

To bardzo charakterystyczne dla białego ruchu – nie było tam jednoosobowego i scentralizowanego przywództwa. Istniały kilka ośrodków wojskowych i centrum dyplomatyczne w Paryżu. Najważniejszymi twarzami ruchu byli gen. Korniłow, gen. Aleksiejew, gen. Denikin, gen. Wrangel czy wreszcie adm. Kołczak. Ten ostatni został nawet obwołany przywódcą białych, ale była to głównie nominalna funkcja. Też tzw. dyktatura wojskowa u białych miała ustrojowo charakter wyłącznie funkcyjny, czyli techniczno-administracyjny i tymczasowy.

W rzeczywistości cały czas władza była rozproszona? To nie mogło dobrze wpływać na skuteczność w walce z bolszewikami...

Tak, ale ten problem wynikał z tego, że siły białych formowały się na obrzeżach imperium, a nie w centrum kraju. To rozbicie terytorialne utrudniało stworzenie jednolitego kierownictwa ruchu. Inną kwestią było to, że na czele bolszewików stali politycy. Tymczasem na czele białych stali na ogół niedoświadczeni politycznie wojskowi, którzy kierowali zarówno sprawami polityczno-administracyjnymi, jak i wojskowymi. Politycy pracowali w tym ruchu w organach biurokratycznych i pełnili raczej role doradcze.

Na kim opierali się biali?

Głównie na bogatszym chłopstwie i na ludności miejskiej, która dysponowała jakimś majątkiem, np. własnymi zakładami czy sklepami.

Czyli ta baza siłą rzeczy nie była zbyt szeroka. Czy biali mieli jakąś konkretną ofertę dla robotników i biedniejszych chłopów?

Tak. Postulowali polepszenie warunków pracy robotników i chcieli rozwijać spółdzielczość i samorządność. Nie mogli tu jednak konkurować z bolszewika-

eprasa.pl ac2b0923d8

mi, ponieważ biali podkreślali to, co postulował Rząd Tymczasowy – własność prywatna jest rzeczą świętą. Jeżeli chodzi o chłopów, to pod koniec wojny domowej gen. Denikin i gen. Wrangel ogłosili korzystną dla chłopów reformę rolną, ale postulat ten pojawił się za późno, by mógł wpłynąć na wynik konfliktu.

Czy biali początkowo nie za bardzo zlekceważyli Lenina?

Wydaje się, że właściwie wszyscy na początku zlekceważyli Lenina. Jeżeli wczytamy się we wspomnienia z tamtego okresu, a także przeanalizujemy analizy prasowe, to zobaczymy, że prawie wszyscy uważali bolszewizm za tymczasowy fenomen. Fiodor Dan, działacz socjalistyczny, wspominał, że w elitach rosyjskich przed rewolucją październikową słychać było głosy w stylu: „A niech już ci bolszewicy zrobią przewrót, to tym szybciej upadną". Tak wyglądały ówczesne nastroje. To jedna z przyczyn klęski białych, którzy zlekceważyli koncept ideologiczny czerwonych i ich zdolności organizacyjne. Inna rzecz, że biali kierowali się kodeksem postępowania z dawnych czasów. W porównaniu z metodami bolszewików można powiedzieć, że było to wręcz dżentelmeńskie podejście. Okazało się, że taki sposób działania dawał bolszewikom ogromną przewagę. Oczywiście w pewnym momencie pojawił się też biały terror, ale była to reakcja na czerwony terror. Biali mimo wszystko nie byli w stanie dorównać w tej kwestii bolszewikom.

Jak walczyli biali? Dobrze koordynowali swoje wysiłki wojskowe?

Jak już wspomniałem, problemem była u nich geografia. Dzięki temu, że bolszewicy kontrolowali dosyć zwarty obszar Rosji Zachodniej, mieli dzięki temu przewagę w zasobach ludzkich, przemysłowych i nie mieli takich problemów logistycznych jak biali. Czerwoni byli w stanie w Tule czy w Briańsku produkować miliony karabinów, podczas gdy do białych docierały z zagranicy co najwyżej setki tysięcy sztuk broni palnej.

Biali próbowali koordynować swoje cztery wielkie fronty, ale było to bardzo trudne zadanie. Po zdobyciu Charkowa gen. Denikin przekonany był, że trzeba uderzyć na Moskwę. Dziś krytykuje się za to Denikina, ale wówczas antybolszewicy uważali, że jeżeli wszystkie ośrodki białych zaczną atakować centrum terenów



Generał Anton Denikin
FOT. WIKIMEDIA COMMONS



Generał Ławr Korniłow
FOT. WIKIMEDIA COMMONS



Admirał Aleksandr Kołczak
FOT. WIKIPEDIA



Generał Piotr Wrangel
FOT. WIKIPEDIA

kontrolowanych przez bolszewików, to ci w pewnym momencie „pękną". Biali nie zdawali sobie jednak sprawy, że rok 1918 był kluczowy dla Lenina. Po przetrwaniu największych kryzysów bolszewicy okrzepli i zbudowali „czerwoną twierdzę". Operujący na peryferiach imperium biali mieli ogromny problem z naruszeniem tej twierdzy. Tymczasem dla białych bolszewicy nie byli jedynymi wrogami. Na południowym odcinku frontu formowanie armii zaczęło się od 5 tys. ludzi, którzy poszli w step w lutym 1918 r. W lipcu 1919 r. armia południa Rosji liczyła już 250 tys. ludzi, ale musiała ona walczyć nie tylko z bolszewikami, lecz także z machnowcami (czerwonymi i zanarchizowanymi powstańcami chłopskimi), z góralami kaukaskimi, z Gruzinami…

Problemem białych było również to, że nie stworzono systemu, który pozwalałby służyć oficerom, którzy zdecydowali się uciec z Armii Czerwonej. To był wielki błąd.

Dlaczego? Czy można było mieć zaufanie do takich ludzi?

Ci oficerowie służyli u czerwonych z różnorakich pobudek. Część wcielono siłą, część dołączyła do bolszewików, gdy w lutym 1918 r. Niemcy rozpoczęli ofensywę i zajęli Psków. Obawiali się oni, że niedługo Rosja upadnie. Bardzo wielu oficerów służyło w Armii Czerwonej z pobudek patriotycznych, walcząc o imperium. Badacz rosyjski Andriej Ganin uważa, że zdecydowana większość oficerów carskich, którzy służyli u czerwonych (ponad 100 tys. osób), nie kierowała się czynnikami ideologicznymi. Ci ludzie chcieli po prostu ratować państwo. Mogli oni myśleć w następujący sposób: „Armia była carska, potem dowodził Rząd Tymczasowy, teraz rządzą bolszewicy. A to przecież wciąż armia rosyjska".

Biali uważali takich oficerów za niepewnych?

Uważano ich za osoby, które nie są tak ideowe jak biali z początków Armii Ochotniczej, którzy walczyli z bolszewikami od początku wojny. Patrzono na nich wręcz jak na zdrajców lub koniunkturalistów. Zapis do armii białych był skomplikowaną procedurą, tymczasem czerwoni ogłosili, że również carscy oficerowie mogą u nich służyć, ale wszystkie ich działania będzie weryfikował komisarz. To było ogromne, najprawdopodobniej kluczowe wzmocnienie Armii Czerwonej. Zresztą nawet Lenin i Trocki przyznali, że bez

eprasa.pl ac2b0923d8

„wojennych specjalistów" być może nie udałoby się wygrać wojny domowej...



Order św. Jerzego (Imperium Rosyjskie)

FOT. FDUTIL/WIKIPEDIA/CC BY-SA 3.0

Jak wyglądało morale u żonierzy białych?

To zależy od etapu konfliktu. Samo „jądro" armii ochotniczej miało wysokie morale. Byli to ludzie młodzi, absolwenci szkół wojskowych, oficerowie kadrowi, którzy chcieli bronić porządku w państwie od jesieni 1917 r. Gdy jednak armie białych się rozrosły, pojawił się problem z dyscypliną. Trzeba pamiętać, że rewolucja lutowa doprowadziła do rozkładu nie tylko wśród szeregowych, lecz także wśród oficerów. Widać nadużywanie alkoholu, lekceważenie regulaminu. Zresztą żołnierze siłą rzeczy musieli być już zmęczeni, bo wojna trwała przecież od 1914 r.

Jaką rolę odgrywała wiara i chęć pokonania wojującego ateizmu?

Oczywiście część białych walczyła z bolszewizmem, widząc w tym ruchu Antychrysta. W białych armiach służyli kapelani. Cerkiew była jednak wówczas w kryzysie i zaczęła się rozpadać. Hierarchowie cerkiewni wystąpili przeciw Mikołajowi II, ponieważ chcieli się wyrwać z zarządu państwowego, ale jednak masy niezbyt sympatyzowały z Cerkwią rozumianą jako instytucja. Swoje zrobiła tu propaganda bolszewików. Przedstawiali oni hierarchów jako stronników cara. W okresie wojny domowej bolszewicy byli jednak pragmatykami, jeżeli chodzi o wojnę z wiarą.

Początkowo starali się nie przesadzać z niszczeniem religii?

Tak. Czerwoni kierowali prosty przekaz do prostych ludzi: pokój, ziemia, chleb. Początkowo ograniczano represje wobec zwykłych popów, żeby nie zrażać do siebie wsi. Niekiedy nawet ich pozyskiwano. Na pełną radykalizację przyszedł czas po wojnie domowej.

Generał Denikin narzekał po wojnie, że Polska w znacznej mierze przyczyniła się do klęski białych, ponieważ Piłsudski nie chciał pomóc im w wojnie domowej. Czy polskie władze dobrze rozpoznały sytuację?

Zgadzam się z tezą prof. Wasilija Cwietkowa, że Denikin próbował w ten sposób usprawiedliwić swoją porażkę, a sami biali nie wykazywali chęci konkretnego dogadania się z Polską. Nie mogli jednak zaoferować Polakom większych ustępstw terytorialnych, co wynikało nie tylko z istoty imperializmu rosyjskiego, lecz także ze wspomnianej już zasady nieprzesądzania. Biali zgadzali się na jakąś Polskę, ale granice II RP były dla nich absolutnie nie do zaakceptowania. Polska mogła być co najwyżej buforem antyniemieckim.

Piłsudski z kolei kierował się interesem państwowym i podejmując takie, a nie inne decyzje, uważał – tak jak wielu innych przywódców – że bolszewizm to być może chwilowy fenomen.

Czy Zachód zrobił wszystko, co mógł, by wesprzeć białych?

Na Zachodzie nie było jednolitego pomysłu na Rosję. Inaczej patrzyli na to Francuzi, Brytyjczycy, Włosi czy Amerykanie. Różnie oceniali oni zagrożenie ze strony bolszewików. Sojusznicy zrobili bardzo dużo, jeżeli chodzi o pomoc wywiadowczą, zaopatrzenie w broń i środki medyczne, ale główny ciężar wzięli na barki biali.

Bardzo liczyli na wielką pomoc ze strony Zachodu. Generał Denikin uważał się za kontynuatora polityki alianckiej. Całe kierownictwo białych było zdecydowanie antyniemieckie. Przywódcy antybolszewików uważali, że skoro Rosja od 1914 r. ratowała Zachód przed Niemcami, to teraz należy im się każda pomoc, a potem uczestnictwo w „łupach" wojennych. Rozczarowanie postawą Zachodu sprawiło, że wiele tysięcy białych oficerów przeszło na stronę czerwonych, uważając, że bolszewicy lepiej zadbają o interesy Rosji. Ten zarzut wobec Zachodu nierzadko spotykamy w rosyjskiej historiografii i dziś.

Jak wyglądały losy tych białych, którzy nie wyjechali na emigrację?

Bardzo różnie. Ci, którym nie udało się uciec z Krymu wraz z gen. Wranglem, zostali zmasakrowani. Bolszewicy zamordowali tam ok. 12 tys. białych. Część oficerów przeszła do Armii Czerwonej. Pod koniec wojny domowej w szeregach czerwonych służyło 14 tys. białych oficerów! Ostatecznie wymordowano ich w czasie wielkich czystek. W drugiej połowie lat 30. biała przeszłość równała się właściwie wyrokowi śmierci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Michał Patryk Sadłowski jest historykiem, znawcą dziejów Rosji, pracownikiem naukowym Uniwersytetu Warszawskiego.

REKLAMA



eprasa.pl ac2b0923d8



Generał Józef Dowbor-Muśnicki oraz oficerowie I Korpusu Polskiego FOT. NAC

1917–1920/ / Białoruś, Syberia, Kubań

Polacy w ogniu rewolucji

eprasa.pl ac2b0923d8



Tomasz Stańczyk

Podczas wojny domowej w Rosji w latach 1918–1920 Polacy walczyli po obu stronach frontu

W 1917 r. w Rosji żyło ok. 3,7 mln Polaków, jednak większość z nich – 2,5 mln – zamieszkiwała dawne ziemie kresowe Rzeczypospolitej, wcielone do Rosji w wyniku zaborów. Około 600 tys. Polaków to mieszkańcy ziem rosyjskich, dobrowolni emigranci, a także zesłańcy i ich potomkowie. Po wybuchu wojny z terenów Królestwa Polskiego ewakuowano ok. 500 tys. Polaków. W Rosji przebywali też polscy jeńcy, żołnierze armii niemieckiej i austro-węgierskiej, w tym żołnierze Legionów. Społeczność polska była zróżnicowana – stanowili ją chłopi, robotnicy, inteligenci, urzędnicy, ziemianie. Zróżnicowane były też postawy i poglądy Polaków wobec rewolucji lutowej, która obaliła carat, i wobec bolszewickiego zamachu stanu zwanego przez komunistów rewolucją październikową, który zabił rodzącą się demokrację w Rosji, obiecując nowy, wspaniały świat „ludowi pracującemu miast i wsi".

Nad nadejściem tego świata pracowali razem z rosyjskimi bolszewikami także członkowie Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz PPS-Lewicy. W Rosji w 1917 r. działało kilkadziesiąt oddziałów SDKPiL oraz PPS-Lewicy. Ich członkowie czynnie wspierali bolszewików i ostatecznie zostali członkami partii Lenina. Do 1989 r. w Warszawie wznosił się pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Napis na cokole głosił, że jest on dumą polskiego ruchu rewolucyjnego. Tak określił go Bolesław Bierut. Dzierżyński, przed 1917 r. działacz SDKPiL, był tym Polakiem, który doszedł najwyżej w bolszewickiej hierarchii. Objął kierownictwo Nadzwyczajnej Komisji ds. Walki z Kontrrewolucją i Sabotażem, czyli czerezwyczajki, zwanej również Czeka. Energia, fanatyzm i bezwzględność Dzierżyńskiego sprawiły, że odegrał on trudną do przecenienia rolę w zwycięstwie bolszewików w wojnie domowej w Rosji. Do pomocy dobrał sobie, jako sekretarza, Bronisława Bortnowskiego ps. Bronkowski, który był też sędzią śledczym. W walce z przeciwnikami bolszewizmu zasłużył się także Mieczysław Kozłowski, który wkrótce po przewrocie październikowym przewodniczył komisji badającej spiski „kontrrewolucyjne".

W 1967 r. ukazała się „Księga Polaków uczestników rewolucji październikowej". Autorzy podawali, że po stronie bolszewików – także podczas wojny domowej – walczyło ok. 100 tys. Polaków. W książce zaprezentowano życiorysy prawie 8 tys. spośród nich. „Zebrane w niniejszym wydawnictwie informacje mogą rodzić uzasadnione przeczucie dumy – przekonywali autorzy – że w pierwszej, zwycięskiej rewolucji socjalistycznej [...], obok przedstawicieli różnych narodów byłego imperium carskiego, w jednym szeregu ze swoimi braćmi walczyli Polacy".

W komunistycznej Polsce weterani rewolucji październikowej byli honorowani, jednak próżno byłoby ich szukać na szczytach władzy. Z prostego powodu: wszyscy wybitniejsi, którzy zostali w Związku Sowieckim, zostali wymordowani w latach 1937–1938 z rozkazu Stalina. Stali się ofiarami głównie „operacji polskiej" NKWD. Każdy Polak z definicji stał się wrogiem, szpiegiem, dywersantem – także komunista, także przedstawiciel „ludu pracującego miast i wsi".

Bracia Lutosławscy i Wieniawa

Dwadzieścia lat wcześniej, po zwycięstwie bolszewickiego przewrotu w 1917 r., Polak był wrogiem, jeśli był „burżujem", księdzem, ziemianinem, oficerem. Wielu z nich padło ofiarą czerezwyczajki, choć Dzierżyński potrafił uwolnić Polaka z rąk swoich oprycznikow właśnie dlatego, że był Polakiem. Wbrew twierdzeniu komunisty Tomasza Dąbala, autora książki „Polacy Związku Radzieckiego, ich pochodzenie, udział



Ilustracja do ulotki Zachodniej Dywizji Strzelców, zatytułowanej „Komu służysz, żołnierzu spod znaku orła białego" FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

eprasa.pl ac2b0923d8

w rewolucji październikowej i w budownictwie socjalistycznym", rozstrzeliwano oficerów z rozbrojonych Korpusów Polskich, którzy usiłowali przedostać się na Murmań, gdzie znajdowały się wojska ententy i gdzie powstawał oddział polski. Taki los spotkał Bronisława Romera z I Korpusu Polskiego, schwytanego w okolicach Piotrogrodu.

Dąbal chwalił zlikwidowanie przez bolszewików polskich placówek w rosyjskich miastach, które pomagały żołnierzom w przedostaniu się na Murmań. W tym kontekście wymienił nazwiska braci Józefa i Mariana Lutosławskich. Byli uchodźcami wojennymi, którzy zamieszkali w Moskwie. Za pomoc żołnierzom z Korpusów Polskich zostali rozstrzelani w październiku 1918 r. Józef, ojciec słynnego kompozytora i dyrygenta Witolda Lutosławskiego, oraz Marian Lutosławski zasłynęli też, wykradając dokumenty przygotowanego traktatu między Rosją bolszewicką a Niemcami i przesyłając je do Warszawy.

Do bolszewickiego więzienia trafił także Bolesław Wieniawa-Długoszowski, adiutant Piłsudskiego z czasów legionowych. W czerwcu 1918 r. przyjechał do Moskwy. Spotkał się tam z Borysem Sawinkowem, rewolucjonistą tropionym przez czekistów, oraz z szefem francuskiej placówki wywiadowczej. Z rąk czerezwyczajki wyrwała go Bronisława Berenson, znajoma z paryskich czasów. Jej mąż, adwokat, uratował niegdyś od stryczka Stanisława Pestkowskiego, bolszewickiego działacza. Do niego właśnie udała się pani Berenson z prośbą o interwencję. Po śledztwie i rozmowie z Feliksem Dzierżyńskim Wieniawa został wypuszczony na wolność.

Za mało bolszewicki pułk

Pułk Biełgorodzki miał wejść w skład I Korpusu Polskiego gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego, sformowanego na ziemiach białoruskich. Oddział był jednak opanowany przez zrewolucjonizowanych Polaków i Dowbor nie zamierzał przyjąć go do Korpusu. Bolszewicy nadali pułkowi nazwę: Pierwszy Rewolucyjny Pułk Polski. Okazało się jednak, że dowództwo pułku było dla nich za mało rewolucyjne. W oświetleniu Tomasza Dąbala „intrygi elementów znajdujących się pod wpływem ideologii nacjonalistycznej doprowadziły do starć i zamieszek". W rezultacie pułk, jako niegodny bolszewickiego zaufania, został rozwiązany.

Dąbal nie pisał jednak o drastycznych okolicznościach końca pułku. Bolszewicy dowódcy, a także biełgorodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich zażądali od dowódcy, por. Mieczysława Jackiewicza, by pułk wziął udział w walkach z oddziałami atamana Aleksieja Kaledina. Po naradzie z komitetem żołnierskim Jackiewicz odmówił, gdyż mogłoby to wywołać waśnie narodowe między Polakami i Ukraińcami. Oliwy do ognia dolało oświadczenie komitetu żołnierskiego pułku przesłane Radzie Komisarzy Ludowych, domagające się uznania Polaków „obywatelami wolnej,



Roman Łągwa, dowódca Zachodniej Dywizji Strzelców FOT. WIKIPEDIA

niepodległej, demokratycznej Polski". To przeważyło szalę. Bolszewicy próbowali zmusić Jackiewicza do zgody na udział w walce przeciw Kaledinowi, a gdy się nie zgodził, zamordowano go w okrutny sposób bagnetami i tasakami.

Z części żołnierzy tego pułku został utworzony Czerwony Pułk Rewolucyjnej Warszawy, na którego czele stanął Stefan Żbikowski, były carski chorąży i członek partii bolszewickiej. W pieśni pułku znajdowała się zwrotka:

Nam szepczą Polska – święta rzecz,
Więc polskim panom służyć!
I chłopską krew, a pański miecz
Dla dobra kraju użyć!

A my odkrzykniem: wara wam,
Robotniczej krwi złaknionym,
Od naszych bram – wszak wstaje „cham"
I wali wasze trony!

Później, w Tambowie, powstała Polska Brygada Czerwona, a w Witebsku – druga brygada. Stworzono z nich Zachodnią Dywizję Strzelecką. Polsko-bolszewickie oddziały tłumiły powstanie w Orszy, bunt anarchistów w Moskwie, walczyły przeciw oddziałom Krasnowa i Wrangla i wreszcie w 1919 r. wzięły udział w wojnie z Polską, walcząc w okolicach Słonimia, Baranowicza i Lidy.

W 1920 r. bolszewicy usiłowali stworzyć Polską Armię Czerwoną. Jej dowódcą został Roman Łągwa, były dowódca Zachodniej Dywizji Strzeleckiej, jednak na ziemiach polskich do szeregów zgłosiła się znikoma liczba Polaków. Niejaki towarzysz Elski, cytowany w książce Dąbala, utrzymywał, że żołnierze polsko-bolszewickich oddziałów wiedzą, iż „każda kropla krwi wylanej na Wschodzie bogaty plon musi wydać na Zachodzie". I że bijąc się oraz umierając za Rosyjską Republikę Rad, przybliżają chwilę powstania dyktatury proletariatu w Polsce.

I Korpus walczy z Armią Czerwoną

Po przewrocie bolszewickim I Korpus Polski zaczął formalne podlegać dowództwu Armii Czerwonej, na której czele stanął chor. Nikołaj Krylenko. Bolszewicy postrzegali Korpus jako siedlisko reakcji i kontrrewolucji, gdyż zgłaszali się do niego licznie Polacy – byli oficerowie carskiej Armii. Krylenko postanowił „zrewolucjonizować" Korpus, żądając utworzenia w jego jednostkach rad żołnierskich, tak jak w Armii Czerwonej. Co, jak przyznawał Dąbal, równałoby się „likwidacji generałów i oficerstwa". Najpewniej pod słowem „likwidacja" kryła się eksterminacja oficerów.

Generał Dowbor-Muśnicki nie mógł się zgodzić na rady żołnierskie. Krylenko nakazał wówczas rozbicie I Korpusu Polskiego. Choć Dowbor wspomagał

eprasa.pl ac2b0923d8

zgrupowanie gen. Korniłowa, który podjął, nieudaną niestety, próbę marszu na Piotrogród – była to szansa na obalenie władzy bolszewickiej – to jednak oficerowie i żołnierze Korpusu w przeważającej większości nie zamierzali walczyć z bolszewikami. Nie uważali się za część sił kontrrewolucyjnych, choć oczywiście bolszewizm budził w nich strach i odrazę. Pragnęli przeczekać burzliwy czas wojny domowej, wrócić do swych domów albo – w przypadku tych, którzy mieszkali w Rosji – znaleźć swój nowy dom w Polsce. Zagrożeni jednak wybiciem przez bolszewików, musieli podjąć z nimi walkę – w samoobronie. Zostali pierwszymi polskimi żołnierzami, którzy podjęli walkę z Armią Czerwoną rok przed wybuchem wojny Polski z bolszewicką Rosją.

Uporczywe walki toczyły się o stację Jasień, zdobytą 17 lutego 1918 r.; wziął w nich udział rtm. Władysław Anders z 1. Pułku Ułanów. Ruszono dalej do stacji Tatarka. Tam od zawiadowcy dowiedziano się o tragicznym losie dwóch polskich żołnierzy, których bolszewicki dowódca oddał w ręce swoich podkomendnych, a ci pobili Polaków kolbami, skłuli ich bagnetami i jeszcze żywych zakopali w ziemi.

W nocy z 18 na 19 lutego 1918 r. rozegrał się bój na stacji kolejowej Osipowicze, gdzie gromadziły się oddziały bolszewickie. Polacy zdobyli działa, dwa pociągi sanitarne i kilkadziesiąt karabinów maszynowych, a także dwa samoloty.

Porucznik Stanisław Małagowski z 1. Dywizji Strzelców stworzył zaimprowizowany pociąg pancerny. Jak pisał jego szwagier Melchior Wańkowicz: „Zafasował zdobytą na bolszewikach lokomotywę, lory, wagony, opatrzył to workami z piaskiem, postawił armaty i karabiny maszynowe, zawagonował swoich konnych saperów z trzydziestu koniami i rozpoczął jedyną w swoim rodzaju partyzantkę na Krasny Brzeg, na Tiełuszę, na Żłobin".

Czerwonoarmiści dopuścili się wielu zbrodni na wziętych do niewoli polskich żołnierzach. Okrutną śmiercią zginęli zamęczeni przez bolszewików dwaj żołnierze 3. Pułku Ułanów. „Kazia [Tadeusz Pawlikowski – T.S.] i wziętego tegoż dnia do niewoli rotmistrza Bouffała odarto z butów, ubrania i bielizny i pędzono nago po śniegu przez wieś tłukąc kolbami. Później skłuto ich bagnetami i wreszcie dobito z karabinów" – pisał Michał Kryspin Pawlikowski. Bolszewicy dopuścili się też mordu w szpitalu polowym Polskiego Komitetu Pomocy Sanitarnej w Cichiniczach. Po zaciętej walce – w obronie szpitala wzięły udział grupa żołnierzy i część personelu – czerwonoarmiści zamordowali głównego lekarza Ludwika Mroczka, aptekarza Leona Nehrebeckiego, gospodarza szpitala Kazimierz Stillera, magazyniera Nowakowskiego i dwóch oficerów – pacjentów.



Żołnierze V Dywizji Strzelców Polskich (Syberyjskiej) FOT. WIKIPEDIA

Na Syberii i Kubaniu

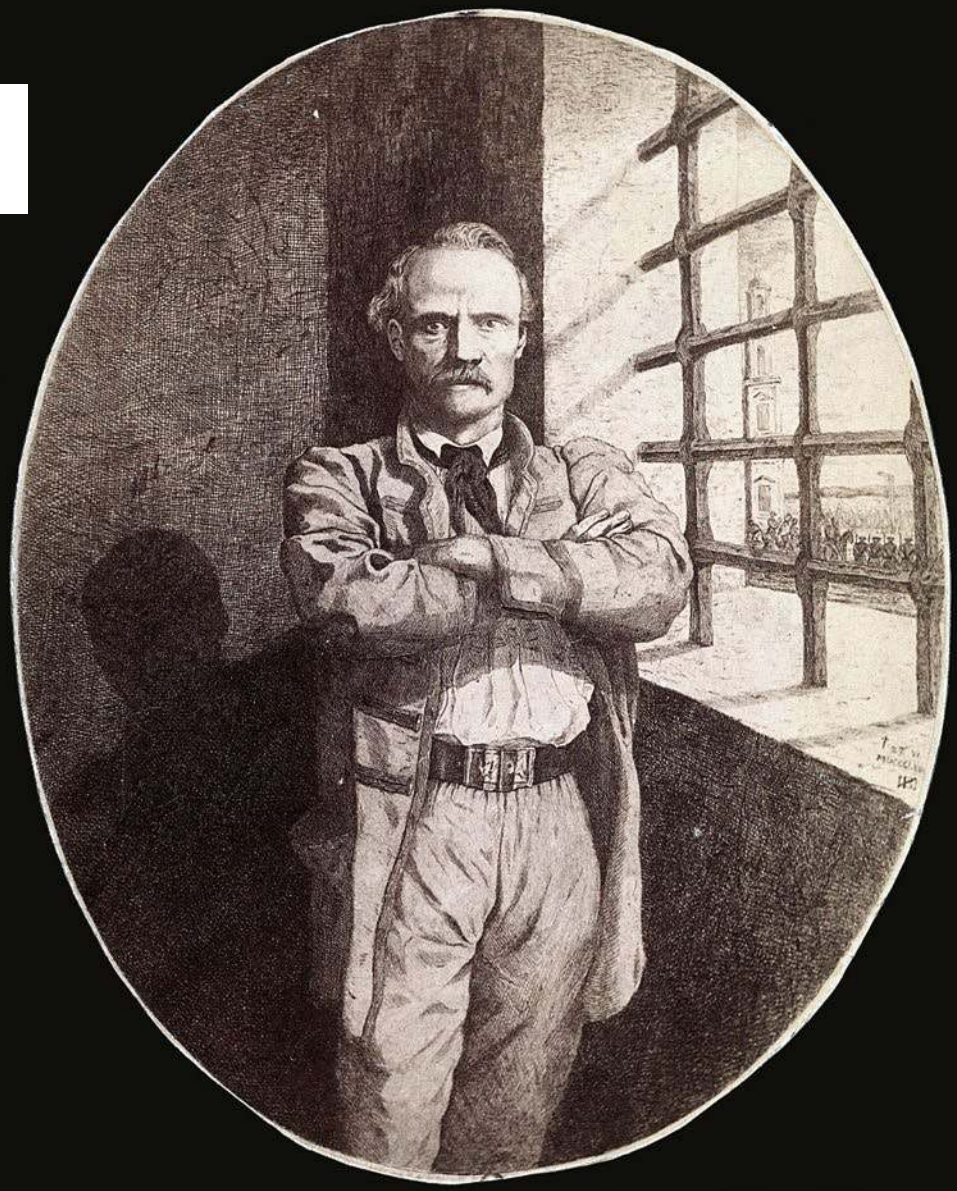
Walki z bolszewikami toczyła też 5. Dywizja Strzeleców Polskich (Syberyjska) płk. Kazimierza Rumszy. Była jedną z polskich dywizji biorących udział w toczącej się w tym czasie wojnie Polski z Rosją bolszewicką, tyle że na Syberii. Dramatyczny bój stoczyli – w trakcie ewakuacji koleją – żołnierze kpt. Józefa Werobeja 23 grudnia 1919 r. na stacji węzłowej Tajga z oddziałami korniłowskimi, które przeszły na stronę Armii Czerwonej. „Rozpoczęła się uporczywa, czasami wprost rozpaczliwa obrona stacji, gdzie dwóm batalionom strzeleckim 2. Pułku oraz szwadronowi ułanów przyszło trzymać się dzień cały w obliczu kilku pułków nieprzyjacielskich. Walczono przeważnie granatami ręcznymi na małą odległość, gdyż szczupłość sił i ciasnota miejsca nie pozwalała na szersze rozwinięcie działania, na zastosowanie artylerii. Najzawziętszy bój wrzał koło polskiego pociągu pancernego. Gdy ten, szturmowany przez przeważającą siłę nieprzyjacielską, stał się niezdatny do użytku, Polacy zdobyli na bolszewikach inny pociąg pancerny, którym następnie torowali sobie drogę poprzez oblegające ich zewsząd wojska" (Józef Birkenmajer, „Polska dywizja w tajgach Sybiru"). Walka ta, okupiona ciężkim stratami, okazała się zwycięska dla Polaków. Gdy Dywizja Syberyjska skapitulowała w styczniu 1920 r., oficerów uwięziono, a tych z batalionu szturmowego rozstrzelano.

Z Armią Czerwoną walczył też sformowany na Kubaniu Oddział Polski przy Armii Ochotniczej płk. Franciszka Zielińskiego, składający się z batalionu strzelców, dywizjonu ułanów, artylerii i kompanii oficerskiej. W listopadzie 1918 r. dwie kompanie mjr. Wyspiańskiego pobiły bolszewików, a – jak pisał Henryk Bagiński, autor „Wojska Polskiego na Wschodzie" – Oddział Polski podczas ciężkich bojów Armii Ochotniczej pod Stawropolem zabezpieczył jej skrzydło i uratował od klęski. „Samo zjawienie się łańcucha tyralierskiego strzelców polskich, odznaczających się białymi orzełkami na czapkach, było powodem ucieczki bolszewików".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8

1863 r. / Życie i śmierć przywódcy powstania na Litwie



Zygmunt Sierakowski w więziennej celi
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Męczeński krzyż szubienicy

eprasa.pl ac2b0923d8



Sławomir Koper

Zygmunt Sierakowski: – Gdyby twój car koronę mi swoją na głowę włożył, niczego się nie dowie. Życie mi wydrze, ale mnie nie spodli!

W lipcu 2017 r., podczas prac archeologicznych przy Górze Giedymina w Wilnie, odnaleziono zbiorową mogiłę zawierającą szczątki 20 osób. Były to ciała powstańców styczniowych straconych przez Rosjan, a prawdziwym zaskoczeniem stała się identyfikacja ciała przywódcy insurekcji na Żmudzi, gen. Zygmunta Sierakowskiego. Umożliwiła to zachowana obrączka ślubna z wygrawerowaną datą oraz imionami oficera i jego żony, Apolonii.

Sierakowski miał za sobą karierę w carskiej armii, dokąd trafił wprost z rot aresztanckich nad Morzem Kaspijskim, zesłany tam za próbę przedarcia się do Galicji w czasie Wiosny Ludów. Miał jednak szczęście i gdy objęła go amnestia, został skierowany do Jekaterynosławia na Ukrainie (obecnie Dniepr). Wówczas zdecydował się na karierę wojskową, którą zamierzał połączyć z działalnością patriotyczną, bo nie wyrzekł się polskości.

Trafił na dobry czas, gdyż klęska Rosji w wojnie krymskiej (1853–1856) wykazała brak wykwalifikowanej kadry oficerskiej w armii carskiej. Dlatego pomimo odium zesłańca Sierakowski dostał się do Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu, którą ukończył z wyróżnieniem w 1859 r. Następnie w stopniu kapitana trafił do Sztabu Generalnego, gdzie opracował projekt reformy wojskowego kodeksu karnego. Dotychczasowy wywodził się bowiem z czasów Piotra I (!) i po ponad półtora wieku stał się niebezpiecznym anachronizmem.

Ku powstaniu

Jego projekt został przyjęty z zadowoleniem przez ministra wojny Rosji, Dmitrija Milutina, i do jego rozpatrzenia powołano specjalną komisję. Sierakowski przestał być anonimowym oficerem i jako oficjalny przedstawiciel rosyjskiej armii wyjeżdżał nawet kilka razy na zachód Europy. Zajmował się tam głównie badaniem „kryminalistyki wojskowej", co w praktyce oznaczało studia nad rozwiązaniami dotyczącymi systemu penitencjarnego w armiach państw zachodnich.

Kariera w wojsku rosyjskim nie oznaczała, że Sierakowski przestał być polskim patriotą. Jeszcze podczas studiów w Petersburgu należał do Koła Oficerów Polskich dążącego do liberalnych reform w państwie carów. Z czasem jego poglądy ewoluowały w stronę obalenia ustroju i walki zbrojnej o odzyskanie niepodległości przez Polskę. Niemały wpływ miały informacje o demonstracjach warszawskich i krwawym ich tłumieniu. Koło Sierakowskiego szybko się rozrastało i niebawem liczyło aż 145 oficerów.

Podróże na zachód Europy Sierakowski wykorzystywał na nawiązanie kontaktów z polskimi grupami emigracyjnymi. Jednocześnie okazał się gorliwym zwolennikiem współpracy z rosyjskimi przeciwnikami caratu.

Działalność konspiracyjna nie przeszkodziła Sierakowskiemu w uregulowaniu spraw prywatnych. Latem 1861 r. poznał Apolonię Dalewską, córkę ziemian z Wileńszczyzny. Jej starsi bracia – Franciszek i Aleksander – tworzyli Związek Bratni Młodzieży Polskiej na Litwie, największą organizację konspiracyjną na ziemiach utraconych, powstałą po upadku powstania listopadowego. Aresztowani spędzili ponad 10 lat na katordze, a po powrocie ponownie włączyli się w nurt działalności patriotycznej. I właśnie z nimi spotkał się Sierakowski w czasie jednej z wizyt w Wilnie i przy tej okazji poznał Apolonię.



Murawjow i Apolonia Sierakowska

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Problem stanowiła jednak reputacja Dalewskich w Wilnie. Kontakty z rodziną byłych katorżników mogły skompromitować Sierakowskiego w oczach jego przełożonych z armii rosyjskiej. Bracia Apolonii uważali, że należy go „oszczędzić, zachować na lepsze czasy", gdyż był zbyt ważną postacią dla konspiracji. Dlatego też niechętnie patrzyli na odwiedziny Sierakowskiego w ich domu. Zakochany w Apolonii nie zwracał uwagi na bezpieczeństwo.

Pobrali się w Wilnie w sierpniu 1862 r., na ślubie obecni byli tylko najbliżsi. Potem wyjechali w podróż poślubną do Paryża przez Warszawę i Kraków, a w bliżej nieznany sposób (być może dzięki osobistej decyzji Milutina) udało się Sierakowskiemu połączyć wyjazd z żoną z delegacją służbową do Francji i Algierii. Oficer

eprasa.pl ac2b0923d8



wykorzystał okazję, by spotykać się z polskimi spiskowcami. Przy okazji poznał też osobiście legendę europejskiej rewolucji, Giuseppe Garibaldiego. Nie ukrywał przed żoną swoich kontaktów, „chcąc, dopóki żył, by poznała najlepszych ludzi i doświadczyła wszystkiego, co jest najlepszym na ziemi".

Do żony pisał piękne listy, będące dowodem głębokiej miłości i przywiązania: „Słuchaj, Polciu, co Ci powiem: żadna kobieta nie była więcej, a bodaj nie była tak kochaną, jak Ty jesteś kochaną. W średnich wiekach mówiono, że nie godzi się tak kochać stworzenie, że tylko Stwórcę godzi się tak kochać".

Ostateczna decyzja

Sierakowski, podróżując służbowo po zachodnich guberniach państwa rosyjskiego, obserwował stan tamtejszych garnizonów, ich liczebność i zaopatrzenie. Oficjalnie wykonywał zlecone mu zadania, ale w rzeczywistości interesował się możliwościami opanowania rosyjskich fortyfikacji po wybuchu powstania. Czasami jego działalność wzbudzała zaniepokojenie miejscowych oficerów, ale Sierakowski posiadał wszelkie pełnomocnictwa, a przełożeni mieli do niego całkowite zaufanie.

Wybuch powstania zastał go w Petersburgu, gdzie czekał na dalsze polecenia, wiedząc, że przewidywano go na dowódcę zrywu na Litwie. Rozkaz otrzymał po kilku tygodniach i chociaż nie wierzył w sukces insurekcji i nawet stwierdził, że polecenie było dla niego wyrokiem śmierci, to jednak się nie zawahał. Nie chciał oficjalnie zrezygnować ze służby w carskiej armii, gdyż wiedział, że zostałby natychmiast aresztowany.

„Podając się w tej chwili do dymisji – tłumaczył żonie – przedłużyłbym swe życie, ale nie spełniłbym obowiązku wobec ojczyzny, względem współbraci wzywających mnie w potrzebie. Z tym przeświadczeniem żyć bym nie mógł, nie chciał, nawet przy Tobie! I Ty byś mną pogardziła, bo byś tego, w któregoś wierzyła, już byś we mnie nie znalazła".

Poprosił zatem przełożonych o urlop (w międzyczasie dostał awans na pułkownika) i pod pozorem konieczności wyjazdu z żoną na leczenie udał się do Wilna. Stamtąd wyjechał na Kowieńszczyznę, a Apolonia udała się do rodziny w Kiejdanach. Tuż przed opuszczeniem litewskiej stolicy przesłał na ręce Milutina prośbę o dymisję wraz listem wyjaśniającym jej motywy. Zakończył go słowami, że być może minister „za kilka tygodni podpisze na niego wyrok śmierci, ale i wtenczas nie będzie mógł mu odmówić szacunku". Od tej chwili miał też używać powstańczego pseudonimu Dołęga.

Planował przeniesienie powstania na Inflanty i zdobycie twierdzy w Dyneburgu, a także wywołanie powstania chłopskiego w guberni mohylewskiej. Nic z tego jednak nie wyszło, chociaż otrzymał nominację na głównodowodzącego w guberni wileńskiej. Gdy jednak zarządził koncentrację w lasach koło Kiejdan, okazało się, że tak naprawdę to nie może liczyć na zbyt wiele. Wprawdzie pojawili się Bolesław Kołyszko na czele 200-osobowego oddziału oraz ks. Antoni Mackiewicz, który przyprowadził siedmiu kosynierów, i ściągali pojedynczy ochotnicy, ale Sierakowski miał zaledwie 300 kiepsko uzbrojonych ludzi, co fatalnie rokowało na przyszłość.

Był jednak całkiem sprawnym dowódca, co udowodnił już 21 kwietnia w potyczce pod Gienetyniami. Jego przeciwnikiem był liczący 500 osób oddział mjr. Kawera, dysponujący druzgocącą przewagą uzbrojenia. Powstańcy byli bowiem uzbrojeni głównie w broń myśliwską, kosy i drągi, podczas gdy naprzeciwko stanęło regularna piechota i jazda. „Dołęga" zdawał sobie z tego sprawę i zaatakował wroga na grobli w bagnistej okolicy. Ogień z dwururek i sztucerów był bardzo celny, a kosynierzy Maćkiewicza odparli sześć (!) rosyjskich kontrataków na bagnety. Rosjanie ostatecznie wycofali się przez bagna, tracąc około setki ludzi, natomiast straty polskie wyniosły sześć osób.

Niebawem do Sierakowskiego przyłączyło się kilka dalszych oddziałów i na ich czele ponownie pokonał Rosjan pod Korsakiszkami. Zwycięstwa wzmogły napływ ochotników i ostatecznie siły „Dołęgi" liczyły ok. 2,5 tys. ludzi, a oficer miał nadzieję, że to dopiero początek, gdyż chłopi litewscy przyjmowali go życzliwie, gdyż propagował powstańczy program uwłaszczeniowy oferujący lepsze warunki niż oficjalny dekret carski.

Rosjanie zdawali sobie sprawę z tego, że Sierakowski stanowił dla nich realne zagrożenie. Gdy zatem wymaszerował w kierunku Kurlandii, gdzie zamierzał przejąć dostawy broni, które mały być przysłane z Wielkiej Brytanii, to w pościg za nim wyruszyło wojsko gen. Iwana Ganeckiego. Rosjanie mieli 1,5 tys. dobrze uzbrojonych żołnierzy i 7 maja starli się w pobliżu Birż z kolumną dowodzoną przez Kołyszkę. Napotkali jednak zajadły opór, a nadejście oddziałów dowodzonych osobiście przez Sierakowskiego zmusiło napastników do odwrotu.

Następnego dnia wznowiono bitwę i po raz kolejny potwierdziło się, że kosy mają przewagę nad rosyjskimi bagnetami. Niestety, to broń palna zadecydowała o losach starcia. Po południu Sierakowski dostał ciężki postrzał w bok i chociaż usiłował jeszcze dowodzić, klęcząc, to jednak na dłuższą metę okazało się to

eprasa.pl ac2b0923d8

niemożliwe. Poległo też kilku najzdolniejszych oficerów i zarządzono odwrót, który przerodził się w paniczną ucieczkę.

Losy starcia rozstrzygnęły się kolejnego dnia, gdy Ganecki dowiedział się, że dowodzący powstańcami „Dołęga" tak naprawdę nazywa się Sierakowski. Dobrze znał to nazwisko i następnego dnia wznowił walkę, chcąc pokonać „zdrajcę". Sierakowski usiłował jeszcze dowodzić, leżąc na wozie, a Mackiewicz rzucił do samobójczego ataku kosynierów. Ostatecznie udało się wyprowadzić 500 ludzi, a reszta rozproszyła się lub dostała się do niewoli. Dzień później trafił do niej również Sierakowski, którego odwieziono do opuszczonego dworu w Skrobiszkach. Został jednak zadenuncjowany przez żonę jednego z okolicznych ziemian.

Ofiara Murawjowa

Była to strata nie do powetowania dla powstania na Litwie. W niewoli znalazł się najzdolniejszy dowódca nie tylko cieszący się popularnością wśród swoich podwładnych, lecz także darzony szacunkiem przez drobną szlachtę i chłopów. Nic dziwnego, że generał-gubernator wileński, Michaił Murawjow (osławiony Wieszatiel), uznał wyeliminowanie Sierakowskiego za jeden z najważniejszych sukcesów w walce z powstańcami.

„Dołęga" był ciężko ranny, pocisk wroga zgruchotał mu kilka żeber itrawiła go wysoka gorączka. W Wilnie przeprowadzono operację, ale jego stan niewiele się poprawił. Był też przesłuchiwany, żądano ujawnienia nazwisk przywódców powstania, ale pomimo obietnic ułaskawienia nie chciał zeznawać. Przesądził tym samym o swoim losie, gdyż do stolicy Litwy przybył właśnie Murawjow, który chciał utopić powstanie we krwi, i śmierć „Dołęgi" była mu potrzebna do zastraszenia miejscowego społeczeństwa. Sierakowski mógł liczyć na skuteczną ucieczkę, gdyż sprzyjali mu nawet miejscowi Rosjanie, ale stan zdrowia nie pozwolił mu się jej podjąć. W tej sytuacji wiedział, że czeka go egzekucja, ale świadomie postanowił uczynić ze swojego życia ofiarę. I z całym spokojem odmawiał zeznań, żądając przysłania obrońcy i uczciwego sądu.

Rosjanie zgodzili się na wizytę Apolonii w więziennym szpitalu. Może zresztą mieli nadzieję, że widok żony będącej



SŁAWOMIR KOPER
„ZAPOMNIANE KRESY. OSTATNIE POLSKIE LATA"
FRONDA

w ciąży skruszy opór Sierakowskiego. „Dano kwadrans czasu – relacjonowała Apolonia. – Klęczałam przy jego łóżku. »Polciu – rzekł półgłosem – wczoraj podpisałem wyrok śmierci słowami: nic nie wiem, a choćbym wiedział, to wam nie powiem«. Co się ze mną stało, nie wiem – ostatnie słowa, jakie jeszcze słyszałam były: »Boże! Ciebie nie przygotowano, że to nasze ostatnie widzenie się«". Apolonia zemdlała i po chwili wyniesiono ją z celi. Więcej męża już nie zobaczyła.

Poranek 27 czerwca 1863 r. w Wilnie był mglisty i szary. Apolonia przebywała w swoim mieszkaniu, którego bez zgody nadzorców nie mogła opuszczać. Nagle w centrum miasta rozległ się warkot bębnów wojskowych i pani Sierakowska dobrze wiedziała, co to oznacza. W jej mieszkaniu pojawił się jeden z carskich urzędników i oznajmił, że skoro jej mąż odepchnął łaskę cara, to za chwilę „zginie podłą śmiercią na szubienicy".

Krakowski „Czas" zamieścił dłuższą relację z ostatnich chwil bohatera: „Od rana złowieszczy bęben ogłaszał miastu nową ofiarę dla Moskwy. Po dziewiątej Sierakowski otoczony tłumami wojska, stojący w odkrytej dorożce, wsparty


Zygmunt Sierakowski FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

na ramieniu księdza i sługi szpitalnego, mimo cierpienia niezagojonej rany, ze zwykłą swobodą na twarzy, witał lud cisnący się po drodze. Po przybyciu na plac [Łukiski] przystąpił do niego jeszcze raz ajent Murawiowa i wobec szubienicy, w imieniu cara, obiecywał zupełne przebaczenie i bajeczną fortunę, aby tylko wydał główne sprężyny Rządu Narodowego w Warszawie i na Litwie. Sierakowski odpowiedział głośnym śmiechem i słowami: »Gdyby twój car koronę mi swoją na głowę włożył, niczego się nie dowie. Życie mi wydrze, ale mnie nie spodli!«.

Przeczytano dekret. Sierakowski […] pożegnał się z kapłanem, padł na ziemię, ucałował ją po raz ostatni. […] Siepacze pociągnęli go ku szubienicy. Ostatnie słowa jego były: »Ojcze, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi«.

Kapłan przeżegnał go już wiszącego. Bohater Litwy już nie żył".

Wypełniły się jego słowa, gdy przed wyruszeniem do powstania tłumaczył Apolonii, że „śmierć na szubienicy nie jest hańbą dla Polaka". To miał być rodzaj „krzyża dla chrześcijanina", a z „czasem szubienica stanie się godłem czasów męczeńskich Polski".

Apolonia została zesłana do Nowogrodu, gdzie urodziła córkę. Następnie wraz z dzieckiem trafiła do Samary, gdzie dziewczynka zmarła w wieku niespełna trzech lat. Wdowa po Sierakowskim doczekała carskiej amnestii i ostatecznie osiadła w Warszawie, gdzie utrzymywała się z nauczania i prowadziła tajną szkółkę dla dziewcząt. Doczekała wolnej Polski, zmarła w styczniu 1919 r.

Zygmunta Sierakowskiego wraz z innymi ofiarami carskiego terroru, których szczątki odkryto na zboczach Góry Giedymina, uroczyście pochowano w kaplicy cmentarnej na wileńskiej Rosie 22 listopada 2019 r. W uroczystościach brali udział: prezydenci Polski i Litwy oraz wicepremier Białorusi. Nabożeństwo w katedrze wileńskiej odprawiono w trzech językach, co symbolizowało trzy główne narodowości Wielkiego Księstwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

J. Gieysztor, „Pamiętniki z lat 1857–1865", t. 1, Wilno 1913.
„Listy Z. Sierakowskiego do W. Spasowicza", „Przegląd Historyczny" 2/1967.
A. Sierakowska, „Wspomnienia", Warszawa 2010.

eprasa.pl ac2b0923d8



Arkadiusz Karbowiak

1941 r. / Fiasko ukraińskiej Republiki Poleskiej

Tajemnica „Bulby”

Próbę stworzenia minipaństwa ukraińskiego przy boku III Rzeszy zniszczyli sami Niemcy



Taras Boroweć w 1941 r.
FOT. DOMENA PUBLICZNA

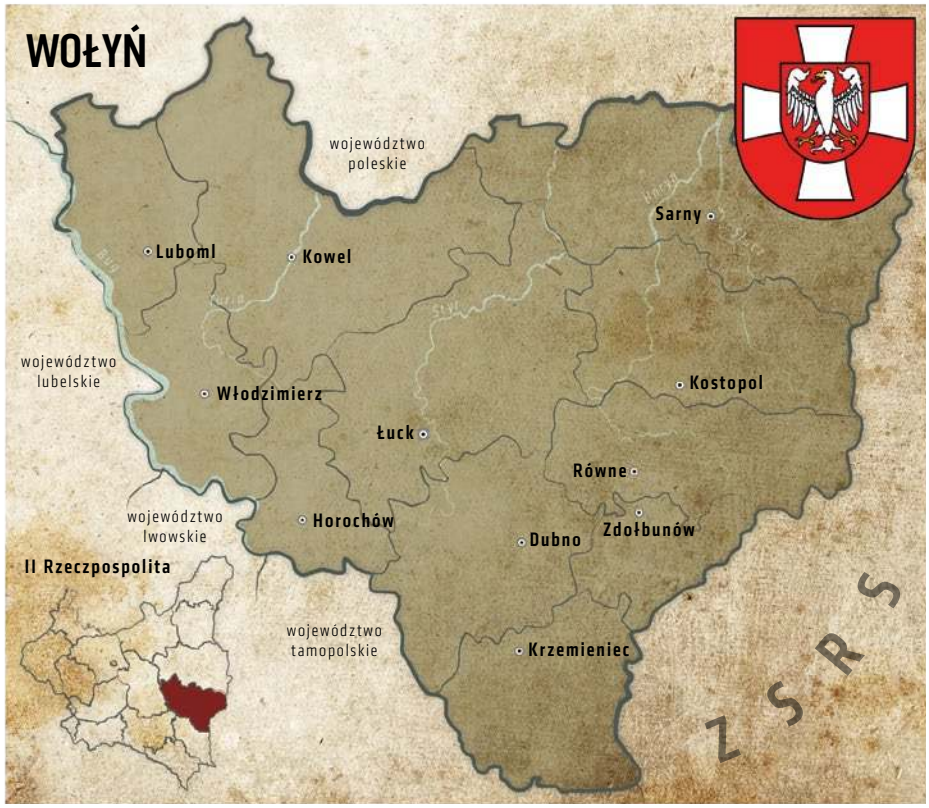
Historia Siczy Poleskiej to jeden z mniej znanych rozdziałów działalności ukraińskiego ruchu niepodległościowego podczas drugiej wojny światowej. Wydaje się, że jest ona na tyle ciekawa i fascynująca, że warto ją przypomnieć. Animatorem powstania Siczy Polskiej był urodzony 9 marca 1908 r. we wsi Bystrzyce na Wołyniu Taras Boroweć. Początkowo nic nie wskazywało na to, że ten ukraińskiego pochodzenia obywatel II RP zaangażuje się w działalność polityczną. O tym, że tak się stało, zadecydował przypadek, a konkretnie spotkanie z sotnikiem (kapitanem) armii Ukraińskiej Republiki Ludowej Wasylem Rajewśkim. Ten skontaktował go z płk. Iwanem Łytwynenko, również oficerem armii URL, pełniącym od jesieni 1928 r. funkcję szefa mającej swą siedzibę w Równem, a podlegającej Centrum Państwowemu URL, petlurowskiej komórki antysowieckiego wywiadu. Boroweć został jej współpracownikiem. Jako kurier przechodził kilkakrotnie granicę polsko-sowiecką, przerzucając do ZSRS literaturę i materiały propagandowe o treści antybolszewickiej.

Po zamachu dokonanym przez OUN na ministra Bronisława Pierackiego Boroweć, podejrzewany o związki z nacjonalistycznym podziemiem, trafił w sierpniu 1934 r. do obozu odosobnienia w Berezie Kartuskiej. Po zwolnieniu w marcu 1935 r. rozpoczął działalność jako prywatny przedsiębiorca w branży kamieniarskiej. Musiał cieszyć się pewną renomą, skoro otrzymał zlecenie wykonania płyty nagrobnej grobu matki Józefa Piłsudskiego, pochowanej na wileńskiej Rossie. Klęska poniesiona przez

eprasa.pl ac2b0923d8

Polskę we wrześniu 1939 r. spowodowała, że Boroweć już w nowej okupacyjnej rzeczywistości zatrudnił się w Ukraińskim Komitecie Pomocowym w Warszawie jako referent do spraw opieki nad ukraińskimi uchodźcami, utrzymując jednocześnie intensywne kontakty ze środowiskiem petlurowskim. Zaowocowały one propozycją wyjazdu na okupowane przez ZSRS tereny Wołynia z misją zorganizowania tam podziemia ukraińskiego.

1 sierpnia 1940 r. w okolicach Włodawy Boroweć przekroczył granicę niemiecko-sowiecką razem z kurierką Walentyną Kulczyńską. Jego towarzyszka wpadła w ręce Sowietów i poniosła śmierć. Samemu Boroweciowi udało się stworzyć na Wołyniu antybolszewicką siatkę konspiracyjną i pomimo aresztowań niektórych jej członków doczekać na wolności do momentu wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej.



RYS. JACEK GRAMBURG

Sojusznik Niemców

„Honta" (pseudonim Borowecia) jak wielu Ukraińców liczył, że III Rzesza będzie zainteresowana stworzeniem niepodległego państwa ukraińskiego. Dlatego przystąpił do budowania na terenach Wołynia i Polesia, we współpracy z Niemcami, ukraińskich struktur quasi-państwowych. Już 28 czerwca 1941 r. we wsi Niemowicze, położonej w rejonie sarneńskim, Boroweć wydał swój pierwszy rozkaz, tzw. rozkaz numer 1, skierowany do wszystkich dowódców wojskowych. „Bulba", bo tym nowym pseudonimem go podpisał, wezwał w nim do tworzenia oddziałów powstańczych, organizowania aktów sabotażu dywersji wobec wycofujących się jednostek Armii Czerwonej, przejmowania władzy na terenach wyzwolonych z rąk bolszewickich i tworzenia milicji ukraińskiej. Boroweć nie tylko wzywał do walki, lecz także sam dawał przykład. W pierwszych dniach lipca w Sarnach z grupą kilkunastu podkomendnych rozbroił tamtejszą komunistyczną milicję.

Niemiecki raport tak opisywał jego udział w tym przedsięwzięciu: „W przededniu niemieckiej okupacji Sarn on i niewielka grupa jego zwolenników, uzbrojona w tylko jeden pistolet, rozbroiła bolszewicką milicję w Sarnach, przejmując kontrolę nad tą miejscowością". Wydaje się, że ten opis zawarty w niemieckim meldunku, jeśli może być prawdziwy w kontekście przedstawionych wydarzeń, nie powinien skłaniać do zbyt daleko idących wniosków. „Bulbie" nie udało się w pełni uchwycić władzy w mieście, a duży wpływ na proces kształtowania się ukraińskich struktur administracyjnych w Sarnach mieli działacze banderowskiej frakcji OUN.

Natomiast Taras Boroweć nominowany został na stanowisko komendanta ukraińskiej policji w rejonie sarneńskim. W wydanym przez siebie rozkazie numer 2 z 19 lipca 1941 r. nadał wszystkim tworzonym przez siebie grupom bojowym nazwę Ukraińska Powstańcza Armia – Sicz Poleska. Sam przyjął – jak to widać z podpisu pod raportem z dnia 25 lipca 1941 r., kierowanym do szefa rejonowej administracji w Sarnach – tytuł atamana Poleskiej Siczy. „Bulbie" podporządkowane zostały posterunki ukraińskiej milicji/policji w Dąbrówce, Rafałówce, Klesowie, Morochnym, Rokitnie. Ta ostatnia z wymienionych miejscowości jest miejscem ustanowienia pierwszych siczowych struktur administracyjno-policyjnych. Tam też odbyły się 24 lipca 1941 r. zorganizowane przez „Bulbę" uroczystości związane z proklamowaniem 30 czerwca 1941 r. we Lwowie Aktu Restytucji Państwa Ukraińskiego.

Ważnym zagadnieniem w kontekście rozbudowy oddziałów UPA-Siczy Poleskiej było stworzenie sprawnie działających oddziałów wojskowych zdolnych do skutecznego przeciwstawienia się ukrywającym się po lasach sowieckim oddziałom z rozbitych przez Niemców jednostek Armii Czerwonej oraz grupom tworzącej się komunistycznej partyzantki. Posterunki siczowej milicji, choć czasami liczne, złożone były często z ochotników nieposiadających właściwego przeszkolenia wojskowego. Z trudnością przychodziła im obrona własnych miejscowości, nie mówiąc już o ewentualnym udziale w operacjach antypartyzanckich. Istniała więc pilna potrzeba powołania do życia w ramach Siczy mobilnych oddziałów mogących oczyścić lasy z wszelkich grup bolszewickich. I choć ochotników do nich nie brakowało, to podstawową bolączką był jednak deficyt kadry dowódczej.

Aby ją pozyskać, ataman postanowił udać się do Lwowa. Tam spotkał się z Mykołą Sciborskim i Omelianem Senykiem, czołowymi działaczami melnykowskiej frakcji OUN. Efektem kilkudniowych rozmów było zawarcie 4 sierpnia 1941 r. umowy o współpracy wojskowej. Liderzy OUN-M wyrazili wolę udzielenia pomocy Siczy Poleskiej w postaci dostarczenia niezbędnych kadr wojskowych. Ze swych deklaracji wywiązali się szybko, ponieważ po kilku dniach od zakończenia

eprasa.pl ac2b0923d8

negocjacji na terenach opanowanych przez siczowców pojawiła się grupa kilku oficerów w osobach m.in. Zenona Domazara, Jarosława Czerepki oraz późniejszego komendanta ukraińskiej policji w Kijowie Anatolija Kabajdy. Podobne porozumienie zawarł „Bulba" ze środowiskiem skupionym wokół osoby hetmana Pawła Skoropadskiego. Dzięki temu do jego sztabu przyjechał jako konsultant Iwan Trejko, legendarny ataman posiadający duże doświadczenie wojskowe, nabyte w trakcie dowodzenia na terenach Rosji sowieckiej, a potem ZSRS w latach 1921–1925, oddziałem petlurowskiej partyzantki.

Umowa z melnykowcami zaowocowała objęciem funkcji szefa sztabu Siczy Poleskiej przez majora dyplomowanego WP i pułkownika armii URL Petra Diaczenkę, w przeszłości dowódcę znanego z niezwykłej waleczności kawaleryjskiego Pułku Czarnych Zaporożców. Po zakończeniu kampanii wrześniowej i zwolnieniu z obozu jenieckiego pułkownik rozpoczął pracę w suwalskiej placówce Abwehry, nadzorując kontakty pomiędzy niemieckim wywiadem a konspiracyjną, wchodzącą w skład ZWZ, Polską Armią Wyzwolenia, kierowaną przez pchor. Edwarda Stankiewicza „Dawera". Niestety, płk Diaczenko wytrwał na swym stanowisku bardzo krótko, bo zaledwie do 20 sierpnia 1941 r. Po rezygnacji jego obowiązki przejął poprzedni szef sztabu Wołodymyr Komar, nieposiadający zresztą ku temu żadnych kwalifikacji. Dopiero 26 września zastąpił go pułkownik armii URL Petro Smorodśkij.



Sowiecki pistolet maszynowy PPSz

FOT. WIKIPEDIA

Krótki byt minipaństwa

8 sierpnia 1941 r. „Bulba" zainicjował w Równem rozmowy z przedstawicielami dowództwa 213. Dywizji Zabezpieczenia (213. Sicherungs-Division), podczas których domagał się wyrażenia zgody na stworzenie 1000-osobowej jednostki przeznaczonej do zwalczania partyzantki. Niemcy zaaprobowali jego propozycję. Można powiedzieć, że od tego momentu rozpoczął się proces faktycznej rozbudowy oddziałów Siczy Poleskiej. 10 sierpnia 1941 r. były oficer kontraktowy WP, por. Petro Oksentiw (przybył do Siczy Poleskiej wraz z płk. Diaczenką), otrzymał podczas pobytu w Klesowie od ówczesnego nowo mianowanego szefa sztabu rozkaz o sformowaniu kurenia rokitańskiego, z którym ów oficer miał przystąpić do działań zmierzających do zdobycia Olewska.

Porucznik Terlica (pseudonim Oksentiwa) wspominał: „Kiedy pojawiłem się na zbiórce, zobaczyłem przed sobą 40 Poleszczuków w połowie uzbrojonych, z których tylko kilku służyło w wojsku… Po przeglądzie złożyłem raport pułkownikowi Diaczence i wyruszyłem w kierunku Rokitna. Po drodze dołączyło do mnie 10 ochotników z okolicznych wsi, dzięki czemu, kiedy przyjechałem do Rokitna, miałem już 50 kozaków. We wsi zastałem kolejnych 180 kozaków z okolicznych wsi, którzy przybyli na apel atamana »Bulby«. W ten sposób udało mi się do 11 sierpnia zebrać ponad 200 kozaków i rozpocząłem tworzyć 1. kureń Poleskiej Siczy".

Porucznik Oksentiw na czele swego batalionu zajął Olewsk 15 sierpnia 1941 r. W mieście nie doszło do zbyt intensywnych walk, ponieważ broniących go 70 sowieckich partyzantów z oddziału im. Czapajewa zdecydowało się je opuścić na wieść o nadchodzących siłach atamana. Fakt ten potwierdzają słowa jednego z bolszewickich uczestników tych zmagań Pawła Maksymca: „Ja pamiętam, że na zwiad do wsi Kamionka był wysłany Iwan Doroszenko i kiedy wrócił, powiadomił nas, że z Kamionki maszeruje w stronę Olewska 500 Niemców. Ale potem okazało się, że to nie byli Niemcy, ale nacjonaliści. Mając te wiadomości, nasz batalion był zmuszony do wycofania się z Olewska do wsi Szebedychy". Straty bolszewików w walkach o Olewsk były niewielkie i wyniosły jednego zabitego. Poza tym do niewoli wzięto partyzanta żydowskiego pochodzenia oraz żonę jednego z komunistycznych dowódców. Ponadto uwolniono sześciu ukraińskich więźniów.

Zajęcie miasta nie zakończyło zmagań z sowieckim podziemiem. 17 sierpnia 1941 r. 15-osobowy patrol rozpoznawczy siczowców w okolicach wsi Szebedychy natknął się na oddział bolszewików. W wyniku wymiany ognia polegli jeden sowiecki oficer i jeden siczowiec, którym był mieszkaniec Klesowa Wołodymyr Dubycz. Cztery dni później do kolejnego kontaktu bojowego doszło w Sobyczyńskich Budkach, gdzie zostało rannych dwóch siczowców, a śmierć z ich ręki poniosło pięciu bolszewików. 19 sierpnia 1941 r. sześcioosobowa grupa bolszewików wkroczyła do Snowydowycz. Tam rozbito posterunek policji i zastrzelono po uprzednim zmasakrowaniu bagnetami komendanta klesowskiej policji, Bohaczowa.

Zdobycie Olewska zapoczątkowało krótki – jak się potem okazało – ale intensywny żywot swoistego minipaństwa ukraińskiego, znanego pod nazwą Republika Olewska, obejmującego tereny Żytomierszczyzny, białoruskiego Polesia i wołyńskiej Równieńszczyzny. Od 20 sierpnia 1941 r. w Olewsku rozpoczęła urzędowanie ukraińska powiatowa administracja. Na jej czele stanął Borys Symonowycz. Komendantem powiatowej policji został natomiast Iwan Dežniuk, natomiast na dowódcę 36-osobowej olewskiej załogi policyjnej wyznaczono Denysa Demczuka. Poza Olewskiem posterunki policji złożone z siczowców ustanowiono m.in. w Stołpince, Kopyszczach, Jurowych, Szuszanach, Łopatyczach. Do Olewska przeniosło swoją siedzibę dowództwo Siczy Poleskiej na czele z atamanem „Bulbą".

W mieście starano się odrodzić życie kulturalne, społeczne, gospodarcze, a także religijne. To ostatnie zorganizował sprawujący posługę duszpasterską nad żołnierzami Siczy prawosławny kapłan Mychajło Symonowycz. Udało się też uruchomić pracę elektrowni i fabryk: porcelany, ceramiki, mebli. Normalną działalność zaczęła prowadzić służba zdrowia. Otwarto przychodnię i szpital, a także, choć brakowało nauczycieli, szkoły. Do Olewska zostaje także prze-

eprasa.pl ac2b0923d8



Czaszki ofiar z mogił zbiorowych w Woli Ostrowieckiej na Wołyniu, 1992 r FOT. AIPN

niesiona szkoła podoficerska, kierowana przez por. Maksyma Łomonosowa, a jej 25 absolwentów zasiliło szeregi oddziałów Siczy. Od 14 września 1941 r. w mieście zaczął się ukazywać tygodnik „Hajdamaky". Wyszło 11 numerów pisma, a kierował nim (od szóstego numeru) były sowiecki milicjant żydowskiego pochodzenia Petro Syhołenko (Chaim Sygal), skazany później w 1952 r. przez sąd sowiecki na karę śmierci za współudział w zbrodniach na Żydach popełnionych w czasie, gdy kierował w 1942 r. ukraińską policją w Dąbrówce.

15 września 1941 r. do Olewska został dyslokowany niemiecki oddział wojskowy. Jego dowódca Hauptmann Schulze brał udział jako przedstawiciel władzy niemieckiej w zorganizowanej na miejskim stadionie przysiędze, składanej na wierność państwu ukraińskiemu, członków Siczy i przedstawicieli rejonowej administracji. Aby uświetnić ową uroczystość, do Olewska przyjechała fabryczna orkiestra z Rokitna oraz amatorska grupa teatralna. Pięć dni później 60-osobowa kompania siczowców, dowodzona przez Petra Dowmatiuka, wsparta 70 żołnierzami Wehrmachtu, wysłana zostaje do przeprowadzenia wspólnej akcji antypartyzanckiej.

Do starcia z bolszewikami dochodzi pod wsią Borowe. Przy stratach (siczowców) – jeden zabity i dwóch rannych – siły niemiecko-ukraińskie likwidują pięciu bolszewików, zdobywając pięć karabinów maszynowych, 25 karabinów, siedem koni z siodłami i polową kuchnię. We wrześniu ma miejsce reorganizacja struktur Siczy Poleskiej. Dotychczasowe dwa kurenie klesowski i ludwipolski przeformowano w cztery odrębne sotnie. Część żołnierzy – szczególnie tych, którzy mieli problemy z zachowaniem dyscypliny – zwolniono do domu. Stany osobowe Siczy Poleskiej ulegają zmniejszeniu z 600–700 żołnierzy do 300–400 (nie licząc funkcjonariuszy policji i administracji, których liczba oscylowała w granicach 300 osób).

Kres Republiki Olewskiej

Tymczasem na Żytomierszczyźnie zakończył się okres panowania administracji wojskowej Wehrmachtu. Władzę zaczęła sprawować administracja cywilna. 20 października 1941 r. w ramach RKU (Komisariat Rzeszy Ukraina) utworzono Okręg Generalny Żytomierz, w skład którego wchodziła w dużej części Republika Olewska. Stojący na czele RKU Komisarz Rzeszy Erich Koch nie zamierzał na okupowanych terytoriach utrzymywać policyjnych i administracyjnych tworów autonomicznych, oczekując całkowitego podporządkowania się Siczy Poleskiej władzom niemieckim. 9 listopada 1941 r. „Bulba" udał się do Równego na rozmowy ostatniej szansy z dowódcą niemieckich sił Wehrmachtu w RKU, gen. Karlem Kitzingerem. Nie przyniosły one pozytywnych rezultatów.

Ataman, widząc całkowitą niechęć Niemców potraktowania go jak partnera, 16 listopada 1941 r. zebrał 15 najbliższych współpracowników i przedstawił im sytuację. Podczas narady podjęto decyzję o rozwiązaniu oddziału. Na wniosek płk. Smorodśkiego rada oficerów przyznała atamanowi stopień generała-chorążego. Rozkaz o rozwiązaniu Siczy Poleskiej ogłoszono dzień później w brzmieniu: „Ze względu na zakończenie naszych bojowych akcji mających na celu oczyszczenie Polesia z bolszewickich partyzantów i wszelkich band anarchistycznych nasz oddział Poleska Sicz zostaje rozwiązany". 18 listopada 1941 r. przybył do Olewska z Żytomierza oficer niemiecki z żądaniem przeprowadzenia przez członków Siczy Poleskiej egzekucji miejscowych Żydów.

W protokole z narady oficerów Poleskiej Siczy z tego samego dnia czytamy: „Sotnik Syhołenko melduje, że dzisiaj do sztabu Poleskiej Siczy przybył z Żytomierza kapitan niemieckich wojsk SS Hitschke, który zwrócił się o pomoc do Poleskiej Siczy w rozstrzelaniu całkowicie wszystkich Żydów w Olewsku do dnia 19 listopada 1941 roku. Sotnik Syhołenko oświadczył niemieckiemu komendantowi, że nasz oddział jest już rozwiązany i dlatego nie mamy prawa wydawać kozakom takich rozkazów, a po drugie nasi ludzie, jako żołnierze, są sojusznikami w walce z uzbrojonym wrogiem, a nie w likwidacji bezbronnych kobiet, starców, kalek bez względu na narodowość… Po groźbach kapitan… siłą zmobilizował celem egzekucji 2 oficerów i 60 zdemobilizowanych kozaków poleskiej Siczy, którzy… mają rozstrzelać 535 Żydów... Fakt ten rada oficerów Poleskiej Siczy potępia, jako hańbiące działanie".

Sam „Bulba" po rozwiązaniu Siczy przeszedł do działalności podziemnej w strukturach UPA-UNRA. Walczył i prowadził negocjacje z Niemcami oraz sowiecką, polską i banderowską partyzantką. Śmiertelny cios UNRA zadała ta ostatnia formacja, która nie tylko przejęła nazwę UPA, lecz także doprowadziła do rozbrojenia bulbowskich oddziałów. Boroweć 1 grudnia 1943 r. został przez Niemców aresztowany i deportowany do obozu KL Sachsenhausen, zwolniono go 19 października 1944 r. Wiosną 1945 r. objął dowództwo 400-osobowej Brygady Spadochronowej, która nie wzięła udziału w działaniach wojennych. Po wojnie „Bulba" pozostał na emigracji, gdzie zmarł w 1981 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8

1919 r. / Pierwsza czerwona trwoga



Pogrzeb Wesleya Everesta, 13 listopada 1919 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Krew i linicz w USA



Jakub Ostromęcki

Brutalnym zwieńczeniem epoki czerwonej trwogi było starcie komunizujących robotników z weteranami wielkiej wojny w mieście Centralia w stanie Waszyngton

Działacze związkowi wzywający do walki klas, dziennikarze chwalący bolszewików, zamachy na przedstawicieli elit, bojkot armii. A z drugiej strony paranoiczne przeświadczenie przedsiębiorców i zwykłych farmerów, że każde żądanie płacowe, socjalne to owoc bolszewickiego spisku. I równie neurotyczne reakcje patriotów na krytykę udziału w niespecjalnie popularnej przecież wojnie, zrównujące pacyfistów czy izolacjonistów ze zdrajcami. Oto pierwsza czerwona trwoga, czyli okres krwawych zamieszek i strajków w historii USA trwający mniej więcej od roku 1917 do początku lat 20., mający apogeum w 1919 r.

Na podstawie ustawy o szpiegostwie w czasie wielkiej wojny w USA wsadzono do więzienia blisko 1,5 tys. osób – większość wcale nie za kontakty z wywiadami państw centralnych, lecz za nawoływanie do unikania poboru. Pewien człowiek w Filadelfii za roznoszenie ulotek krytykujących pobór dostał pół roku więzienia. Inny działacz przemawiał z okna aresztu podobnie. Dostał 10 lat, choć po trzech został ułaskawiony przez prezydenta. Konfiskowano drukarnie i książki niezgodne z polityką władz.

Weterani i inni

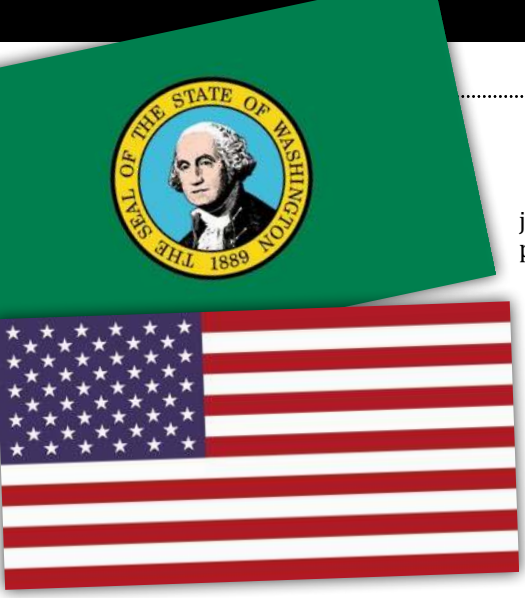
Na początku XX w. amerykańska leseferystyczna dusza wciąż niezbyt ufała związkom zawodowym. Niemniej jednak za oceanem powstało kilka prężnie działających central. Wykwalifikowani robotnicy, głównie Anglosasi lub zasiedzieli od pokoleń Irlandczycy, garnęli się do Amerykańskiej Federacji Pracy. Imigranci, często ledwo znający język, czy też robotnicy niewykwalifikowani zasilali szeregi Robotników Przemysłowych Świata (ang. Industrial Workers of the World – IWW). W przeciwieństwie do AFP, która w ramach istniejącego systemu walczyła o ośmiogodzinny dzień pracy i ubezpieczenia pracownicze, IWW był ruchem niekryjącym sympatii dla Lenina i wprowadzonych przez niego krwawych porządków oraz zapowiadającym rozprawę z kapitalistami. Nic dziwnego, że większość Amerykanów postrzegała ich niewiele lepiej niż kryminalistów.

Brutalnym zwieńczeniem epoki czerwonej trwogi było starcie w mieście Centralia w stanie Waszyngton pomiędzy robotnikami zrzeszonymi w IWW a weteranami wielkiej wojny. Po obu stronach polała się krew, doszło do linczu. Jeden z uczestników zamieszek, Wesley Everest, przez dziesiątki lat traktowany był przez środowiska skrajnie lewicowe jako męczennik za sprawę.

Położona ok. 100 km na południe od Seattle Centralia słynęła z przemysłu drzewnego, wydobywczego i hodowli bydła. Miejscowi drwale pozostawali przez kilka miesięcy w roku bez pracy, wielu było imigrantami, toteż IWW zyskała tu pokaźną liczbę zwolenników. W 1914 r. aktywiści związku, wśród nich bezrobotni i bezdomni, pojawili się w Centralii, domagając się jedzenia. Wnet ruszyli okradać sklepy. Szybko zostali wyrzuceni z miasta przez wściekłych obywateli, ale na szczęście obyło się bez rozlewu krwi.

Trzy lata później związkowcom udało się wynająć dom w środku Centralii.

eprasa.pl ac2b0923d8



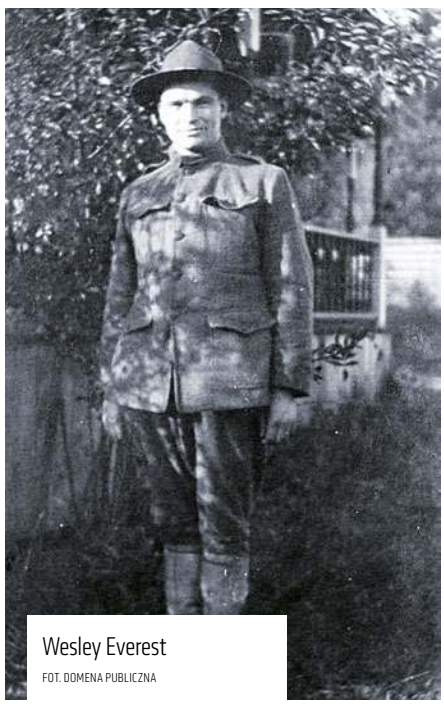
W 1918 r., w czasie parady ku czci Czerwonego Krzyża, część maszerujących odłączyła się od pochodu, szturmując siedzibę związku. Działaczy wywleczono na ulicę i zorganizowano swoistą „ścieżkę zdrowia" – była to krwawa zapowiedź tego, co miało się stać w listopadzie 1919 r. Policja nie interweniowała. Na postawę mieszczan wobec IWW miał bez wątpienia wpływ strajk generalny, do którego doszło w lutym 1919 r. w Seattle. Stanęło wówczas całe miasto. Strajk wygasł, ponieważ związkowcy nie byli w stanie sprawnie zarządzać przejętą metropolią. Choć bezkrwawy, to został odczytany przez amerykańską klasę średnią jako uwertura rewolucji, próba obalenia sytemu opartego na ludzkiej samodzielności i przedsiębiorczości.

Związkowcy wkrótce powrócili do miasta i znów wynajęli opuszczony hotel. Kolejna awantura była tylko kwestią czasu – lokalni radni nie kryli się ze swoimi poglądami i na zebraniach otwarcie mówili o potrzebie „zrobienia porządku z czerwonymi". Najlepsza okazja nadarzyła się 11 listopada. Ten dzień obchodzono wówczas jako Święto Rozejmu (Armistice Day), dziś znane jako Dzień Weterana. W Centralii zaplanowano wielką paradę, w której wziąć udział mieli wszyscy okoliczni kombatanci zrzeszeni w Legionie Amerykańskim. W mundurach, ze sztandarami, w towarzystwie orkiestr.

Słysząc groźne mowy w czasie zebrań rady miasta, miejscowy radca prawny Elmer Smith udał się na komisariat, prosząc policję o zabezpieczenie marszu i budynku IWW. Nic nie wskórał. Wobblesi – bo tak potocznie nazywano związkowców –stwierdzili więc, że będą bronić hotelu z bronią w ręku. 11 listopada rano zaczaili się w jego newralgicznych punktach, wysyłając jeszcze kilku uzbrojonych działaczy do pobliskich domów. Ci mieli za zadanie wziąć napastników w ogień krzyżowy. Centralia nie była wielką metropolią. Na głównej ulicy przeważały ceglane, dość niewyszukane, raptem maksymalnie dwupiętrowe kamienice.

Zamieszki i samosąd

Kluczową postacią w miejscowej IWW był wspomniany już wyżej Everest – jako jedyny spośród działaczy IWW odbył służbę wojskową, dlatego wiedział, jak posługiwać się bronią i jak rozstawiać strzelców. Brał też bardzo aktywny udział w rekrutacji nowych działaczy związku. Wydane wkrótce po jego śmierci hagiografie uczyniły z niego weterana kampanii we Francji, znakomitego strzelca odznaczonego za odwagę. Po latach okazało się to kompletną bzdurą, którą powielił nawet tak znany autor, jak Howard Zinn, w swojej „Ludowej historii Stanów Zjednoczonych". Everest nigdy nie został wysłany za ocean, nigdy nie został ranny ani odznaczony. Zostałby pewnie anonimowym farmerem, ale w młodym wieku stracił oboje rodziców i szybko się zradykalizował.



Wesley Everest
FOT. DOMENA PUBLICZNA

W 1907 r. był już zdeklarowanym komunistą. W 1913 r. organizował strajk w jednym z tartaków w stanie Oregon przeciwko zwolnieniom członków IWW. Sześciuset uzbrojonych obywateli „za karę" przeciągnęło go wraz z towarzyszami ulicami Coos Bay, każąc na końcu klęczeć i całować amerykańską flagę, by na końcu wsadzić ich do łódki i wywieźć wiele kilometrów poza miasto z zakazem powrotu. Z pewnością nie nauczyło to Everesta patriotyzmu, lecz jeszcze bardziej zradykalizowało jego komunistyczne nastawienie.

Everest przez cały okres amerykańskiego zaangażowania w wielką wojnę stacjonował w rodzimym Waszyngtonie, służąc w jednostce odpowiadającej za… obróbkę i dostarczanie drewna dla Sił Powietrznych, m.in. elementów konstrukcyjnych samolotów. Zmilitaryzowanie waszyngtońskich drwali było z punktu widzenia władz konieczne z racji powszechnej niechęci do udziału USA w wojnie wśród lokalnych przedstawicieli tego fachu. Everest sporą część służby odbył jednak w anclu, gdzie regularnie zamykano go za odmowę złożenia hołdu amerykańskiej fladze. Okazał się twardym i zaprzysiężonym marksistowskim ideologiem i każdą wolną chwilę przeznaczał na agitację wśród żołnierzy, choć z Marksa rozumiał niewiele – miał ukończoną jedynie podstawówkę. Tak dotrwał do końca wojny i rozwiązania tartacznej jednostki. Zatrzymał jednak mundur i w nim właśnie stawił się do siedziby IWW, oczekując wraz z robotnikami na atak legionistów.

Pochód ruszył późnym rankiem. Koło siedziby IWW powstała w pewnym momencie luka w pochodzie – grupa z sąsiedniego Chehalis poszła dalej, a miejscowi legioniści zaczęli gromadzić się przy siedzibie IWW, wznosząc gniewne okrzyki. Nie mieli broni palnej – jedynie pałki i kije. Umundurowani weterani wyłamali drzwi do budynku. Wobblesi odpowiedzieli ogniem z okien i z sąsiednich budynków, zabijając dwóch weteranów i raniąc wielu innych. Zamiast ostudzić napastników, wzbudziło to ich wściekłość – nie zważając na strzały, zaczęli tłumnie wdzierać się do budynku. Everest wraz z dwojgiem działaczy uciekł tylnym wyjściem, zabijając kolejnego weterana. Uciekał tak ok. kilometra, aż poza miastem trafił na rzekę Skookumchuck. Nie była ona zbyt głęboka ani nie miała

eprasa.pl ac2b0923d8



Ofiary masakry w Centralii. Od lewej: Ben Cassagranda, Dale Hubbard, Warren G. Grimm, Arthur McElfresh FOT. DOMENA PUBLICZNA

urwistych brzegów, ale Everest zamarudził przy niej na tyle długo, że zdążył go dopaść pościg. Jeden z weteranów Dale Hubbard wymierzył w Eversta broń zdobytą w jakimś sklepie, krzycząc: „Poddaj się!". Ten zamiast tego strzelił, kładąc go trupem i raniąc jego kolegę. Był to jednak ostatni nabój w broni Everesta. Gdy ją ładował, ruszyli na niego kolejni legioniści, obezwładniając go. Everest nie chciał wyjawić swojej tożsamości, co wkrótce miało okazać się dla niego zgubne. Wściekły tłum wziął go bowiem za szefa lokalnych struktur IWW Britta Smitha.

W tym czasie pozostali w mieście weterani spalili budynek związku, a zdobytą listę członków przekazali prokuratorowi. W siedzibie IWW i okolicznych magazynach schwytano siedmiu członków związku. Zamknięto ich w policyjnym areszcie, dokąd trafił też Everest. Eskortujący go policjanci musieli odpędzać po drodze zgromadzony tłum, który już gotował się do linczu na schwytanym, wciąż biorąc go za przewodniczącego Smitha. Nie był to koniec strzałów w Centralii. Na łowy udały się bowiem spontanicznie dwie grupy uzbrojonych mieszkańców, nie koordynując swoich działań i nie zapewniając łączności. Na przedmieściach ekipy wpadły na siebie, co spowodowało wymianę ognia i śmierć jednego z uzbrojonych mieszczan.

11 listopada o godz. 19.30 ktoś wyłączył prąd w całym mieście. Komisariat, nie mając alternatywnego zasilania, również pogrążył się w ciemności. Momentalnie pod siedzibą policji pojawiły się samochody ciężarowe, z których wysypała się grupa umundurowanych weteranów i cywili, szturmując komisariat i żądając kluczy do celi Everesta. Sterroryzowani policjanci nie stawili żadnego oporu, więc tłum wywlekł Everesta z celi i związanego rzucił na podłogę ciężarówki. Konwój udał się w kierunku mostu na rzece Chehalis. Według krążącej przez wiele lat marksistowskiej hagiografii Everesta, autorstwa Ralpha Chaplina, w czasie krótkiego przejazdu weterani mieli okrutne torturować więźnia, kastrując go brzytwą. W kaźniach prym miał wieść miejscowy lekarz – wściekły, że broniący się i wierzgający Everest kopnął go w twarz. Kaźń okazała się jednak mitem służącym budowie obrazu działacza męczennika. Żaden ze świadków zdarzenia ani późniejsze zaprotokołowane oględziny ciała zamordowanego nie potwierdziły owych krwawych jatek. Faktem jest jednak, że w nocy Everest został wywleczony z ciężarówki, powieszony na moście, a do jego ciała oprawcy oddali 30 strzałów, po czym pozostawili je tam, wiszące, do rana. Nienawiść do IWW w mieście była tak wielka, że miejscowy grabarz odmówił pochówku zabitego, więc uczynili to jego współwięźniowie. Miejski prokurator umorzył śledztwo w sprawie linczu… „z braku dowodów".

Nie rozmawiamy…

Samosąd znalazł wielu obrońców wśród okolicznych elit, i to niekoniecznie prawicowych. „To był dobry przykład ludowej sprawiedliwości, w stylu dawnych sądów kapturowych" – pisała jedna z gazet w Portland. „Naturalny rezultat pochwycenia rewolucjonisty na gorącym uczynku, który otrzymał to, na co zasłużył, bez straty czasu i nieznośnie powolnego procesu sądowego" – informowała główna gazeta Centralii. Wkrótce po egzekucji Everesta doszło do makabrycznego zbiegu okoliczności. Do transportu ciała wynajęto ciężarówkę niejakiego Jamesa Lyncha zajmującego się przeprowadzkami. Na boku samochodu reklamowy napis kusił klientów: „Lynch. Szybko i sprawnie. Zadzwoń po nas". Słowo „lynch" w USA oznacza bowiem zarówno samosąd, jak i jest popularnym nazwiskiem.

Jedyny prawnik w Centralii, który zgodziłby się bronić związkowców oskarżonych o zamordowanie weteranów, sam siedział z nimi w areszcie. Po pomoc sięgnięto więc do Seattle, a proces toczył się w odległym o 70 km Montesano. Obrona była jednak z góry skazana na porażkę. Sądy w USA w sporach pomiędzy związkami a pracodawcami przeważnie brały stronę tych drugich, a tutaj mieliśmy wszak do czynienia z organizacją uznawaną powszechnie za niebezpieczną. Lokalne władze sfinansowały przejazd i pobyt w Montesano 34 legionistów z Centralli. Regularnie przychodzili oni na rozprawy w mundurach jako „widzowie". Okolice sądu patrolowali też żołnierze ze stacjonującego nieopodal pułku piechoty. Na nic zdały się protesty adwokatów wobec działań mogących zastraszać ławę przysięgłych. Ostatecznie siedmiu działaczy IWW zostało skazanych na kary od 25 do 40 lat więzienia, a jeden trafił do szpitala psychiatrycznego – jak się okazało, udawał obłąkanego. Z wyroku nie byli zadowoleni ani weterani, ani związkowcy.

W latach 1922–1924 prawnik z Centralii Elmer Smith, który siedział wcześniej w areszcie razem z członkami IWW, zebrał od członków ławy przysięgłych oświadczenia spisane pod przysięgą, że wydając wyrok, bali się o swoje życie i zdrowie. Za zbieranie owych oświadczeń Smith został na 10 lat wyrzucony z lokalnej adwokatury. W obronie związkowców stanęły też, o dziwo, Kościoły kilku chrześcijańskich wyznań, wskazując, że o ile działacze nie mieli prawa otwierać ognia do weteranów, o tyle nie było możliwe, jak utrzymywała prokuratura, że pierwsi użyli siły. Śledztwo wskazywało też, że policja wykazała się nieudolnością, nie zabezpieczając marszu.

W latach 1931–1939 skazani byli przedterminowo zwalniani. Udział w tym miał gubernator stanu Waszyngton liczący na reelekcję głosami lewicowego elektoratu. Jeden ze skazanych, Ray Becker, przez osiem lat odmawiał jednak wyjścia na wolność, twierdząc, że jako człowiek niewinny nie może być ułaskawiony. Ostatecznie w 1939 r. opuścił dobrowolnie więzienie. W Centralii na długie lata zapadła zmowa milczenia co do ówczesnej masakry. Młodzi świadkowie owych zajść po 20 latach trafili na kolejną wojnę. Już jako dorośli mężczyźni dużo chętniej opowiadali o swoich, nieraz krwawych przeżyciach z frontu niż o zamieszkach w ich mieście. Indagowani przez żyjących dziś synów, odpowiadali krótko: „Nie rozmawiamy o tym".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8

CV / Karol III Windsor królem Wielkiej Brytanii

Siedem dekad drogi do tronu



Książę Karol przemawia w parlamencie w imieniu swojej matki, 10 maja 2022 r.

FOT. HOUSE OF LORDS 2022/PHOTOGRAPHY BY ANNABEL MOELLER/WIKIPEDIA



Piotr Semka

Dziś można tylko się zastanawiać, czy wiedza o charakterze Karola powstrzymywała Elżbietę II od przekazania mu korony w latach 80. i 90.

Większość ludzi na świecie będzie musiała się przyzwyczaić do wcześniejszej formuły brytyjskiego hymnu: „God save The King". Przez poprzednie siedem dekad obowiązywała formuła „God save The Queen", która honorowała Elżbietę II. Karol III, który objął już swoje obowiązki, zostanie uznany przez księgi dynastycznych rekordów za monarchę, który najdłużej oczekiwał na tron. Jeśli liczyć od daty urodzenia, to były to 73 lata, a jeśli liczyć od momentu koronacji jego matki – 69 lat. W dziejach monarchii brytyjskiej otwiera się nowy rozdział. Kim jest człowiek, który zmierzy się z legendą swojej matki?

Drodzy Windsorowie

Nowy władca przejmuje ogromny majątek będący źródłem dochodów rodziny królewskiej. W Wielkiej Brytanii od XVIII w. większość wydatków dworu jest udziałem nadzorowanego przez rząd specjalnego funduszu. Nosi on nazwę Souveren Grand i jest to suma wypłacana z budżetu każdego roku. W roku podatkowym 2021/22 suma ta wyniosła 86,3 mln funtów. To pieniądze, które mają wystarczyć monarsze i jego rodzinie na pokrycie kosztów utrzymania dworu, służbowych wizyt władcy, utrzymania wszystkich majątków i siedzib, takich jak Windsor czy szkocki Barmoral, i wreszcie utrzymania gospodarstwa domowego. Jak twierdzą

eprasa.pl ac2b0923d8



Książę Karol i księżna Diana poczas wizyty w Queensland w 1983 r. FOT. QUEENSLAND STATE ARCHIVES

dziennikarze BBC, najwięcej kosztów generuje utrzymanie oficjalnych siedzib oraz nieruchomości.

Nie są też tanie wyjazdy za granicę, ale są one niezbędne dla budowania prestiżu monarchii we wszystkich krajach brytyjskiej Wspólnoty Narodów, które wciąż uznają władcę Zjednoczonego Królestwa za swoją głowę państwa. Jeżeli wyznaczona władcy suma nie wystarcza, to rząd pokrywa deficyt, choć – jak można się domyślać – czyni to w rozsądnych granicach. Ale władca posiada także prywatne dobra i taki charakter ma cała grupa majątków na czele z księstwem Lancaster. Dochodzą do tego jeszcze rozmaite posiadłości wiejskie oraz całkiem sporo nieruchomości w centrum Londynu. Władca nie czerpie z tego na osobiste potrzeby; to raczej te zyski pomagają zapiąć budżet dworu Windsorów.

We wszystkich tych wypadkach za rodziną królewską stoi dyskretnie umiejscowiony aparat promocyjny, który dba, aby „królewski brand" mógł służyć dobru jak największej liczby obywateli Zjednoczonego Królestwa. Na tej zasadzie najbardziej prestiżowe posiadłości, jak np. Sandrigham i Barmoral, są udostępniane zwiedzającym, a rodzina pojawia się tam w ściśle wyznaczonych terminach. Ostatnim elementem prywatnego majątku Karola III są prywatne kolekcje sztuki czy np. niezwykle rzadkich znaczków pocztowych (ta akurat moda kolekcjonerska przechodzi do przeszłości), które w świetle prawa są prywatną własnością monarchy. Jednocześnie władca musi płacić podatki tak jak każdy obywatel państwa brytyjskiego.

Prywatne są też zyski króla Karola z dzierżawionych prywatnym właścicielom majątków w księstwie Kornwalii, które przynoszą ponoć całkiem niezły zysk. Ulubionym tematem dyskusji brytyjskiej lewicy jest narzekanie na koszty utrzymywania monarchii, które muszą dźwigać zwykli podatnicy. Obrońcy idei królewskiej wskazują z kolei, że splendor Windsorów przynosi trudne do przeliczenia wprost zyski w branży turystycznej. Wiedzą o tym dobrze londyńscy hotelarze, którzy w czasie ważnych wydarzeń w rodzinie królewskiej odnotowują gwałtowny wzrost wizyt turystów głównie z Azji i Ameryki, którzy chcą na własne oczy zakosztować splendoru angielskiego tronu. Jeszcze inni wskazują, że dyplomacja, którą pośrednio uprawia monarcha, jest ogromnym wzmocnieniem dla brytyjskiego Foreign Office. Pytanie, jak w tej roli poradzi sobie dotychczasowy książę Walii?

Surowe dzieciństwo

Najnowszy władca Brytyjczyków urodził się 14 listopada 1948 r., kiedy jeszcze Anglią rządził osławiony wojennymi zasługami król Jerzy VI. Nienaganną, strzelistą sylwetkę młody Karol odziedziczył po ojcu – księciu Filipie. Urodził się w pałacu Buckingham i był pierwszym dzieckiem Elżbiety II. W 1952 r., gdy matka przywdziała koronę brytyjską, stał się oficjalnie postacią numer jeden na liście pretendentów do tronu. Wraz z później urodzoną siostrą Anną niemal od pierwszych lat życia stali się ulubioną parą, której wychowanie było atrakcyjnym tematem dla magazynów ilustrowanych i bulwarówek.

Urzędnicy królewscy dbali o typowe wykształcenie dla członków rodziny panującej. W 1955 r. pałac Buckingham ogłosił, że następca tronu będzie uczęszczał do szkoły, a nie – jak to bywało niekiedy wcześniej – posiadał prywatnego guwernera. Dla młodego Karola wybrano szkołę Hill House w zachodnim Londynie, która z jednej strony posiadała odpowiednio wysoki poziom i dyscyplinę, a z drugiej strony nie była niedostępna dla dzieci z klas średnich, a nawet niższych.

Podobno próbą charakteru był udział w szkolnej drużynie piłkarskiej, która ponoć walczyła do upadłego. W rozmaitych biografiach Karola pojawiają się opinie przyjaciół z dawnych lat, że pierwsze 20 lat jego życia nacechowane było psychologicznym i wręcz fizycznym dystansem, w którym utrzymywali go rodzice. Szczególnie odnosiło się to do okresu, kiedy Karol trafił do szkoły średniej Gordonstoun w północno-wschodniej Szkocji, gdzie uczył się w pierwszej połowie lat 60. W jednym z pozornie żartobliwych wspomnień, dotyczących jego byłej szkockiej szkoły, następca tronu nazwał ją „Colditz w szkocką kratę". Każdy, kto zna brytyjską sferę symboliki historycznej, wie, że nazwa „Colditz" dotyczy nazistowskiego obozu jenieckiego, w którym utrzymywano wyjątkowo krnąbrnych jeńców alianckich.

Karol po szkołach średnich przeszedł od razu na uniwersytet Trinity College w Cambridge, gdzie studiował archeologię i antropologię. Potem jako tytularny książę Walii (od 1958 r.) podjął się studiowania dziejów tej krainy na uniwersytecie w Aberystwyth. W 1975 r. zdobył tytuł Master of Arts na uniwersy-

eprasa.pl ac2b0923d8

tecie w Cambridge. Potem odbył typową dla członka rodziny królewskiej karierę wojskową w Royal Air Force i w brytyjskiej Royal Navy.

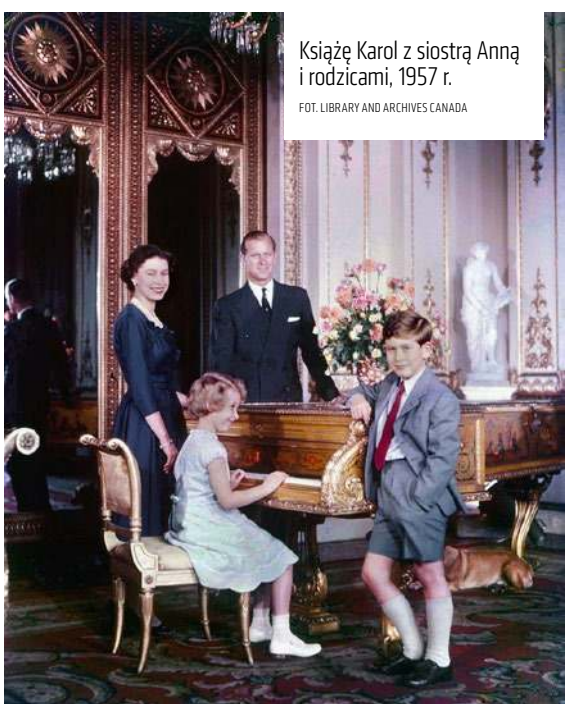
Z epoki Beatlesów

Lata dorastania młodego Karola przypadły na okres gwałtownej rewolty obyczajowej, która odmieniła oblicze Albionu. Nic więc dziwnego, że młody przystojny królewicz stał się tematem dziesiątków plotek i sensacyjek wiążących go z rozmaitymi pięknymi damami. W paru wypadkach przygotowani fotoreporterzy czekali na to, by jakaś piękna dziewczyna ominęła kordony ochrony i obdarzyła następcę tronu ognistym pocałunkiem. Spośród dziesiątek plotek i insynuacji bardzo niewiele miało coś wspólnego z rzeczywistością. Karol na pewno nie był typem kobieciarza i jeśli już sprawiał jakieś problemy, to – jak twierdzą jego biografowie – były nimi typowy dla świata anglosaskiego chłód emocjonalny i sztywność w kontaktach z płcią przeciwną.

Gdy w 1978 r. książę Walii przekroczył wiek 30 lat, dwór królewski zaczął się niepokoić, że posuwająca się w czasie bezżenność księcia może zacząć budzić niekorzystne dla korony pogłoski. W 1976 r. Karol po raz pierwszy zetknął się z lady Dianą Spencer wywodzącą się z jednego z brytyjskich rodów arystokratycznych. Powoli Karol zaczął rozważać osobę Diany jako potencjalną narzeczoną i fakt ten zaczęła poświadczać obecność Diany w czasie jego pobytu w szkockim zamku Barmoral i pałacu Sandrigham. Szybko na zażyłość Karola i Diany zwróciły uwagę media i odtąd królewscy narzeczeni nigdy nie byli w stanie uwolnić się od chmary paparazzich, którzy śledzili dosłownie każdy ich krok.

Małżeństwo Karola i Diany w katedrze św. Pawła w Londynie 29 lipca 1981 r. wydawało się wstępem do epoki rządów młodego następcy tronu. Wielu obserwatorów dworu królewskiego prognozowało, że jeśli tylko po ślubie nastąpią urodziny męskiego następcy tronu, to Elżbieta II rozpocznie przygotowania do oddania władzy swemu synowi. Tyle że stosunkowo szybko w mediach zaczęły pojawiać się plotki o rozchodzeniu się dróg książęcej pary. Już w listopadzie 1986 r. wtajemniczeni wiedzieli o tym, że Karol spotyka się z Camillą Parker Bowles. Co gorsza, Diana zaczęła grać w swych sporach z mężem przeciekami na zewnątrz, czego dotąd w brytyjskiej rodzinie nikt nie czynił. A wyznające w dużej mierze lewicową logikę afirmacji prawa do samoekspresji media z chęcią wykreowały obraz wrażliwej i zaszczuwanej przez zimny dwór księżnej i – z drugiej strony – niedojrzałego emocjonalnie, wiarołomnego Karola. W grudniu 1992 r. brytyjski premier John Major ogłosił w końcu legalną separację książęcej pary w brytyjskiej Izbie Gmin. Cały ten kryzys zaczął powodować, że monarchia weszła w fazę ocierania się o śmieszność. Na początku lat 90. brytyjska prasa opublikowała stenogramy bardzo namiętnych rozmów telefonicznych między Karolem a Camillą Parker Bowles, w których padały niezwykle pikantne, a wręcz obsceniczne wyznania alkowiane następcy tronu.

Elżbieta II z przerażeniem obserwowała, jak relacje medialne zamieniają konflikt pomiędzy Karolem i Dianą w jedną wielką operę mydlaną, która zaczęła ośmielać lewicowych zwolenników likwidacji monarchii. Cały dramat rozpadu związku pomiędzy Karolem i Dianą znalazł tragiczną puentę w postaci śmiertelnego wypadku księżnej Walii w Paryżu 31 sierpnia 1995 r. Karol poleciał wtedy do Paryża, aby wraz z siostrą Diany towarzyszyć powrotowi jej szczątków do Londynu. Ale nie osłabiło to licznych oskarżycielskich ataków na Karola jako domniemanego moralnego winowajcy popchnięcia Diany w życiową ślepą uliczkę. Sytuację uratowała powagą i autorytetem Elżbieta II, która swoim zachowaniem w trakcie pożegnania Diany osłabiła przypisywany jej wizerunek nienawistnej teściowej, która nigdy nie polubiła spontanicznej synowej.



Książę Karol z siostrą Anną i rodzicami, 1957 r.

FOT. LIBRARY AND ARCHIVES CANADA

Starość w drodze do tronu

Dziś można tylko zastanawiać się, czy wiedza o charakterze Karola powstrzymywała Elżbietę II od przekazania mu tronu w latach 80. i 90. Niewątpliwie katastrofa małżeństwa syna z księżniczką Dianą była „oblanym" egzaminem z dojrzałości. Oczywiście przez cały okres między zakończeniem służby wojskowej w pierwszej połowie lat 70. a śmiercią matki Karol bardzo dobrze zdawał egzamin z reprezentowania Wielkiej Brytanii w krajach Commonwealthu i w licznych państwach będących partnerami politycznymi Zjednoczonego Królestwa. Bardziej zaabsorbowaniu brytyjską rodziną królewską wiedzieli też, że Karol jest bardzo zainteresowany tak różnymi dyscyplinami wiedzy, jak kształtowanie krajobrazu czy działania na rzecz ekologicznie zrównoważonego rozwoju kraju.

W Polsce Karol zasłynął jako życzliwy patron budowy teatru szekspirowskiego w Gdańsku. Miłośnicy sportu polo wiedzieli o jego sukcesach w tej dziedzinie sportu. Wieloletni następca tronu patronował też ponad 20 fundacjom wspomagającym instytucje muzyki. Wszystko to jednak nie wychodziło poza typowe oficjalne obowiązki rodziny Windsorów. Karola w podejmowaniu naprawdę poważnych decyzji wyręczała wciąż władająca Albionem matka. Teraz, gdy Karol został już samodzielnym władcą, ryzykować będzie własny autorytet, jeśli wybierze źle. Po 73 latach pora na samodzielność.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Wywiad / Z Blendim Fevziu, albańskim dziennikarzem, autorem książki „Hoxha. Żelazna pięść Albanii"



rozmawia Piotr Włoczyk

Szaleństwa „małego Stalina"

PIOTR WŁOCZYK: Jednym z „osiągnięć" rządów Envera Hoxhy było stworzenie „pałacu koszykówki". Co to było za miejsce?

BLENDI FEVZIU: Największą świątynią katolicką na Bałkanach była katedra św. Szczepana w Szkodrze. Reżim Hoxhy zamienił ją właśnie w „pałac koszykówki". Chyba nie muszę tłumaczyć, jak przerobiono jej wnętrze. Walka z religią rozkręcała się w Albanii powoli. Początkowo można było praktykować wiarę, ale osoby religijne nie mogły liczyć na karierę. Sytuacja zmieniła się w 1967 r., po zacieśnieniu sojuszu z Chinami. Hoxha zradykalizował się pod wpływem Mao. Zamknięto wówczas w Albanii wszystkie meczety i kościoły. 25 proc. świątyń zniszczono, a resztę oddano w użytkowanie wojsku lub zmieniono w biblioteki, świetlice czy właśnie w obiekty sportowe. Księża i imamowie zostali posłani do więzień. O religii nikt nie rozmawiał. Gdy byłem młody, nigdy nie pytałem, czy ktoś jest z rodziny muzułmańskiej czy katolickiej. Pierwszą legalną mszę świętą odprawił w Albanii w 1990 r. kapłan katolicki, który właśnie został zwolniony z więzienia. Brało w niej udział 12 osób. Tydzień później w nabożeństwie uczestniczyło już 20 tys. ludzi. Cały kraj był głodny praktykowania wiary.

Jeden z rozdziałów pańskiej książki nosi tytuł „Enver Hoxha i Matka Teresa". Czy obie te postacie miały okazję się spotkać?

W pewnym sensie, ale o tym za chwilę. Enver Hoxha dostał w połowie lat 60. list od Charles'a de Gaulle'a, który wstawiał się za prośbą Matki Teresy. Słynna zakonnica, pochodząca z albańskiej rodziny, prosiła o umożliwienie jej chorej matce Drane wyjazdu na leczenie do Włoch. Francja była, poza Włochami, jedynym zachodnim krajem, z którym Albania utrzymywała relacje. W tle były osobiste doświadczenia Hoxhy, który w młodości mieszkał przez pewien czas we Francji i polubił ten kraj. Na nic jednak zdała się interwencja francuskiego prezydenta – Hoxha odmówił. Starania o spotkanie trwały siedem lat. Na koniec Matka Teresa prosiła Hoxhę jedynie o umożliwienie jej wjazdu do Albanii na 48 godzin, by zobaczyć gasnącą matkę. Prośby i błagania nic jednak nie dały. Jej matka umarła, przytulając do piersi zdjęcie córki. Gdy Matka Teresa dostała Pokojową Nagrodę Nobla, powiedziała do reporterów: „Pomagałam wszystkim na świecie, a nie mogłam pomóc własnej matce...".

eprasa.pl ac2b0923d8



Enver Hoxha podczas wiecu w 1971 r.
FOT. WIKIMEDIA COMMONS

W 1989 r. Matka Teresa przyjechała w końcu do Albanii. Komuniści wciąż byli u władzy, ale kraj powoli się zmieniał. Słynna zakonnica złożyła kwiaty na dwóch nagrobkach: swojej matki oraz… Envera Hoxhy. Krytykowano ją za to, ale ona wyjaśniła, że odpowiedzią katoliczki na nienawiść musi być miłość.

Często nazywa się Albanię z czasów Hoxhy „małą Północną Koreą". Czy to porównanie ma pańskim zdaniem sens?

Tak, ale jeżeli chodzi o możliwość ucieczki, to sytuacja wyglądała u nas najprawdopodobniej jeszcze gorzej. Albania była jednym z najbardziej izolowanych państw na świecie. Ucieczka stamtąd graniczyła z cudem. W innych krajach socjalistycznych ludzie mogli przynajmniej podróżować w ramach tego bloku. Polacy bez problemu mogli pojechać do NRD czy na Węgry. Tymczasem dla przeciętnego Albańczyka przekroczenie granicy było czymś niewyobrażalnym. W ciągu 46 lat istnienia reżimu jedynie 5 tys. osób udało się uciec z Albanii. Większość z nich przekroczyła granicę nielegalnie na początku komunistycznej dyktatury, w latach 1944–1948. Potem było to już właściwie niemożliwe. Granica była naszpikowana przeszkodami, takimi jak druty kolczaste pod napięciem, miny, a wojska pograniczne były liczne i bezwzględne.

Właściwie jedynymi miejscami, które jakkolwiek nadawały się do ucieczki, były dwa duże jeziora: Szkodra i Pogradeckie (poza Albanią znane jako Ochrydzkie), których tafla wody była jednak nocą przeczesywana przez reflektory. Niektórzy próbowali też przedostać się morzem na południe do Grecji, ale to również było właściwie niewykonalne. Szacuje się, że ponad 6 tys. osób zostało zabitych przez pograniczników podczas próby nielegalnego przekroczenia granicy. Jeżeli weźmiemy pod uwagę wielkość państwa (milion obywateli w latach 40., 3 mln pod koniec lat 80.), jest to ogromna liczba.

Nie da się ukryć, że Albania wyróżniała się właściwie pod każdym względem na mapie komunizmu w Europie.

Albania była jedynym krajem komunistycznym w Europie, w którym władza nie zmieniła się przez prawie pół wieku. W Polsce mieliście różne kliki i różne okresy – Bieruta, Gomułkę, Gierka, wreszcie Jaruzelskiego. Tymczasem my mieliśmy cały czas Hoxhę – od 1944 r. do jego śmierci w 1985 r. Gdy Chruszczow ogłosił odejście od stalinowskiego modelu, Albania dumnie podkreślała, że jest ostatnim stalinowskim państwem w Europie! W drugiej połowie lat 80., gdy byłem studentem, w Tiranie wciąż stało pięć pomników Stalina, a w całej Albanii mieliśmy ponad 30 pomników tego dyktatora. W każdym większym mieście Stalin musiał stać w centrum.

Hoxha praktykował ekstremalną wersję komunizmu. W miarę radykalizacji doszło nawet do tego, że rolnik nie mógł posiadać na własność nawet kurczaka. Jak wyglądała kolektywizacja w pańskim kraju?

Po zbliżeniu z Chinami Mao Hoxha zaczął eksperymentować z ekstremalną kolektywizacją. Kraj zaczął się staczać w gospodarczy niebyt. I rzeczywiście rolnicy nie mogli posiadać zwierząt na własność. To samo było z domami. Każdy dom należał do państwa, które tylko użyczało go obywatelowi. Pojawiły się nawet publiczne dyskusje, by zabronić zasłaniania okien! Ludzie mieli być pozbawieni resztek prywatności. Dyskusje na ten temat trwały trzy miesiące, ale na koniec na szczęście Hoxha zdecydował, że trzeba jednak ludziom zostawić możliwość zasłaniania okien. W tym czasie wypłynął też postulat odebrania ludziom prawa do dziedziczenia. Na szczęście tego pomysłu też nie wprowadzono w życie.

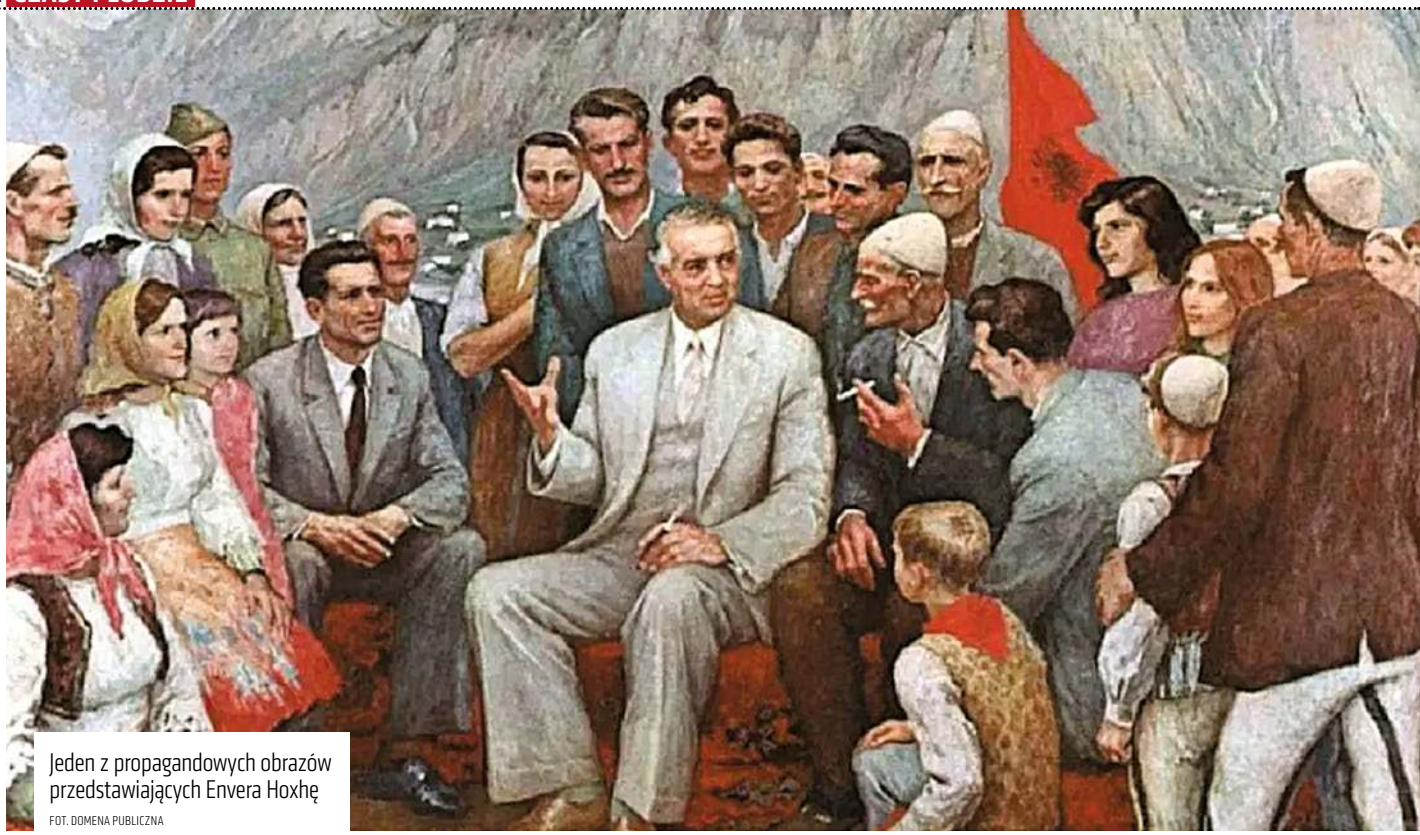
Ile ofiar miał na sumieniu Hoxha?

Bardzo ciężko odpowiedzieć na to pytanie. Ponad 89 tys. ludzi trafiło do albańskiego gułagu, co jest ogromną liczbą, zważywszy na wielkość populacji. Wykorzystywano ich do ciężkich prac. Ponad 49 tys. wysłano na wiele lat do więzień. Bez procesów zamordowano co najmniej 26 tys., ale to tylko szacunkowe minimum. Przypominam, że cały czas rozmawiamy o kraju położonym między Grecją i Włochami...

Do dziś albański krajobraz usiany jest kopułami bunkrów. Po co Hoxhy było tyle umocnień?

Nikt w Albanii nie wie, o co dokładnie chodziło w tym pomyśle. Rozmawiałem na ten temat z byłym ministrem obrony Albanii, a także z Ramizem Aliją, pierwszym sekretarzem Albańskiej Partii

eprasa.pl ac2b0923d8



Jeden z propagandowych obrazów przedstawiających Envera Hoxhę
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Pracy, który stanął na czele państwa po śmierci Hoxhy. Żaden z nich nie miał dobrej odpowiedzi na to pytanie. To szaleństwo zaczęło się, gdy Albania zerwała stosunki ze Związkiem Sowieckim. Być może rządzący stwierdzili, że bunkry pomogą odeprzeć ewentualną interwencję ze strony ZSRS? W każdym razie komuniści zbudowali w Albanii ponad 200 tys. bunkrów wszelakiego przeznaczenia. Duże, małe, dla cywili, dla wojska. Dziś największy bunkier w Tiranie, wielopiętrowy moloch, otwarty jest dla zwiedzających.

Sigurimi to albański odpowiednik polskiej SB. Również tu wygląda na to, że albańscy komuniści mogli zawstydzić swoich polskich towarzyszy.

To była jedna z najbardziej brutalnych tajnych policji w dziejach komunizmu. Skala zastraszenia albańskiego społeczeństwa była niewyobrażalna. Z tego powodu nawet rozmowy w domach podlegały autocenzurze. Ludzie bali się mówić szczerze również między najbliższymi. To był prawdziwy „Rok 1984". Opowiem panu historię mojego znajomego malarza. Któregoś dnia rozmawiał on ze swoją żoną na temat Picassa, chwaląc tego artystę. Niestety, to była fatalna małżonka. Ta kobieta poszła do Sigurimi i powiedziała, że jej mąż pochwalił Picassa, który był na czarnej liście artystów uznawanych za zepsutych dekadentów. Mój znajomy trafił na osiem lat do więzienia!

Albańczykom doskonale znana jest historia Sherifa Merdaniego, słynnego albańskiego piosenkarza, który podczas imprezy domowej zaśpiewał po włosku. Efekt był taki, że trafił on do więzienia, również na osiem lat. Co ciekawe, po upadku komunizmu Merdani pojechał do Włoch i zaśpiewał w tamtejszej telewizji piosenkę, przez którą miał tyle problemów...

Rozumiem, że pytanie o ruch dysydencki nie ma w takim razie większego sensu?

Nie było mowy o kontestowaniu reżimu. Rozmawiałem o komunizmie w Polsce z Tadeuszem Mazowieckim i z Adamem Michnikiem. Gdy porównywaliśmy obie rzeczywistości, okazało się, że reżim w Polsce wyglądał na tle naszego niemal jak żart. W Albanii działalność opozycyjna oznaczała automatycznie wieloletni wyrok więzienia. Nawet zwykłe narzekanie na brak jajek w sklepie było zagrożone czterema latami odsiadki! Albania była totalnie innym światem. Jakiś czas temu wracałem z Ukrainy przez Polskę i zatrzymałem się w Bieszczadach w hotelu Arłamów. Gdy dowiedziałem się, że polscy komuniści przetrzymywali tam Wałęsę, nie mogłem w to uwierzyć! U nas dysydenci trafiali do najgorszych więzień, gdzie pozbawiano ich godności, a nie do hotelu...

Jak to się w ogóle stało, że zwykły nauczyciel zrobił tak błyskawiczną karierę w Komunistycznej Partii Albanii? Jeszcze w 1939 r. Hoxha nie angażował się przecież w politykę i uczył dzieci w szkole, a zaledwie cztery lata później stał na czele KPA. Co było sekretem skuteczności Hoxhy?

Ten człowiek faktycznie wyjątkowo szybko wspiął się w czasie wojny na czerwony szczyt. Różne frakcje partyjne toczyły ze sobą spory i wszystkim wydawało się, że Hoxha będzie dobrym kompromisem. Wyglądał na człowieka bez większych ambicji. To był błąd – jego konkurenci nie docenili go. Okazało się, że Hoxha jest doskonałym politykiem i świetnie rozumie, na czym polega zasada „dziel i rządź".

Zdaje się, że miał ten sam talent do rozgrywek politycznych, co jego wielki guru – Stalin.

Skoro Hoxha przeżył tyle lat na szczycie komunistycznej władzy w Albanii, to znaczy, że genialnie wychodziło mu manipulowanie przeciwnikami. Stalin rzeczywiście był jego guru, Hoxha go uwielbiał i chciał się do niego upodobnić. Dlatego też niewiele jest przesady w nazywaniu go „małym Stalinem". Hoxha – podobnie jak jego mistrz – wychodził

eprasa.pl ac2b0923d8

z założenia, że przywódca nie może nie mieć wroga. Gdy wyeliminował już całą opozycję, to wiedział, że musi stworzyć kolejnego wroga, by wszyscy inni byli przerażeni. Hoxha zabił większość swoich najbliższych współpracowników, którzy notabene do końca byli bardzo lojalni wobec niego.

Polityka zagraniczna Albanii to istny rollercoaster. Początkowo Hoxha postawił na Jugosławię. Szybko jednak porzucił Titę i przylgnął do Stalina.

Stało się tak, ponieważ jugosłowiańscy komuniści chcieli wymienić Albańczykom sekretarza generalnego. Hoxha dowiedział się o konflikcie Tity ze Stalinem, zabił konkurenta, na którego stawiali jego dotychczasowi sojusznicy z północy, odciął się od Jugosławii i od 1948 r. stał już wiernie u boku Stalina.

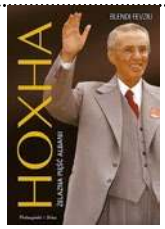
Po jego śmierci sytuacja mocno się jednak zmieniła. Hoxhy ewidentnie nie było po drodze z Chruszczowem i w 1961 r. Albania dokonała kolejnego spektakularnego zwrotu, tym razem stawiając na Chiny Ludowe...

Chruszczow chciał się pozbyć Hoxhy, tak samo jak wymienił całą resztę stalinowskich kacyków w demoludach. W 1960 r. na spotkaniu 81 partii komunistycznych, które zostało zorganizowane w Moskwie, Hoxha potępił politykę ZSRS i poparł Mao. Gdy Chruszczow zagroził mu i powiedział, że może bardzo łatwo unicestwić Albanię, Hoxha odparł: „Tak, to prawda, że jest nas tylko 1 mln. Ale jeżeli dojdzie do wojny, to będzie nas 601 mln". Oczywiście chodziło mu o populację Chin, która liczyła wówczas 600 mln.

Rok później oficjalnie zawarł sojusz z Chinami. Wtedy też zaczęło się prawdziwe szaleństwo albańskich komunistów. Hoxha zaczął naśladować najgorsze chińskie wzorce. Próbował przeszczepić na nasz grunt rewolucję kulturalną i rozpoczął ostateczną rozprawę z religią.

W 1978 r. doszło do kolejnego zwrotu i Albania nagle przestała być „chińskim lotniskowcem" w Europie...

Stało się tak z powodu zbliżenia Chin z Ameryką. Hoxha był wściekły. Wysłał listy do Pekinu, pisząc, że ta polityka niszczy relacje z Albanią i zarzucał

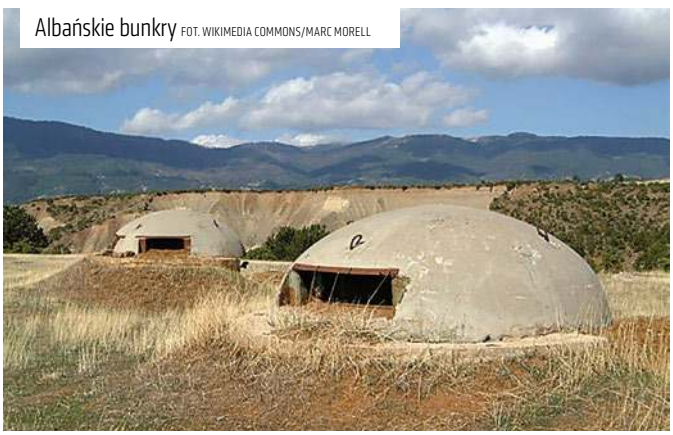


BLENDI FEVZIU
„HOXHA. ŻELAZNA PIĘŚĆ ALBANII"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

w nich Chińczykom deptanie „komunistycznych wartości". Do furii doprowadzało go również to, że Chińczycy zaczęli eksperymentować z prywatną inicjatywą.

Porzucił ChRL z powodów ideologicznych?

Hoxha bał się zmian. Postanowił odciąć się od Chin zmieniających się w niebezpiecznym – z jego punktu widzenia – kierunku, by nie „zarazić" w ten sposób własnego kraju. Po tym zwrocie Albania została sama. Staliśmy się jednym z najbardziej odizolowanych krajów świata. Rozpoczęła się prawdziwa ekonomiczna katastrofa mojego państwa. W 1989 r. Albania była w najtrudniejszym momencie w swojej historii.


Albańskie bunkry FOT. WIKIMEDIA COMMONS/MARC MORELL

Jak źle to wyglądało z pańskiej perspektywy?

Byłem wówczas studentem. Przysługiwał nam miesięcznie jeden kilogram wieprzowiny, 200 gramów masła i pół kilograma kiełbasy. To był przydział na całą moją rodzinę! Jajka były niedostępne i tylko chleb nas ratował: na moją rodzinę wypadało kilogram pieczywa dziennie. Chodziłem więc często z burczącym brzuchem.

Co pan robił 11 kwietnia 1985 r.?

Każdy Albańczyk pamięta tamten dzień. Ja byłem w szkole. Nauczyciel powiedział, że będzie jakieś ważne oświadczenie. Nikt nie wiedział jeszcze, o co chodzi. Słowa o śmierci Hoxhy były nieprawdopodobnym szokiem. Wszystkim zdawało się przecież, że ten człowiek rządził Albanią od zawsze i już nic się u nas nie zmieni. Zorganizowano 10-dniową żałobę. Myślę, że podobnie wyglądała Korea Północna po śmierci Kim Ir Sena. Wszyscy płakali...

Jak wiele osób płakało, bo musiało?

Trudno powiedzieć, ale na pewno bardzo wielu ludzi pod smutnym wyrazem twarzy na pokaz ukrywało wielką radość. Dość powiedzieć, że w 1991 r., sześć lat po jego śmierci, niemal 200 tys. ludzi, czyli prawie cała ludność Tirany, przyszło oglądać upadek jego pomnika w centrum miasta.

Budowa demokratycznej Polski była bardzo trudnym zadaniem, ale zadanie, które stanęło przed Albanią po upadku komunizmu, mogło się chyba wydawać niewykonalne...

Albańczycy nie wiedzieli, jak działa normalne państwo. Byliśmy przez pół wieku odcięci od świata, nie rozumieliśmy, jak działają nowoczesne społeczeństwa, jak bardzo się wszystko zmieniło. W kraju panował jednak wielki entuzjazm. Napędzali go oczywiście studenci. Mieliśmy wielkie ambicje, ale brakowało know-how. Wie pan, jak powstawały pierwsze programy polityczne nowych partii? Po prostu przerabiano program komunistów o 180 stopni! Jeżeli oni mówili, że coś ma być zrobione w ten, a nie inny sposób, to wiadomo, że trzeba było robić dokładnie odwrotnie. I jakoś to poszło. W 1939 r. PKB Albanii wynosiło 24 proc. PKB krajów zachodniej Europy, ale do 1989 r. spadło do poziomu 8,9 proc.! Obecnie wynosi 33,4 proc., co – zważywszy na punkt startu – wydaje się świetnym wynikiem. Mimo balastu potwornego dziedzictwa reżimu Hoxhy Albania jest już dziś kompletnie innym krajem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Blendi Fevziu (ur. 1969 r.) jest albańskim dziennikarzem, autorem książki „Hoxha. Żelazna pięść Albanii", która właśnie ukazała się w polskich księgarniach.

eprasa.pl ac2b0923d8

13 września 1195 r. / Małopolanie walczą z Wielkopolanami o krakowski tron



Rycerstwo na ilustracji Jana Matejki

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Bitwa Piastów nad Mozgawą



Leszek Lubicki

W „Kronice polskiej" Marcina Bielskiego czytamy, że była to „haniebna bitwa swoich i wiele ludzi z obu stron padło. Zabit tam Bolesław, syn Mieczysława Starego, i sam Mieczysław ranion, iż ledwo ujechał w lektyce". W jakim celu stoczono braterską bitwę uznawaną za najkrwawszą w epoce rozbicia dzielnicowego Polski?

Po nagłej i niespodziewanej śmierci w maju 1194 r. księcia całej Polski, Kazimierza II Sprawiedliwego, zaczęto zastanawiać się nad sukcesją krakowskiego tronu – symbolu władzy w Polsce dzielnicowej. Niby sprawa powinna być prosta, winien go dzierżyć najstarszy z Piastów zgodnie z zapisami „Testamentu Krzywoustego". Wówczas był nim Mieszko III Stary, będący jeszcze przy życiu ostatni już z synów Bolesława Krzywoustego. Pomimo że był starszy wiekiem od Kazimierza i wcześniej zasiadał na wielkoksiążęcym tronie, to w wyniku buntu możnych świeckich i duchownych został odsunięty od władzy, właśnie na rzecz młodszego brata Kazimierza zwanego później Sprawiedliwym.

Mieszko został zdetronizowany w wyniku zamachu stanu, i to za zgodą prawie wszystkich możnych monarchii piastowskiej. Później zatwierdzono wielkoksiążęce rządy Kazimierza na zjeździe w Łęczycy w roku 1180. Zaaprobowali zapadłe tam ustalenia możni z każdej polskiej prowincji. Bez problemu więc Kazimierz miał prawo używać tytułu księcia całej Polski, tym bardziej że łęczyckie zapisy zatwierdzili zarówno papież, jak i cesarz.

Problemem natomiast było zagadnienie sukcesji. Kto następny po Kazimierzu miał dzierżyć krakowski tron? Jeżeli miałaby dalej obowiązywać statut dynastyczny Krzywoustego, to oczywiste było, że wypadłoby ponownie na Mieszka Starego. Ale możni krakowscy pamiętający jego wcześniejsze rządy oparte na władzy absolutnej, nieliczenia się z ich zdaniem, bali się powrotu starego księcia do stołecznego miasta. W tych czasach nie było już mowy o jednowładztwie, do czego dążył konserwatywny Mieszko.

Pierwsza polska elekcja

Kazimierz Sprawiedliwy w czasie zasiadania na krakowskim tronie dzierżył władzę obejmującą dodatkowo Sandomierskie, Kujawy i Mazowsze, Łęczyckie i Sieradzkie. Potężny kawał państwa piastowskiego. Owo Kazimierzowe dziedzictwo, jak pisze Stanisław Zachorowski, „spadło prawem na dwóch małoletnich synów zmarłego władcy Leszka i Konra-

eprasa.pl ac2b0923d8

da. Otwierała się zaś sprawa następstwa na osieroconym tronie krakowskim, z którym łączyło się zwierzchnictwo nad dynastami piastowskimi, władanie dzielnicą krakowską i zwierzchnictwo nad Pomorzem".

Jednak był poważny problem. Najstarszy syn Kazimierza Sprawiedliwego, Leszek, miał zaledwie dziewięć lat. W Wielkopolsce rządził ponownie Mieszko Stary, a na Śląsku przebywali synowie Władysława Wygnańca, a więc potomkowie najstarszej linii książęcej. Oni decyzji możnych krakowskich o osadzeniu Leszka na tronie nie mieli zamiaru akceptować, a tym bardziej jej się podporządkować. Niemniej, co w owym czasie było ważne, jak zauważył Bogusław Leśnodorski, „rozbicie dzielnicowe i wielkie bezkrólewie nie przerwało łączności językowej, wspólnoty kulturalnej i poczucia narodowego znacznej większości księstw". Było to o tyle ważne, gdyż można było liczyć, że właściwy wybór „księcia całej Polski" może w niedalekiej przyszłości doprowadzić do zjednoczenia kraju, jak to było za trzech naszych wielkich Bolesławów.

Jednak Śląsk niejako odsuwa się od Polski, pomału niemczeje. Pozostają zatem dwie gałęzie – wielkopolska i małopolska. Dzielnica śląska później zwróci się jeszcze w stronę łakomego kąska, którym był tron na Wawelu, a będzie się to działo w czasach tzw. monarchii Henryków śląskich. Niestety, bardzo poważana szansa na zjednoczenie, którą dawał Henryk Pobożny, padła wraz z nim na Polach Legnickich.

W owym czasie możni – zarówno świeccy, jak i duchowni – urośli w taką siłę, że właściwie to oni decydowali, kto zasiądzie na wielkoksiążęcym tronie. Oczywiście nikt poważnie nie myślał o tym, że może to odbyć się z pominięciem domu piastowskiego, byli to przecież „panowie przyrodzeni". Możni małopolscy nie uznali jednak zapisów statutu Krzywoustego i postanowili wybrać na tron krakowski Leszka Białego. Oczywiście, z uwagi na jego małoletność, prawdziwą władzę miała sprawować regencja w osobach wdowy po Kazimierzu, księżnej Heleny, bp. Pełki i wojewody Mikołaja Gryfity.

Henryk Samsonowicz: „Była to, jak twierdzą niektórzy badacze, pierwsza znana elekcja władcy polskiego, świadcząca o istnieniu grupy społecznej roszczącej sobie prawo do decydowania o losach państwa, istniejącego niezależnie od osoby księcia". Na tejże „elekcji" krakowski biskup Pełka miał powiedzieć (według Kadłubka): „Chociaż bowiem Kazimierz w swojej osobie umarł, jednak u swoich nie mógł tak łatwo uchodzić za zmarłego, ponieważ dla nieśmiertelnych dobrodziejstw w ich sercach zżył i wiecznie żyć będzie. I o winnym szczepie nie sądzimy, że został przycięty, lecz przeciwnie, że się rozkrzewił, gdzie żywe i żywotne latorośle świadczą o jego życiu. Albowiem pozostały [po nim] dwie gałązki oliwne, dwa świeczniki, dwaj synowie Kazimierza: Lestek i Konrad,



Mieszko III Stary na rysunku Jana Matejki FOT. DOMENA PUBLICZNA

chociaż obaj są mali, obaj w wieku wymagającym opiekuństwa. Godzi się więc starszego z nich zaszczycić godnością ojcowską". I zaraz po jego wystąpieniu – pisze Kadłubek – „wzbił się ku niebu zgodny okrzyk ogólnej radości: Niech żyje! Niech żyje książę Lestek na wieki!".

To już dla starego (miał wówczas ponad 70 lat), ambitnego księcia Mieszka III było nie do przyjęcia. Wysyła najpierw były princeps posłów do Krakowa z żądaniem przekazania mu tronu. Mistrz Wincenty Kadłubek wkłada w usta Mieszka takie oto słowa: „Dziecię wybierają na księcia, aby pod tym pozorem oni sami nad samymi panującymi panowali. Aby doszczętnie wykorzeniwszy ród królewski, nareszcie swobodniej mogli władać, aby zamiast jednej głowy, tylu spośród nich wyrosło królów, ile głów". Odpowiedź panów krakowskich według „Kroniki wielkopolskiej" miała brzmieć: „Nie można dobrowolnie nazywać tego, co wymusza się z pełnym gróźb hasłem. Bądź więc gotów, jeślibyś nie chciał odstąpić, zastaniesz nas gotowych do stawienia ci oporu". Mieszko Stary nie zamierzał jednak „odstąpić".

Tworzą się koalicje

Wówczas obie strony zrozumiały, że konflikt ten można rozstrzygnąć tyko zbrojnym starciem. Pomimo że odzywały się głosy sprzeciwu, gdyż część możnych świeckich była jednak za powrotem do statutu Krzywoustego, czyli prawa pierworództwa, a nie dziedziczenia, to – jak pisał Stanisław Smolka – „zdanie potężnego biskupa przeważyło z łatwością szalę zwycięstwa na stronę pacholęcia". Mieszko Stary wchodzi w porozumienie z książętami śląskimi, którzy obiecują pomoc. Było to bowiem w ich osobistym interesie. Były princeps był już naprawdę stary i było jasne, że długo już życia przed nim nie stoi, a uwzględniając testament Krzywoustego, to oni byli następni ze względu na wiek do krakowskiego tronu.

To potomkowie najstarszego syna Krzywoustego, pierwszego princepsa Władysława Wygnańca. Najstarszy z nich, Bolesław Wysoki, był nawet starszy od Kazimierza Sprawiedliwego. Jego młodszy brat, Mieszko Plątonogi, i syn Wysokiego, książę opolski Jarosław, wyprzedzali także wiekiem Leszka i Konrada do wielkoksiążęcego tronu. I ci dwaj przyłączyli się do zbrojnych sił wielkopolskich, które zgromadził Mieszko Stary ze swoim ukochanym synem, księciem kujawskim Bolesławem, aby stanąć do boju o władzę w Polsce. Senior Piastów śląskich Bolesław Wysoki postanowił nie brać udziału w walce o tron, choć zapewne sprzyjał bratu i synowi, choć ten nie chciał władzy dla siebie, ale dla stryja Plątonogiego.

Sytuacja Leszka nie była zbyt dobra w takim układzie. Jednak niespodziewanie Małopolanie i siły Sandomierza zyskały sojusznika. Został nim Roman halicki. To bliski krewny obydwu pretendentów do krakowskiego tronu. Jego matką była córka Bolesława Krzywoustego, Agnieszka, rodzona siostra Mieszka Starego i Kazimierza Sprawiedliwego. Był zatem

eprasa.pl ac2b0923d8

książę Roman bratem ciotecznym Leszka. Wychowywał się na dworze wuja Kazimierza, któremu zawdzięczał swoją pozycję na Rusi.

Braterska bitwa

Mieszko zaplanował, że siły jego i syna połączą się z wojskami śląskimi pod Krakowem. Jednak zanim do tego doszło, 13 września 1195 r. niedaleko Jędrzejowa, nad małą rzeką Mozgawą, dochodzi do bitwy pomiędzy wojskami małopolskimi dowodzonymi przez wojewodę Mikołaja a wielkopolskimi pod wodzą Mieszka Starego.

Smutny zapis tego spotkania daje nam „Kronika wielkopolska": „W lasach sosnowych i zagajnikach tej miejscowości oba wojska ustawiły szyk bojowy. Tam ani synostwo nie okazało szacunku ojcostwu, ani synostwu nie przebaczyło ojcostwu, ani braterstwo braterstwu, ani krewieństwo krewieństwu i żadne święte duchowe powinowactwo nie było uznawane, lecz wszyscy wzajemnie, bez żadnego wyboru, wyrzynali się". Ginie syn starego księcia, Bolesław kujawski. Książę Roman zostaje ranny i wraz z Rusinami ucieka z pola walki.

Do ucieczki tej doszło – jak zauważa Agnieszka Teterycz-Puzio – „z powodu ran odniesionych przez Romana, co osłabiło morale jego wojska. […] Wojowie Romana nie byli osobiście zaangażowani w sprawę, o którą walczyli, szli na rozkaz księcia, który wziął udział w walce, licząc na zapłatę w postaci udzielanej mu pomocy sojuszników". Dalej już było ostro. „Tu ściele się – pisze najlepiej poinformowany Kadłubek – sława znakomitych rycerzy. Tu woj jakiś prosty rani Mieszka, a gdy go chce dobić, ten zdejmuje szyszak i woła, że jest księciem! Ów, rozpoznawszy go, o pobłażanie dla [swojej] nierozwagi prosi i broniąc przeciw natarciu innych, wyprowadza z pola walki".

Obydwie strony ponoszą ciężkie straty. Mieszko ranny i zrozpaczony utratą syna, w którym widział swojego następcę, wycofuje się. Krakowianie czynią podobnie, nawet nie ścigają Mieszka, ponieważ – jak miał powiedzieć krakowski biskup – „nie godzi się prześladować tak udręczonego starca". Ale to jeszcze nie koniec walk. Na miejsce przybywają spóźnieni śląscy książęta oraz z drugiej strony wojewoda sandomierski Gowo-



Portret Leszka Białego z kroniki Macieja Miechowity

FOT. DOMENA PUBLICZNA

rek, który – jak się uważa – zastępował Leszkowi ojca. Być może spóźnił się umyślnie, aby nie przysporzyć w wypadku zwycięstwa splendoru wojewodzie krakowskiemu Mikołajowi.

Zastają jednak pobojowisko bez wojska, ale za to pełne trupów. Dochodzi jednak do starcia. Zwyciężają Mieszko Plątonogi z Jarosławem opolskim, a Goworek dostaje się do ich niewoli. Później jednak zostanie z niej zwolniony i odegra ważną rolę w rządach Leszka Białego. Teraz jednak nie mają tu już nic do zrobienia, gdyż to drugie starcie okazało się całkowicie bez sensu. Plątonogi z Jarosławem jako zwycięzcy powracają na Śląsk. Sami, wobec wycofania się wojsk wielkopolskich, nie byliby w stanie zdobyć Krakowa. Tam bp Pełka organizował obronę stołecznego miasta.

Powrót Mieszka Starego

Historycy zazwyczaj bitwę nad Mozgawą uważają za nierozstrzygniętą, ale także bywają głosy, że zwyciężyły wojska Mieszka. Niemniej – jak twierdzi H. Samsonowicz – „polityczne zyski osiągnęli panowie krakowscy […], gdyż utrzymali na tronie małoletniego Leszka, czyli do momentu uzyskania przez niego pełnoletności de facto sami zostali przy władzy". Jednak ten stan rzeczy nie trwał długo. Mieszko nie rezygnuje z krakowskiego stolca. Trzy lata po bitwie nad Mozgawą, otrząsnąwszy się po stracie syna, ponownie podejmie walkę o tron, ale już bezkrwawą. Wchodzi w układ z księżną wdową Heleną, która – jak zauważył Andrzej Nowak – „nie chciała być marionetką w rękach możnych krakowian […]. Senior miał wrócić do Krakowa, przejąć w tych ostatnich latach swojego życia opiekę nad jej synami, odnowić autorytet książęcego rodu, a także zwrócić Kujawy, należne przyszłej dziedzinie Konrada (to jest Mazowszu)".

Ta decyzja księżnej Heleny mogła także wynikać, jak powiada H. Samsonowicz, „z oszacowania sił – małoletni Leszek poza Krakowem i Sandomierzem nie miał sojuszników, a za władcą Wielkopolski wciąż opowiadali się książęta śląscy". Jednak w kolejnym roku krakowscy możni, wojewoda i biskup, ponownie pozbyli się Mieszka z wielkoksiążęcego tronu. Ten jednak wraca wkrótce i ponownie, już po raz czwarty, obejmuje tron, na którym będzie zasiadał aż do śmierci. Niemniej, jak celnie stwierdza S. Smolka, „wraz z trupami poległych w bitwie nad Mozgawą pogrzebano zasadę zwierzchnictwa monarszego krakowskiej stolicy". Choć bitwa mozgawska jest dziś raczej zapomniana, to – jak pisze Jacek Maciejewski – „może być uważana za zwrotny moment w dziejach średniowiecznego państwa polskiego, oddzielając symbolicznie okres tzw. drugiej monarchii piastowskiej od epoki rozbicia dzielnicowego".

Mieszko III Stary był i jest obecnie przez historyków różnie oceniany. Ostatni z żyjących w opisywanym okresie synów Krzywoustego nieustępliwie jednak działał w kierunku utrzymania własnego prestiżu, a także jedności i siły państwa. Jerzy Wyrozumski pisał: „Wytrwały szermierz zasady senioratu zmarł w marcu 1202 roku w Kaliszu".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Literatura:

M.K. Barański, „Dynastia Piastów w Polsce", Warszawa 2005; M. Chrzanowski „Leszek Biały, książę krakowski i sandomierski, princeps Poloniae", Kraków 2013; A. Garlicki (red.), „Poczet królów i książąt polskich", Warszawa 1991; R. Grodecki, S. Zachorowski, „Dzieje Polski średniowiecznej", Kraków 1995; B. Leśnodorski, „Rozmowy z przeszłością", Warszawa 1970; J. Maciejewski „Biskup krakowski Pełka a bitwa mad Mozgawą", „Kwartalnik Historyczny" 2017, 3; M. Maciorowski, M. Maciejewska, „Władcy Polski", Warszawa 2018; A. Nowak, „Dzieje Polski", t. 1, Kraków 2014; Praca zbiorowa, „Piastowie. Leksykon biograficzny", Kraków 1999; H. Samsonowicz, „Historia Polski do roku 1795", Warszawa 1990; S. Smolka, „Mieszko Stary i jego wiek", Kraków 1881; A. Teterycz-Puzio, „Dwie bitwy", Połomia 2020; J. Wyrozumski, „Historia Polski do roku 1505", Warszawa 1984.

eprasa.pl ac2b0923d8

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

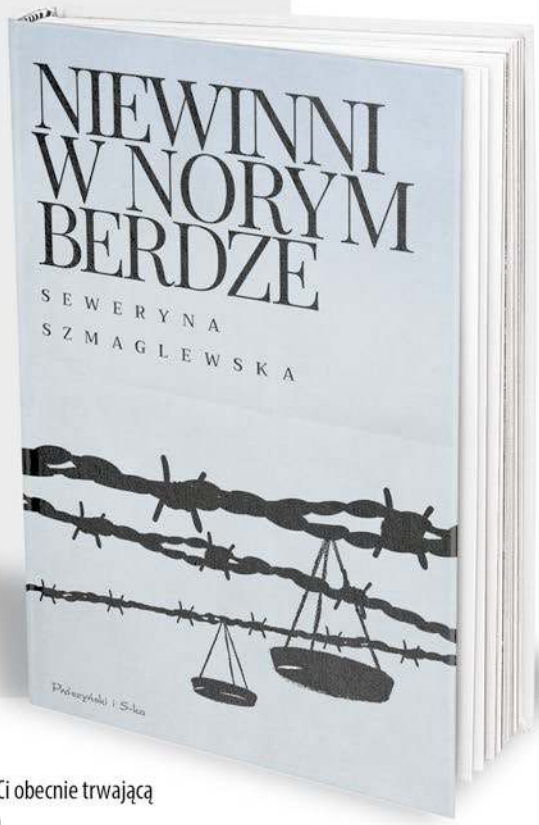
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA SEWERYNA SZMAGLEWSKA: „NIEWINNI W NORYMBERDZE”

LITERACKIE ŚWIADECTWO Z PROCESU NAJWIĘKSZYCH ZBRODNIARZY III RZESZY. WYDANIE ZAWIERA FRAGMENTY NAJWAŻNIEJSZYCH RECENZJI O KSIĄŻCE ORAZ PEŁNY TEKST ZEZNANIA AUTORKI ZŁOŻONY W PROCESIE W NORYMBERDZE.

Jak mówić? Jak przekazać fetor umierania, smród nędzy, obrzydliwość durchfallu płynącego po nogach? Jak opowiedzieć, iloma odmianami śmierci osiągnięto niewiarygodną liczbę zamordowanych w jednym obozie? Co to znaczy tłum więźniów? To nierealne.

W trakcie procesu norymberskiego Seweryna Szmaglewska, autorka książki „Dymy nad Birkenau”, zostaje wezwana by złożyć zeznanie przed Międzynarodowym Trybunałem. Ona jedna miała przedstawić prawdę o Auschwitz-Birkenau. Opowiedzieć to, co nieopowiadalne do dziś. Po to, by oskarżyć zbrodniarzy, którzy za wszelką cenę próbowali udowodnić swoją niewinność, i walczyć o sprawiedliwość w miejscu, które nie chciało już rozliczać przeszłości.



147 zł

oszczędność 41 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl ac2b0923d8



RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Wywiad / Z prof. Jarosławem Syrnykiem



rozmawia Piotr Zychowicz

Skąd się wzięli Ukraińcy?

Gdy upadło imperium Habsburgów, pojawiło się dwóch pretendentów do Galicji Wschodniej: Polacy i Ukraińcy. Konflikt przyjął krwawy obrót

PIOTR ZYCHOWICZ: Kiedy Rusini stali się Ukraińcami?

PROF. JAROSŁAW SYRNYK: No cóż, część Rusinów do dzisiaj nie stała się Ukraińcami (śmiech).

A to nie jest to samo?

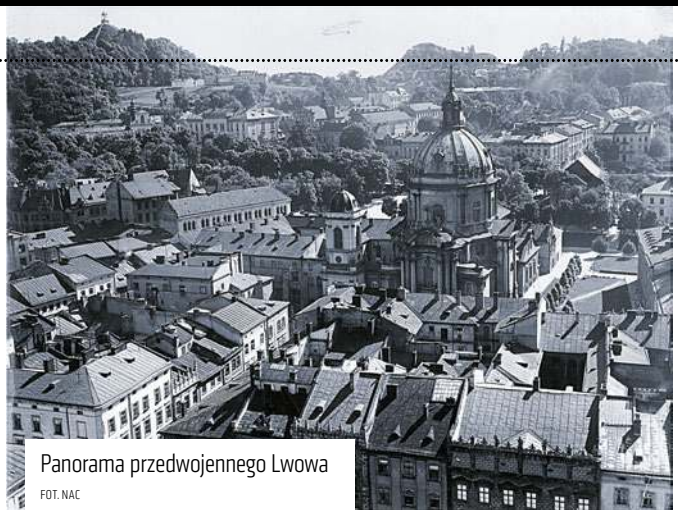
Według oficjalnej ukraińskiej wykładni to jest to samo. W drugiej połowie XIX w. – gdy rodziły się nowoczesne narody – słowo „Rusin" zostało po prostu zastąpione słowem „Ukrainiec". A Ruś stała się Ukrainą. Zgodnie z tą wykładnią była to ta sama wspólnota etniczna.

Po co to zrobiono?

Na przełomie wieków XVII i XVIII termin „Ruś" został zawłaszczony przez Moskwę. W efekcie słowa „Ruś" i „Rusin" fonetycznie bardzo przypominają

eprasa.pl ac2b0923d8

słowa „Rosja" i „Rosjanin". W uszach obcokrajowca to brzmi właściwie tak samo. Dlatego działacze ukraińskiego odrodzenia narodowego – którzy chcieli wyemancypować się spod wpływów rosyjskich – zdecydowali się przyjąć nazwę „Ukraina". Przejściowo używano formy „Ukraina-Ruś". Nie wszyscy jednak zaakceptowali nowe określenie.



Panorama przedwojennego Lwowa
FOT. NAC

Komu się to nie podobało?

W dużym skrócie: naprzeciwko siebie stanęły dwa obozy. Starorusini i Młodorusini. Pierwsi odrzucili zmiany. Uważali, że Rosja jest spadkobierczynią średniowiecznej Rusi Kijowskiej. A co za tym idzie, Rosja i Ruś stanowią jedność. Drudzy chcieli budować własne państwo narodowe. Uważali, że tylko Ukraina jest spadkobierczynią Rusi Kijowskiej. Rywalizację o dusze narodu ostatecznie wygrali ci ostatni. Ruś zamieniła się w Ukrainę.

To zwycięstwo to chyba sprawa dość świeża. Jeszcze w 2010 r. wybory na Ukrainie wygrał Wiktor Janukowycz, a państwo było podzielone na dwie połowy – pomarańczowych i czerwonych. Zwolenników utrzymania związku z Rosją i nacjonalistów.

Rzeczywiście, ten konflikt – choć w nieco innym kostiumie – trwał niemal do dnia dzisiejszego. Obecna wojna na Ukrainie, którą z zapartym tchem obserwuje cały świat, ma aspekt geopolityczny, a także kulturowo-historyczny. Jest nim właśnie wspomniana walka o spuściznę po średniowiecznej Rusi Kijowskiej. O to, kto jest współczesnym dziedzicem księcia Włodzimierza Wielkiego – Rosja czy Ukraina. Oba ośrodki polityczne – moskiewski i kijowski – próbują legitymizować swoją władzę, odwołując się do tego samego korzenia.

Kto ma rację?

Pomimo wielowiekowej hegemonii moskiewskiej ten spór od kilkuset lat pozostawał nierozstrzygnięty i co pewien czas przyjmował krwawy obrót. Za racjami ukraińskimi stoi geografia. Kijów jest przecież stolicą współczesnej Ukrainy, a nie Rosji. Należałoby jednak dodać, że drugą stolicą średniowiecznej Rusi był Nowogród.

Cały ten spór wydaje mi się nieco surrealistyczny. Na tej zasadzie współcześni Macedończycy mogą uważać się za spadkobierców Aleksandra Wielkiego.

Otóż to. Ukraińcy lubią powtarzać, że kiedy Ruś Kijowska znajdowała się u szczytu potęgi, pod Moskwą hasały niedźwiedzie. Ale to nie jest takie proste. Nie można przekładać realiów XXI w. na średniowiecze. W tamtych czasach nie było jeszcze narodów rosyjskiego i ukraińskiego. Ruś Kijowska była państwem feudalnym, związanym z dynastią, a nie z jakąś określoną nacją. Mowa o dynastii Rurykowiczów, która przybyła ze Skandynawii. To był zupełnie inny świat.

Ruś Kijowska przestała istnieć w XIII w., gdy spustoszył ją krwawy najazd Tatarów i Mongołów.

Tak. Państwo ruskie po tym ciosie już nigdy się nie podniosło. Ruś Halicka – czyli późniejsza Galicja – w XIV w. została włączona przez Kazimierza Wielkiego do Królestwa Polskiego. Reszta Rusi znalazła się pod władzą Wielkiego Księstwa Litewskiego. A w 1569 r. – po podpisaniu unii lubelskiej – stała się częścią Korony Rzeczypospolitej.

Wtedy rozpoczął się proces, który ukraińscy nacjonaliści nazywają „zdradą elit".

Bojarstwo ruskie rzeczywiście się spolonizowało. Ale to był długi proces. To nie było tak, że z dnia na dzień cała szlachta na Rusi zaczęła mówić po polsku, porzuciła prawosławie i przeszła na katolicyzm. No i przede wszystkim nie nazwałbym tego „zdradą". Szlachta ruska została po prostu zaabsorbowana przez naród polityczny Rzeczypospolitej. To nadal były czasy feudalne – ludzie dzielili się na grupy społeczne, a nie na narody. Nie można implikować zdrady ludziom żyjącym w XVII w., stosując wobec nich kryteria XX w.

Efekt był jednak taki, że kiedy w XIX w. zaczął kształtować się naród ukraiński, okazało się, że 93 proc. jego potencjalnych członków to chłopi. Szlachta mówiła po polsku.

Dlatego ukraińskie odrodzenie narodowe było ruchem chłopskim. Ale to samo dotyczyło innych podobnych „przebudzeń" XIX w. – litewskiego, białoruskiego, łotewskiego czy fińskiego. Elity na tych terytoriach mówiły w innych językach niż – stanowiące przytłaczającą większość mieszkańców – chłopstwo.

Sytuacja Ukraińców była o tyle specyficzna, że ziemie, do których pretendowali, były podzielone granicą.

To akurat była spuścizna zaborów Rzeczypospolitej. Galicja Wschodnia znalazła się pod władzą Austrii. Reszta terenów zamieszkałych przez Rusinów – pod władzą Imperium Rosyjskiego. Pokrywało się to z podziałem religijnym. Rusini z Galicji byli grekokatolikami. A Rusini mieszkający w państwie carów byli prawosławni.

Jak zabory wpłynęły na stosunki społeczne na Rusi?

Nie zmieniło się nic. Rosja i Austria były państwami feudalnymi, które utrzymały istniejące relacje. Zmienili się monarchowie, ale stosunki na linii dwór – wieś pozostały takie same. Mówiąca po polsku szlachta utrzymała swoją dominującą pozycję. Na straży feudalnego porządku stał zaś aparat policyjny państw zaborczych. Dopiero w połowie XIX w. doszło do zniesienia pańszczyzny. Ale to nie miało nic wspólnego z zaborami – po prostu świat się zmieniał.

W XIX w. zaczął się załamywać nie tylko stary ład społeczny. Zaczęły rodzić się narody.

Taki był duch epoki. Przykład szedł z Zachodu. Ludzie czytali romantyczną literaturę. Obserwowali przebudzenie narodowe Włochów i Niemców, które doprowadziło do budowy niepodległych Włoch i zjednoczyły Niemcy. Przesiąkali ideami rewolucji francuskiej, która królestwo Ludwika XVI przeistoczyła w państwo Francuzów. Pod wpływem tych prądów działacze polityczni w Europie Wschodniej zaczęli wymyślać narody na nowo.

eprasa.pl ac2b0923d8



Francuska mapa przedstawiająca Galicję i Lodomerię FOT. DOMENA PUBLICZNA

Czyli to nacjonaliści tworzyli narody? A nie odwrotnie.

Oczywiście. To szło z góry w dół. A nie z dołu do góry. Grupy intelektualistów wymyślały narody, odwołując się do rozmaitych tradycji historycznych. Nowoczesny naród polski też powstał w wieku XIX. Współcześni Polacy z piastowskim księstwem Mieszka I mają tyle samo wspólnego, co współcześni Ukraińcy z Rusią Kijowską. To, co narodziło się w wieku XIX, było czymś zupełnie nowym.

Na czym polegała różnica?

Na tym, że nowoczesne narody objęły wszystkie warstwy społeczne. Bo do tej pory chłopi nie byli narodem. Narodem była wyłącznie szlachta. Wcześniej można było mówić o narodach politycznych, a teraz na arenę dziejów weszły narody rozumiane jako wspólnoty etniczne.

Okazało się jednak, że chłopi na Ukrainie mówią innym językiem niż szlachta.

Jeszcze w 1863 r. nie stanowiło to problemu. Powstańcy styczniowi mieli na sztandarach tarczę podzieloną na trzy części. Były na niej Orzeł, Pogoń i symbolizujący Ruś archanioł Michał. Odwoływali się do tradycji ugody hadziackiej, idei Rzeczypospolitej Trojga Narodów. Zgodnie z mentalnością tamtych ludzi wymarzone państwo miało zostać odbudowane jako twór wielonarodowy. W drugiej połowie XIX w. ta koncepcja została jednak odrzucona. Zgodnie z nową ideą państwo miało się odrodzić jako twór narodowy. Jako Polska.

Ukraińscy działacze narodowi wysunęli konkurencyjny projekt.

I w ten sposób rozpoczęła się rywalizacja między Polakami a Ukraińcami: o terytorium i o zamieszkującą je populację. Masy chłopskie były wówczas obojętne narodowo i obie strony chciały je przeciągnąć na swoją stronę. Była to swoista wojna o dusze. Rywalizacja w dużej części toczyła się na gruncie wyznaniowym. W Galicji Wschodniej rozpoczęła się walka między Kościołem katolickim a Kościołem greckokatolickim o to, w jakim obrządku będą chrzczone dzieci.

To nie było oczywiste?

Nie. Bo zawierano olbrzymią liczbę małżeństw mieszanych. Wyznawcy obu obrządków – w epoce sprzed istnienia narodów – żyli razem. Obie społeczności się zazębiały. „Problem" ten rozwiązała Concordia. Porozumienie zwierzchników Kościoła i Cerkwi, które zakładało, że córki będą chrzczone w obrządku matki, a synowie w obrządku ojca. Skutki tego „handlu duszami" były opłakane.

Dlaczego?

Bo obrządki zaczęły być utożsamiane z narodowościami. Grekokatolickość przeistoczyła się w ukraińskość, a rzymskokatolickość w polskość. I nagle granice narodowego frontu zaczęły przebiegać w poprzek domów i rodzin. Okazywało się, że brat jest Polakiem, a siostra Ukrainką. Albo odwrotnie. Gdy konflikt się zaostrzył i nacjonaliści zaczęli do siebie strzelać, dochodziło nawet do zabójstw w rodzinach.

Ale czy to była tylko kwestia religii? Co z językiem?

Ci ludzie mówili tym samym językiem. W książce „Trójkąt bieszczadzki" opisałem to na przykładzie powiatu leskiego. Wszyscy tamtejsi chłopi posługiwali się lokalnym językiem ruskim – dziś powiedzielibyśmy: ukraińskim. Różnił ich tylko obrządek, w którym się modlili. Język, sposób życia, obyczaje były identyczne.

Dopiero nacjonalistyczna agitacja z przełomu wieków XIX i XX zaczęła dzielić ich na Polaków i Ukraińców. W ten sposób sąsiedzi nagle okazywali się członkami dwóch grup poróżnionych zaciekłym konfliktem. Nacjonalizmy dzieliły ludzi na „swoich" i „obcych". Dotychczasowy świat zgodnego współżycia został wywrócony do góry nogami.

Czyli katolicy nagle zaczynali mówić po polsku?

To dotyczyło obu stron. Elity tworzyły kanoniczne wersje języków – zarówno polskiego, jak i ukraińskiego. Ludzi zmuszano do mówienia inaczej, niż mówili przez stulecia. Tutaj ogromną rolę odgrywały ukraińskie i polskie szkoły czy instytucje oświatowe, których głównym zadaniem wcale nie było przekazywanie wiedzy. Głównym zadaniem szkół było formatowanie młodych ludzi w członków narodów.

Potem tę rolę zaczęły chyba również pełnić telewizja i radio. Widać to na przykładzie współczesnej Polski. Przecież Kaszubi, Górale, Ślązacy czy mieszkańcy Suwalszczyzny jeszcze kilkadziesiąt lat temu mówili zupełnie inaczej. Dopiero z telewizji zaczęli się uczyć literackiej polszczyzny. Wróćmy jednak do XIX w.

W ostatnich dekadach istnienia imperium Habsburgów Galicja Wschodnia stała się areną zaciekłego sporu między polskimi i ukraińskimi elitami. Między przedstawicielami konkurencyjnych projektów politycznych. Ukraińcy mieli przewagę liczebną, ale władza polityczna znajdowała się w rękach Polaków. Mowa o nadanej w drugiej połowie XIX w. autonomii galicyjskiej.

Na czym to polegało?

To był układ między polską arystokracją a tronem. Polacy zadeklarowali lojalność wobec Franciszka Józefa, a cesarz w zamian pozwolił im rządzić krajem. Polacy wykorzystywali to do budowania swojego stanu posiadania. Byli uprzywilejowani gospodarczo, kulturowo i politycznie. Dlatego do Lwowa przyjeżdżali działacze niepodległościowi z zaborów rosyjskiego i pruskiego. Tylko tu mogli swobodnie działać. W ten sposób Galicja stała się kolebką, inkubatorem przyszłej II RP.

eprasa.pl ac2b0923d8

Jak na to reagowali Ukraińcy?

Oczywiście byli sfrustrowani. To też tłumaczy, dlaczego ukraiński nacjonalizm był tak radykalny społecznie. Hasła wyzwolenia narodowego mieszały się z hasłami rewolucji. Zmiany sytuacji na wsi, gdzie w rękach nielicznej polskiej szlachty znajdowała się większość ziemi. Warto wspomnieć, że Ukraińcy w Austrii cieszyli się znacznie większą swobodą niż ich rodacy w Rosji. Dlatego Galicja stała się również centrum ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Terytorium to było więc kluczowe dla obu społeczności.

Dwa młode nacjonalizmy ścierały się na Ukrainie. Ale dopóki istniały Austro-Węgry i imperium Habsburgów, dopóty aparaty policyjne obu tych państw dbały o to, żeby sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Nadszedł jednak rok 1918.

Stolik został wywrócony.

Co się stało?

Stało się to, co zawsze się dzieje w przyrodzie. Coś się skończyło i jednocześnie zaczęło coś nowego.

Skończyła się epoka starych, wielonarodowych monarchii. A co się zaczęło?

Epoka młodych państw narodowych. Projekt polski i projekt ukraiński znalazły się na kursie kolizyjnym, bo pretendowały do tego samego terytorium i do tej samej populacji. Moment ten można określić krótko: albo-albo. Konflikt był nie do uniknięcia.

W latach 1917–1918 powstały dwa ukraińskie państwa.

Na terenach wchodzących wcześniej w skład Imperium Rosyjskiego – Ukraińska Republika Ludowa (URL). Na terenach wchodzących wcześniej w skład imperium Habsburgów – Zachodnioukraińska Republika Ludowa (ZURL).

W listopadzie 1918 r. wybuchła zacięta wojna między Polską a ZURL. Jej stawką były Lwów i Galicja Wschodnia. Z kolei z URL Polska w 1920 r. sprzymierzyła się przeciwko bolszewikom.

Jak to wszystko się skończyło?

Po okresie śmiertelnych zmagań – wojny, rewolucji, ruiny ekonomicznej – ogień przygasł. Polacy pokonali wojska ZURL i wyrzucili je za rzekę Zbrucz. W 1921 r. Polska podpisała z bolszewikami traktat ryski, w którym podzielono ziemie zamieszkane przez Ukraińców.



JAROSŁAW SYRNYK „TRÓJKĄT BIESZCZADZKI”
LIBRA



JAROSŁAW SYRNYK „PRZEMOC I CHAOS”
IPN

Galicja Wschodnia i Wołyń znalazły się w granicach Polski. A wraz z nimi ponad 4 mln mieszkających tam Ukraińców.

Pierwsza bitwa dobiegła końca.

Jedni wrócili do domów jako triumfujący zwycięzcy, a drudzy jako upokorzeni przegrani. Pierwszym stawiano pomniki i śpiewano na ich cześć pieśni. Drudzy czuli się upokorzeni, przeżuwali gorzki smak porażki. Okazało się, że poświęcili swoje życie idei, która się nie ziściła. Oczywiście nie pogodzili się z takim obrotem spraw. Marzyli o odwecie i ponownym wywróceniu stolika. W tym duchu wychowywali kolejne pokolenia.

Czyli to był dopiero początek walki Polaków i Ukraińców?

Dla wszystkich było jasne, że kolejna konfrontacja jest tylko kwestią czasu. Jak wiadomo, doszło do niej po 20 latach. Z jeszcze większym impetem, z jeszcze większym okrucieństwem i z jeszcze większą nienawiścią.

Dlaczego II RP prowadziła wobec Ukraińców taką fatalną politykę?

Bądźmy sprawiedliwi – woli porozumienia zabrakło z obu stron. Elity polskie nie chciały się posunąć i zrobić trochę miejsca dla elit ukraińskich. Umożliwić im zgodne współistnienie w jednym państwie. Wbrew deklaracjom i hasłom nie było wówczas pomysłu na budowanie Polski obywatelskiej, był pomysł na budowanie Polski narodowej.

Elity ukraińskie też nie były jednak gotowe na życie w jednej Rzeczypospolitej z elitami polskimi. Skoro już raz proklamowały we Lwowie swoje państwo, stworzyły sprawną armię i wzniosły niebiesko-żółty sztandar, to pozostały wierne tej idei. Nie chciały skapitulować, chciały kontynuować walkę o niepodległość.

Wszyscy ci ludzie byli dziećmi swojej epoki. Polacy chcieli mieć swoje państwo narodowe i Ukraińcy chcieli mieć swoje państwo narodowe. Nikt nie chciał iść na kompromisy. Jak wiadomo, w trakcie drugiej wojny światowej przyniosło to straszliwe konsekwencje.

Narodowo-demokratyczna narracja przedstawia rok 1918 jako progres ludzkości. Z areny dziejów zeszły staroświeckie, stetryczałe monarchie i zastąpiły je demokratyczne i postępowe państwa narodowe. Ale ja myślę, że to nie był progres, tylko regres. Nacjonalizmy cofnęły ludzkość do czasów wojen plemiennych, gdy ludzie wyrzynali się, bo należeli do różnych szczepów.

Całe szczęście nie wszyscy temu ulegali. Nie wszyscy dali się porwać nacjonalizmom. Weźmy przykład tzw. Sprawiedliwych Ukraińców. Czyli włościan z Wołynia, którzy w 1943 r. ukrywali swoich polskich sąsiadów. Ratowali ich przed śmiercią. Więzi sąsiedzkie w takich przypadkach okazywały się mocniejsze niż nacjonalistyczna ideologia. Z kolei na drugim biegunie były tragedie, o których już mówiliśmy. Czyli sytuacje, w których mąż mordował żonę, bo była Polką, albo wyrzekał się dzieci. „Nie po to cię wychowywałem, abyś został – tu w zależności od wersji – Polakiem/Ukraińcem!”. W takich przypadkach nacjonalizm okazywał się silniejszy niż więzi rodzinne. Niż miłość.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Jarosław Syrnyk jest historykiem Uniwersytetu Wrocławskiego. Napisał m.in. „Przemoc i chaos. Powiat sanocki i okolice w latach 1944–1947”, „Trójkąt bieszczadzki. Tysiąc dni i tysiąc nocy anarchii w powiecie leskim 1944–1947” oraz „Nadzór specjalny. Analiza historyczno-antropologiczna działań organów bezpieczeństwa w kwestii tzw. nacjonalizmu ukraińskiego na Podkarpaciu w latach 1947–1989”.

eprasa.pl ac2b0923d8



„Sen żołnierza (wizja szyldwacha)", mal. Wojciech Kossak

FOT. MNW

XIX–XX w. / Napoleon, Foch, de Gaulle

Polska miłość do trzech Gallów



Maciej Rosalak

Wolność rozbrzmiewała w naszej pamięci jak sława, a dla Polaków jedno i drugie znaczyło to samo...

Wraz z kolejną (102.) rocznicą Bitwy Warszawskiej, będącą ukoronowaniem paroletnich walk o suwerenność i granice, ukazały się nader uproszczone relacje i oceny wydarzeń. Jedna z nich dotyczyła niemal zupełnego naszego osamotnienia w walce. „Tylko Węgrzy nam pomogli!" – słyszałem niejeden raz w okolicach 15 sierpnia. Tak! Węgrzy zasługują na naszą ogromną wdzięczność i zawsze trzeba im dziękować za te wagony z amunicją, którą od ust – chciałoby się powiedzieć – sobie odjęli, aby zdążyła trafić do Warszawy przed decydującą rundą ostatecznego boju z bolszewikami. Zdążyła. Setki milionów naboi karabinowych i pocisków artyleryjskich dotarły 12 sierpnia do Skierniewic. Ale zapomina się przy tym o najistotniejszym sojuszniku – o Francji, oczywiście.

A bez Francji przedstawicieli Komitetu Narodowego Polskiego nie zaproszono by do stołu wersalskich rokowań, nie zakończyłoby się zwycięstwem powstanie wielkopolskie, nie mielibyśmy w 1919 r. sił i środków do zmagań o Małopolskę Wschodnią z Ukraińcami i o Wileńszczyznę z bolszewikami, nie pokonalibyśmy tych ostatnich nad Wisłą i Niemnem w 1920 r. i wreszcie – zamiast uprzemysłowionej części Górnego Śląska otrzymalibyśmy w 1921 r. figę z makiem.

Po zakończeniu działań wojennych na froncie zachodnim 11 listopada 1918 r. ani Niemcy upokorzone w Compiègne kapitulacją wojska, ani „biała" czy „czerwona" Rosja, ani nawet mocarstwa zachodnioeuropejskie nie podzielały dominującego wśród Polaków przekonania o naszym prawie do niepodległego bytu państwowego, a zwłaszcza do ziem Rzeczypospolitej sprzed XVIII-wiecznych rozbiorów. Nie podzielali go też ani Litwini, ani Ukraińcy, którzy dążyli do stworzenia własnych państw. Słynny 13. punkt z noworocznego orędzia prezydenta USA Thomasa Woodrowa Wilsona – które stało się podstawą rokowań

eprasa.pl ac2b0923d8

pokojowych – enigmatycznie mówił tylko o „stworzeniu niepodległego państwa polskiego na terytoriach zamieszkanych przez ludność bezsprzecznie polską, z wolnym dostępem do morza, niepodległością polityczną, gospodarczą, a integralność terytoriów tego państwa powinna być zagwarantowana przez konwencję międzynarodową".

Na marginesie: los największych polskich powstań 1830–1831 oraz 1863–1864 został przesądzony brakiem rzeczywistego wsparcia ze strony mocarstw zachodnich. Francja i Anglia nie zdobyły się nawet na to, żeby uznać utworzone wtedy rządy polskie. Najpierw nieoficjalne zachęty, zwody dyplomacji i brak pomocy militarnej, a na koniec współczucie zwykłych ludzi i jałmużna – oto, co otrzymali Polacy. I jeszcze naukę: nie zaczynajmy dopóty, dopóki nie możemy liczyć na skuteczne wsparcie. A takie wsparcie zapewni tylko ten, kto ma w tym interes. Niezależnie od spontaniczności odruchu, męstwa i organizacji Wielkopolan w latach 1918 i 1919 oraz Ślązaków w latach 1919, 1920 i 1921 nie wygralibyśmy tych powstań bez Francji. A zwłaszcza bez jednego Francuza, który nazywał się Ferdinand Foch.

Zacznijmy jednak od jego wielkiego rodaka z Korsyki, który jak niewiele postaci w dziejach wszedł do masowej wyobraźni całych pokoleń. Wspominały go z uwielbieniem albo z nienawiścią. Do wielbicieli Napoleona Bonaparte należeli liczni – ale nie wszyscy! – Francuzi oraz w takich samych mniej więcej proporcjach, choć nie dokładnie z tych samych względów, Polacy.

Wolność i sława

Napoleon stał się bliski polskiemu sercu przede wszystkim dlatego, że dzięki epoce napoleońskiej odżyła polska państwowość – najpierw w postaci Księstwa Warszawskiego (1807), a następnie, przy wszystkich zastrzeżeniach, Królestwa Polskiego (1815). Odżyła także sięgająca XVII w. chwała naszego oręża. Jak sugestywnie pisał o tym Wacław Gąsiorowski, autor „Huraganu", „Roku 1809" i „Szwoleżerów gwardii": „Wobec ułańskiego czaka i lancy zbladły nawet pancerze rycerzy spod Grunwaldu i proporce husarzy spod Wiednia!" – taki obraz legionistów przedstawił. Sto lat



Józef Piłsudski dekoruje Ferdinanda Focha Krzyżem Virtuti Militari, odpiętym od własnego munduru, 1921 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

po dokonaniach ułanów i szwoleżerów. Gąsiorowski wyrażał zarazem podziw dla rodaków swego pokolenia (żyjących z kolei 100 lat przed nami), którzy znów walczyli o niepodległą Rzeczpospolitą.

Jak pisał Kazimierz Wierzyński: „Mitem Napoleona można by określić temperamenty i charaktery narodów. Napoleon w każdym kraju jest inny: jest taki jak kraj. Pokażcie mi Polaka, który by był obojętny temu imieniu i nie zadrżał na jego podźwięk. W naszym uchu brzmi ono jak wezwanie, po którym szło się bić, i pomimo wszystkich najokrutniejszych zawiedzionych nadziei narodu nie straciło odgłosu pobudki. Jeśli imię to nie znaczy dla nas tyle co wolność, rozbrzmiewa jednak w naszej pamięci jak sława, a dla iluż pokoleń polskich jedno i drugie znaczyło to samo?".

Przypominały o tym zarówno „Wizja szyldwacha" w piosence Stanisława Ratolda z 1918 r., jak i wizjonerski obraz Wojciecha Kossaka pod tymże tytułem:

W zwycięstwa łunie białe orły chwieją się —
Tratują, sieką, tną, czernieje morze głów,
To nieśmiertelność mknie!
Barwny ich strój,
Amaranty przypięte pod szyją.
Ech! Boże mój,
Jak te polskie ułany biją —
Ziemia aż drga...
Młody szyldwach więc oczy przeciera...
Tak, on ich zna —
To ułani spod Somosierra.

W polskiej pamięci płynął, a może i płynie nadal nurt myśli o Napoleonie – wskrzesicielu Polski. Nieważne, czy taka historiozofia znajduje oparcie w faktach. Podzielały ją tysiące „Rzeckich", jak wcześniej ks. Robak: „Na pierwszy znak Napoleona przejdą Niemen / I, bracie! Ojczyzna wskrzeszona!". Rodacy od pokoleń czytali (czytają?) kolejne słowa nieśmiertelnej Mickiewiczowskiej epopei:

O wiosno! kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno! kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu.

Właśnie upływa 210 lat od „owego roku", kiedy Napoleon ruszył na Moskwę z hasłem pełnego odrodzenia Rzeczypospolitej. Nie wygląda na to, aby młodzi Polacy przejmowali się Bonaparte i jego stosunkiem do „sprawy polskiej".

Przedwcześnie zmarły, nieodżałowanej pamięci polski historyk Andrzej Nieuważny pisał 10 lat temu (w serii zeszytów opublikowanych w „Mówią wieki" o bitwach epoki napoleońskiej):

„Obchodzone od pięciu lat, mniej lub bardziej przebijające się do mediów dwusetne rocznice napoleońskie (wejście Francuzów na ziemie polskie, powstanie Księstwa Warszawskiego z jego konstytucją i Kodeksem Napoleona, wojna 1809 roku itd.) pokazują jednak, że tradycyjny odbiór cesarza i jego epoki (kojarzony ze słowami »wezwanie«, »pobudka«, »sława«) wyblakł lub wręcz zniknął. Wciąż myślimy o niej głównie poprzez obrazy wojenne: gen. Dąbrowski przewodzi

eprasa.pl ac2b0923d8

Legionom, szwoleżerowie biorą somosierskie armaty, a książę Józef… skacze do Elstery. Mało kto pamięta, że to Napoleon zniósł chłopską niewolę. Znikają też emocje żywe jeszcze w powojennym pokoleniu". Natomiast we Francji: „Do dawnych oskarżeń o zdławienie rewolucji i agresję wobec Europy… dziś dorzuca się przywrócenie niewolnictwa, budowę państwa policyjnego i cenzury, wreszcie stosunek prawodawstwa do kobiet czy nieślubnych dzieci… z punktu widzenia politycznej poprawności Napoleon to prawdziwy potwór. W oficjalnych wytycznych dla instytucji historyczno-kulturalnych mówi się o trzech osiach przedstawiania przeszłości. Symbolizują je postacie Króla Słońce (ancien régime), Napoleona (rewolucja) i generała de Gaulle'a (republika), przez dziesięciolecia okupujące czołowe pozycje w sondażach i rankingach popularności. Co ciekawe, de Gaulle od lat jest w nich pierwszy, a Napoleona coraz częściej brakuje w czołówce".

Z kolei znakomity napoleonista francuski, prezes Fundacji Napoleona Thierry Lentz, przedstawiając stosunek Napoleona do sprawy polskiej i Polaków, stwierdził m.in.:

„Wprawdzie Napoleon nigdy nie uznał rozbiorów Rzeczypospolitej, ale w 1807 roku, podczas negocjacji z carem Aleksandrem I w Tylży, uległ presji Rosji, powołując do życia jedynie kadłubowe Księstwo Warszawskie. – Moim podstawowym obowiązkiem – mówił – jest służyć Francji, nie mogę go poświęcić dla Polski. Podczas kampanii włoskich zgodził się na utworzenie Legionów Polskich, co godziło w austriackiego przeciwnika, ale gdy po pokoju w Lunéville Polacy przestali mu być potrzebni, posłał ich do tłumienia powstania na karaibskim Santo Domingo, gdzie większość wyginęła. W 1806 r., chcąc rzucić Prusaków na kolana, znowu wezwał Polaków pod swe sztandary. Tworząc Księstwo Warszawskie, ukarał Prusy, gdyż odbyło się to ich kosztem. […] Czy żołnierz polski był traktowany przez Napoleona instrumentalnie? Oczywiście, tak jak każdy inny, francuskiego nie wyłączając.

W okresach narodowych nieszczęść Polaków powracał motyw cesarza Francuzów, który – tak jak mocarstwa zachodnie w 1939 roku – za pół darmo wykorzystał polskie mięso armatnie. Cynizm Napoleona porównywano nawet do postawy aliantów w Jałcie czy Poczdamie. Tylko czy w 1807 ktoś dawał Polakom więcej? Napoleon dokonał znacznego rozszerzenia granic polskiego państewka kosztem Austrii w 1809 roku i nie zgodził się na podpisanie tajnej konwencji z Rosją, pozostawiając furtkę dla przekształcenia księstwa w Polskę. Nad całościowym efektem »polskiego projektu« zaważyła oczywiście klęska w 1812 roku. […] Sprawa polska była jednak zawsze tylko instrumentem, a nie celem jego polityki europejskiej […]".

Na pytanie o to, czy Bonaparte był mężem opatrznościowym dla Polaków, badacz epoki XVIII i XIX w., profesor Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, Jarosław Czubaty w rozmowie z Bogusławem Kubiszem odpowiedział:

„Do Polaków odnosił się z sympatią, ale nieprzesadną. Byliśmy mu potrzebni do realizacji planu uporządkowania Europy według własnych wyobrażeń. Tak się szczęśliwie złożyło, że ten plan do pewnego stopnia był zgodny z polskimi aspiracjami niepodległościowymi. […] Nie wiemy, jak potoczyłyby się losy sprawy polskiej w XIX wieku, gdyby nie było Napoleona. Dzięki niemu kwestia istnienia państwa polskiego powróciła na forum wielkiej polityki. Po trzecim rozbiorze w Europie uznano, że Polski nie ma i nie będzie – koniec dyskusji i wszyscy się z tym godzą. Tymczasem po zwycięstwie Napoleona nad Prusami w latach 1806–1807 mamy Księstwo Warszawskie i wizję odbudowy Polski, którą potwierdził Sejm w 1812 roku. Trzy lata później obradującym w Wiedniu przedstawicielom mocarstw, które pokonały Napoleona, było trudno wrócić do idei całkowitego wymazania państwa polskiego z mapy".



Napoleon Bonaparte
FOT. NATIONAL GALLERY OF ART



Ferdinand Foch
FOT. WIKIPEDIA

Śladem pradziadka

W duchu tradycji napoleońskiej został wychowany prawnuk oficera Wielkiej Armii – Ferdinand Foch (1851–1929). O polskich dążeniach niepodległościowych mógł się dowiedzieć od lekarza rodzinnego, kilka lat zaledwie starszego odeń Polaka Michałowskiego, powstańca styczniowego. Ferdinand został zawodowym oficerem artylerii (1874), w latach 80. XIX w. służył w Sztabie Generalnym, uczył strategii w Akademii SG, a po przejściowym odwołaniu z powodu „klerykalizmu" – jak nazwano przywiązanie do wiary katolickiej – zarówno znów wykładał, jak i z wolna awansował oraz obejmował coraz wyższe stanowiska dowodzenia.

Do pierwszej wojny światowej ruszył na czele 20. Korpusu Armijnego, a podczas bitwy nad Marną we wrześniu 1914 r. odniósł znaczące sukcesy, dowodząc waleczną 9. Armią. Już na początku października został de facto zastępcą naczelnego dowódcy Josepha Joffre'a, koordynującym działania wszystkich wojsk na północy Francji – m.in. pod Ypres, w Artois, nad Sommą w 1916 r. Od początku 1918 r. był szefem Sztabu Generalnego i przewodniczącym Rady Wojennej Sprzymierzonych, który odparł wiosenną ofensywę niemiecką, a we wrześniu pobił Niemców w kolejnej bitwie nad Sommą, pozbawiając ich wszelkiej

eprasa.pl ac2b0923d8



W 1967 r. na ulicach polskich miast gen. de Gaulle'a entuzjastycznie witały tłumy

FOT. AIPN

nadziei na wygranie wojny. On też podyktował Niemcom w Compiegne twarde warunki zawarcia rozejmu.

Rozejm dotyczył tylko frontu zachodniego i obowiązywał tylko miesiąc. Zarówno w grudniu 1918 r., jak i w styczniu 1919 r. przedłużano go o kolejny miesiąc niejako automatycznie, ale w lutym Foch odmówił w Trewirze jego podpisania, co równie automatycznie oznaczałoby… wznowienie wojny przez Francję. Powodem było szykowanie przez Niemców potężnej kontrofensywy na zajętą przez powstańców Wielkopolskę (kierunki uderzeń planowali takie jak we Wrześniu '39: z Dolnego Śląska, Pomorza Zachodniego i Prus Wschodnich).

Foch lubił Polaków, znał i cenił Dmowskiego i Paderewskiego, a Niemcy byli dla niego wrogami, którzy dwukrotnie już niszczyli mu ojczyznę. Zmusił ich do rezygnacji z agresywnych planów – i to z zamiarem uderzenia na całą wolną już Polskę – oraz do przyjęcia jako linii demarkacyjnej frontu powstańczego. Nie kierował się tylko uczuciami – realizował przede wszystkim interes Francji, która chciała mieć antyniemieckiego sojusznika na wschodzie, gdy Rosję oderwali od ententy bolszewicy. Pierwszy raz w historii korzyść odnieśli także Polacy. Wiadomość o decyzji francuskiego marszałka została w Poznaniu przyjęta ze zrozumiałym aplauzem. „Marszałek Foch jednem pociągnięciem pióra przekreślił ambitne i niebezpieczne plany niemieckie, kategorycznem: dotąd, a nie dalej!" – pisał w lutym 1919 r. „Dziennik Poznański".

Również Foch wytyczył zgodną z kryteriami etnicznymi linię rozgraniczenia z Litwą, pozostawiając Wilno i Suwałki po polskiej stronie. Dzięki niemu Błękitna Armia gen. Hallera – z alianckimi oficerami w każdym pociągu – mogła przejechać przez Niemcy i wiosną 1919 r. zadecydować o polskim zwycięstwie nad hajdamacką armią i wyparciu jej resztek za Zbrucz.

Nadal mało kto u nas wie, że za Błękitną Armią sunęły zaplombowane wagony, a w nich było: ok. 700 tys. karabinów, głównie francuskich Lebel 8 mm wz. 1885/93; kilka tysięcy karabinów maszynowych – ręcznych Chauchat wz. 1915 oraz ciężkich Hotchkiss wz. 1914 – 4 tys. dział i moździerzy, m.in. doskonałe armaty polowe 75 mm wz. 1897 Schneider oraz haubice 155 mm wz. 1917. Przyjechało też 120 nowoczesnych jak na owe czasy czołgów Renault FT-17 oraz siedem eskadr lotniczych wyposażonych w 98 samolotów, w tym rozpoznawczo-bombowe Salmson 2 i Breguet 14 oraz myśliwskie SPAD VII. Przybyło kilka w pełni wyposażonych szpitali polowych. Dzięki temu 600-tysięczna armia polska na przełomie lat 1919 i 1920 była w pełni uzbrojona, miała przygniatającą przewagę nad bolszewikami w powietrzu (w stosunku 5:1) i stosowała (z powodzeniem!) uderzenia pancerne.

5 lutego 1921 r. w szkole wojskowej w Saint-Cyr polski marszałek Józef Piłsudski odpiął ze swego munduru własny Krzyż Virtuti Militari i udekorował nim marsz. Focha za słowami: „Jako żołnierz podziwiałem i podziwiam olbrzymie dzieło, jakiego dokonałeś, biorąc na swoje barki tak olbrzymią odpowiedzialność. I dlatego dziś z uczuciem głębokiej radości ofiaruję Ci Krzyż Virtuti Militari, ten krzyż, który jest mi tak drogi, a który nosiłem na swojej piersi, jako Naczelny Wódz Armii Polskiej".

13 kwietnia 1923 r. prezydent RP Stanisław Wojciechowski nadał Ferdinandowi Fochowi tytuł marszałka Polski. 2 maja 1923 r. na dworcu kolejowym w Dziedzicach minister spraw wojskowych, gen. Kazimierz Sosnkowski, powitał go słowami: „Przy pierwszym kroku Pańskim w Polsce, Panie marszałku Foch, Marszałku Francji i Marszałku Anglii, mam honor wręczyć Ci dekret mianowania Pana Marszałkiem Polski, a jako widoczny symbol tej godności buławę Marszałkowską…". Piłsudski towarzyszył gościowi z Francji przy odsłonięciu pomnika Józefa Poniatowskiego na placu Saskim. Było tam więc trzech marszałków: dwóch Francji (Poniatowski i Foch), dwóch Polski (Piłsudski i Foch) i tylko jeden obu krajów, a był nim właśnie Foch. Podczas tej wizyty obydwaj wodzowie rozmawiali o wojnie prewencyjnej przeciw Niemcom. Zaznaczyły się pewne różnice strategiczne, ale co do zasady się zgadzali. Wielka szkoda, że gdy po dojściu Hitlera do władzy Piłsudski, który natychmiast wrócił do koncepcji uderzenia prewencyjnego, nie znalazł we Francji osoby takiej jak Foch. Od czterech lat francuski marszałek już niestety nie żył…

Jednak jego pobyt w 1923 r. w Polsce przypominał marsz triumfalny. Wdzięczni Polacy nadawali mu tytuły honoris causa wyższych uczelni, nazywali jego imieniem ulice i place, zapraszali na uroczyste przyjęcia. Po uroczystości nadania marszałkowi tytułu honoris causa Politechniki Lwowskiej rozentuzjazmowani studenci wyprzęgli konie i wśród wiwatujących tłumów ciągnęli karetę do ratusza. W 1967 r. takie wiwatujące szpalery widziałem na własne oczy…

Vive de Gaulle!

Ciekaw jestem, jak moje wnuczki, dzisiejsze 20-latki, powitałyby wielkiego – w sensie przenośnym, a także dosłownym, bo mierzył chyba dwa metry – Francuza, gen. Charlesa de Gaulle'a. Miałem 20 lat, gdy stałem w gęstych szpalerach warszawiaków witających go, gdy jechał, stojąc w kabriolecie, Alejami Ujazdowskimi. Entuzjazm był powszechny, choć mało kto pamiętał, że w 1920 r. niespełna 30-letni wówczas oficer francuski jako major Wojska Polskiego brał udział w zwycięskim uderzeniu pod Warszawą (przebieg wizyty de Gaulle'a trafnie przypomniał tu przed miesiącem Piotr Semka w felietonie „Galijski charme").

Mnie zaś tę wizytę i ks. Robaka, i Gąsiorowskiego, i starego subiekta Rzeckiego, i trzech marszałków (jeden na pomniku) w 1923 r. na placu Saskim przypomniały nawet odwiedziny obecnego prezydenta Francji, zaproszonego do Polski przed dwoma laty na obchody 100-lecia Bitwy Warszawskiej. Znów tricolore powiewała obok biało-czerwonej i brzmiały „Marsylianka" i „Mazurek Dąbrowskiego". Obydwa hymny pochodzą wszak z tej samej epoki, a nawet – jakby powiedziały moje wnuczki – z tej samej bajki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8



Józef Mączka FOT. NAC

1914–1918 / Józef Mączka, chorąży ułanów w II Brygadzie Legionów

Ułan – poeta Żelaznej Brygady

eprasa.pl ac2b0923d8



Marek Gałęzowski

Kaden-Bandrowski powiedział o wierszach Józefa Mączki: „poezja to nie kunszt tylko, lecz kunszt i jego okoliczności”

Wstań, Polsko moja!
Strząśnij proch!
Żałosne marzeń ucisz łkania!
Za Tobą zimny smutków loch –
Przed Tobą świty zmartwychwstania!...
Z anielskich skrzydeł strząśnij proch!

Wstań, Polsko moja!
W ogniach zórz
Nowe się szlaki krwawią Tobie!
O, lżej Ci będzie w gromach burz,
Niżeli w zwiędłych wspomnień grobie.

Niektórzy badacze literatury uważają, że to Józef Mączka, autor cytowanego wiersza, był najwybitniejszym poetą legionowym. I chociaż wydaje się, że wśród następców pierwszego barda pokolenia 1863 r. Mieczysława Romanowskiego palmę pierwszeństwa należy jednak przyznać Stanisławowi Długoszowi, to bez przesady możemy uznać Mączkę za jednego z kilku czołowych twórców poezji wśród żołnierzy Legionów Polskich, a na pewno pierwszego w II Brygadzie, zwanej Żelazną, prawdziwego epigona romantyzmu, jak go nazwał badacz jego twórczości Andrzej Romanowski.

Ułan „w służbie pilny...”

Pochodził z Zaleszan w Tarnobrzeskiem i jak niejeden z legionistów był synem powstańca z 1863 r. Uczył się w gimnazjum we Lwowie, ale po śmierci ojca z powodów finansowych przeniósł się do Sanoka. Niepokorny charakter, po publicznym skrytykowaniu austriackich władz oświatowych musiał opuścić i tę szkołę. Maturę zdał ostatecznie w II Gimnazjum w Rzeszowie (obecnie liceum, którego patronem jest płk Leopold Lis-Kula). Następnie zaczął studia na Wydziale Inżynieryjnym Szkoły Politechnicznej we Lwowie, dorabiając w dyrekcji kolei w tym mieście. Nie był szczególnie aktywny w przedwojennej irredencie. Informacja podana przez Juliusza Kadena-Bandrowskiego, jakoby od 1912 r. należał do Związku Strzeleckiego, nie znalazła potwierdzenia i pewne jest, że dopiero krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej wstąpił do Polskich Drużyn Strzeleckich.

W Legionach był jednak od początku i od początku – w ułanach, najpierw w 2. szwadronie rtm. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza, bohaterskiego dowódcy szarży pod Rokitną. Po pewnym czasie pluton Mączki został przydzielony do Komendy Legionów jako pluton sztabowy. I w jego szeregach poeta przeszedł cały szlak bojowy od Karpat przez Bukowinę do Wołynia. „[...] Trudno wyobrazić sobie cięższą służbę wywiadu i łączności niż ta, jaką w okropnym terenie karpackim oraz w uciążliwych warunkach klimatycznych sprawowali wówczas ułani 2. pułku” [do którego nadal formalnie przynależał oddział Mączki – przyp. M.G.] – pisał Juliusz Kaden-Bandrowski.

Kolejno awansował, od stopnia starszego ułana na wachmistrza, a następnie w sierpniu 1915 r. – chorążego. Miał dobre opinie: „Przy wyrobionym charakterze z jak najlepszą chęcią w spełnianiu służby jako dowódca plutonu [ma] momenty dystrakcji [czyli rozproszenia uwagi – przyp. M.G.]. Kocha swoich żołnierzy i w służbie pilny i obowiązkowy. Zamierza w armii polskiej jakiś czas pozostać i ochoczo uzupełnia przy szwadronie swe teoretyczne i praktyczne wiadomości, co przy dużej inteligencji z łatwością mu przychodzi. Potrzebuje silnej ręki i stanowczego przełożonego”. Z tym zgodził się wyższy szarżą przełożony, stwierdzając, że to ostatnie jest konieczne „wskutek flegmatycznego usposobienia” poety. Decydująca była jednak ocena szefa sztabu Legionów, kpt. Włodzimierza Zagórskiego: „Poeta – to jego najlepsza charakterystyka. Prócz tego jednak karny i dobry żołnierz spełniający z najlepszą chęcią wszystkie rozkazy. Brak mu jednak zupełnie inicjatywy [...]. Na pluton ma doskonały wpływ. Charakter wyrobiony i bardzo szlachetny”.



Józef Mączka na pocztówce
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

„Do szturmu idziem – dziś czwarty już raz”

Swoje utwory pisał jeszcze jako uczeń gimnazjalny, ale ich nie publikował. Jego talent odkrył Olgierd Górka, wówczas dowodzący plutonem sztabowym kawalerii, w którym służył Mączka, a później znany historyk dziejów nowożytnych. Wkrótce zdolności poetyckie Mączki dostrzegli jego koledzy, jak np. Józef Andrzej Teslar, także jeden z najbardziej utalentowanych poetów legionowych. Poczuł on bliską więź z kolegą, kiedy ten jako jedyny w plutonie nie wziął udziału w kłótni o podział manierki rumu. To wówczas, spacerując cichą zaśnieżoną doliną Teslar, pierwszy raz wysłuchał recytacji kilku

eprasa.pl ac2b0923d8

wierszy. Wkrótce też Mączka zaczął publikować je w konserwatywnym „Czasie", socjalistycznym piśmie „Naprzód", „Nowej Reformie" i innych, głównie lwowskich i krakowskich, czasopismach. Ukazały się one również w rozmaitych okolicznościowych drukach legionowych, m.in. kalendarzach.

Pierwsze utwory upamiętniały szlak bojowy II Brygady i do tych czasem dorabiano melodię i śpiewano w czasie marszów lub na kwaterze. Dla tego cyklu tematycznego najbardziej typowy był wiersz „Mołotków", poświęcony pierwszej z wielkich bitew, które legioniści stoczyli w Karpatach:

[...] To pole dzisiaj krew nasza zarosi
Więc je po krańce ogarnij oczyma...
Patrz! tam wróg hardy w opłotkach się zżyma,
raz wraz broń celną do oka podnosi...
raz wraz błysk – salwa – i łoskot – i szum –
Bracie – to wyśnił się obraz Twych dum!...
Do szturmu idziem – dziś czwarty już raz
[...]
Naprzód w opłotki – Hura!... Na bagnety!...
Gruchnęły salwy u ziemi ... „Złóż broń!" –
Hura!!...
Dłoń podaj!... Bracie – podaj dłoń!
Pomóż mi – bowiem tak śpieszno mi dalej
a z ziemi podnieść nie mogę się wzwyż...
Cóż to? ... na piersiach... sznur krośnych korali!...
bracie – na czole kładź ostatni krzyż...
niech Cię prowadzi naprzód Częstochowska!
to nic – ty nie płacz – zmień serce we spiż!...
Jakiś sen dawny w oczach mi się pali –
sen to – czy jawa!?... Olszynka Grochowska!...
Tam, tam przed nami – patrz!... z bronią u oka
Stanęli, mierząc... Mgła oczy spowija...
Nie trudź się bracie – to rana głęboka...
Za Polskę!...
Jezus – Józef – i Maryja!...

Przez Rarańczę pod Kaniów

Już po odejściu Legionów z frontu Mączka został mianowany podporucznikiem, a wkrótce porucznikiem, nadal z przydziałem do 2. pułku ułanów. W tym krótkim okresie pokojowej służby, w marcu 1917 r., w Warszawie doczekał się chyba jedynego w swoim życiu wieczoru autorskiego, a wkrótce wydania – również jedynego – tomiku wierszy, zatytułowanego „Starym szlakiem" i poświęconego „Najdroższej Matce mojej".

Kilka miesięcy później, po rozłamie, jaki w Legionach spowodował kryzys przysięgowy, Mączka pozostał w szeregach swojego pułku, który przydzielono do Polskiego Korpusu Posiłkowego. W lutym 1918 r., w czasie przejścia legionistów dawnej II Brygady na rosyjską stronę frontu pod Rarańczą, został internowany przez Austriaków w Synowódzku pod Stryjem – ówczesnym miejscu stacjonowania 2. pułku ułanów. Zbiegł stamtąd, przebrany za kolejarza, jeszcze w tym samym miesiącu i 20 marca dołączył do II Korpusu Polskiego gen. Józefa Hallera, którego trzonem była Żelazna Brygada.

Niedługie były dzieje tej polskiej formacji, tworzonej przez legionistów i Polaków dotychczas służących w armii rosyjskiej. W maju Korpus gen. Hallera został rozbity przez Niemców w bitwie pod Kaniowem. Mączka dostał się wówczas do niewoli, zbiegł jednak i włączył się w prace Polskiej Organizacji Wojskowej. W sierpniu uczestniczył w organizowaniu przerzutu byłych żołnierzy II Korpusu Polskiego na Kubań, gdzie życzliwe stanowisko dowódcy antybolszewickiej Armii Ochotniczej gen. Michaiła Aleksiejewa sformalizowane umową z Polakami z 15 sierpnia 1918 r. pozwoliło na tworzenie Oddziału Polskiego płk. Franciszka Zielińskiego. Do niego też dołączył Mączka, mylna jest więc często pojawiająca się w jego biogramach informacja, jakoby służył pod komendą gen. Lucjana Żeligowskiego.



Józef Mączka w czasie służby w 2. Pułku Ułanów

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Oddział Polski początkowo stacjonował w Jekatynodarze (obecnie Krasnodar), a od 8 września 1918 r. w Stanicy Paszkowskiej. Tam też przedwcześnie zostało przerwane życie por. Józefa Mączki. Zgodnie z informacjami znajdującymi się w niektórych dotychczasowych publikacjach dotyczących poety na początku września 1918 r. został wysłany z Jekatynodaru w misji wojskowej, w drodze jednak zachorował na cholerę i zmarł. Według różnych przekazów śmierć nastąpiła 2, 6 bądź 9 września 1918 r. w Stanicy Paszkowskiej pod Jekatynodarem. W istocie bardziej prawdopodobne jest, że decyzja o misji zbiegła się z nagłą chorobą Mączki i śmiercią w nieodległej od Jekatynodaru Stanicy Paszkowskiej, dużym miasteczku kozackim, które – jak wspomniano – od 8 września 1918 r. było siedzibą sztabu Oddziału Polskiego.

Tym samym błędna jest informacja, podana przez Eugeniusza Małaczewskiego (a nieznana żadnemu z autorów biogramów Mączki), jakoby autor „Mołotkowa" zachorował w drodze do Murmańska i zmarł w szpitalu w Jekaterynosławiu (dziś Dniepr na Ukrainie) – z powodu choroby lub „wedle innych, prawdopodobniejszych [wersji] bolszewicy, zastawszy go w szpitalu po zajęciu Jekaterynosławia, zwolnionego spod niemieckiej okupacji, wywlekli go z łóżka w gorączce, boso na śnieg i za to, że był oficerem polskim, ustawili pod więziennym murem, na rozstrzelanie". Nie zgadza się w tej wersji nazwa miasta, które ponadto zostało zajęte przez bolszewików dopiero w 1919 r. Należy także zauważyć, że do pierwszych walk białych z bolszewikami na Kubaniu (z udziałem Polaków) doszło dopiero na początku października 1918 r.

Tak daleko od ojczyzny, w wieku zaledwie 30 lat, zmarł ten, który trzy lata wcześniej, podczas zmagań II Brygady z Rosjanami w Karpatach, napisał jeden z bardziej przejmujących wierszy, który stał się też tytułem jedynego zbioru jego poezji. Był to prawdziwy manifest

eprasa.pl ac2b0923d8

legionowego pokolenia, dowodzący, że jego czyn był kontynuacją XIX-wiecznych walk o niepodległość Polski, znajdujących wyraz w powstaniach narodowych i sprzysiężeniach patriotycznych:

Starych ojców naszych szlakiem
Przez krew idziem ku wolności,
Z dawną pieśnią, z dawnym znakiem,
My – żołnierze sercem prości,
Silni wiarą i nadzieją,
Że tam kędyś świty dnieją.

Zawołały ku nam z dala
Starych haseł złote dzwony,
Zaszumiała kłosów fala,
Wiatr z dalekiej powiał strony.
I na złotym grał nam rogu
Pieśń o sławie i o wrogu.

Zamarzyły się nam czyny
Spod Grochowa, Ostrołęki,
Krwawych ojców – krwawe syny,
zapragnęlim świeżej męki.
W przełomowej dziejów chwili,
Którą w snach my wymodlili.

Starych ojców naszych szlakiem
Przez krew idziem w jutra wschody,
Z dawną pieśnią, z dawnym znakiem,
Na śmiertelne idziem gody,
By z krwi naszej życie wzięła
Ta – co jeszcze nie zginęła.

Powrót do ojczyzny

Józef Mączka został pośmiertnie odznaczony Orderem Virtuti Militari, Krzyżem Walecznych i Krzyżem Niepodległości, który w 1938 r. zmieniono mu na Krzyż Niepodległości z Mieczami. W chwili krótkotrwałej poprawy stosunków polsko-sowieckich, 30 listopada 1933 r., jego prochy sprowadzono do kraju i złożono na Cmentarzu Wojskowym na warszawskich Powązkach, w kwaterze legionowej. Spoczął tam wśród innych bohaterów zmagań o niepodległość Polski, w jednym grobowcu z trzema swoimi kolegami z II Brygady. Szczątki dwóch z nich – poległego pod Kaniowem kpt. Rudolfa Brandysa oraz ppłk. Bogusława Szula-Skjöldkrony, który poległ w 1920 r. w wojnie z bolszewikami pod Czetwertynówką na Ukrainie – również sprowadzono wówczas ze Związku Sowieckiego. Trzecim oficerem był mjr Władysław Gniady, rówieśnik Mączki, który wysłany przez gen. Hallera z misją do kraju zmarł zaraz po przybyciu do Warszawy w maju 1918 r., a więc krótko przed śmiercią bohatera naszej opowieści. Pogrzeb był niezwykle uroczysty, z udziałem przedstawicieli najwyższych władz państwowych.





W niepodległej Polsce wiersze Mączki ukazały się jeszcze w trzech kolejnych wydaniach. Trzecie z nich, z 1934 r., zostało uzupełnione o kilka niepublikowanych wcześniej utworów, które przekazała rodzina Mączki – siostrzenica i jej mąż. W takiej też postaci tomik wydano po raz czwarty, rok przed wybuchem wojny.

W czasach PRL Mączka bywał wspominany w kompendiach poświęconych literaturze polskiej, a kilka wierszy przedrukowano w antologiach poezji polskiej. Jednak władze komunistyczne usilnie zapobiegały rozpowszechnieniu jakiejkolwiek poezji związanej z Legionami Polskimi i w ogóle nurtem niepodległościowym. Nic też dziwnego, że jego utwory mogły ukazywać się częściej dopiero po 1989 r.

Najpierw tytuł wiersza „Wstań, Polsko moja" posłużył jako tytuł niewielkiej antologii poezji legionowej w opracowaniu krakowskiego badacza literatury Jacka Kajtocha, w której też utworów Mączki znalazło się najwięcej. Najważniejszym jednak wydarzeniem w upamiętnieniu twórczości Mączki było ukazanie się w 2009 r. najpełniejszego wydania jego poezji, poszerzonego o sześć wierszy niepublikowanych w wydaniach przedwojennych. Autor opracowania Andrzej Romanowski podkreślił w zakończeniu wprowadzenia do tomiku, że ukazał się on „po zmowie milczenia, która na tych wierszach ciążyła przez dziesiątki minionych lat". Taki był symboliczny powrót Józefa Mączki do kanonu polskiej literatury.

W okresie dwudziestolecia międzywojennego Juliusz Kaden-Bandrowski pisał o tej poezji, że być może współcześni polscy poeci, piszący już w innym stylu i raczej kpiąco traktujący młodopolski patos, uznaliby, że wiersze Mączki „to nie jest poezja wielka ani »nowa« czy szczególnie kunsztowna. Ale poezja to nie kunszt tylko, lecz kunszt i jego okoliczności. To znaczy, gdzie, kiedy i do kogo wypowiedziane były dane słowa. Mówione do nas wówczas słowa Mączki otwierały nam dusze, z wszelkiej niepotrzebności żałobnej oczyszczały, ku nowym czynom przyśpieszały. Więc była to poezja jak najlepsza".

„Poezja to nie kunszt tylko...." – bardzo trafna to uwaga, bo niezależnie od autora „Generała Barcza" Michał Tadeusz Brzęk-Osiński z 1. pułku ułanów Legionów Polskich słynnego Beliny, a później oficer Wojska Polskiego, u schyłku swojego życia, a wiele lat po śmierci Mączki, zaświadczył, że „ofiarna, patriotyczna młodzież", wstępująca do legionowej kawalerii, w ten sposób „realizowała swój ułański sen, sen, którego nikt chyba lepiej nie ujął niż poeta legionista Józef Mączka w wierszu zaczynającym się od słów: »Brzękająca szabelka i srebrne ostrogi / Koń ułański z rozwianą na wywiadach grzywą / Śniły mi się w godzinę marzeń niecierpliwą / W czas dzieciństwa mojego szczęśliwy i błogi«".

Mowa o wierszu „Ułańskie czako", który jego autor poświęcił swoim siostrom „na pamiątkę wspólnych dziecięcych rojeń", a Brzęk-Osiński zacytował prawie bezbłędnie, z oryginału zmieniając jedynie słowo „tęsknot" na „marzeń".

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl ac2b0923d8

1936–1978 / Satyryk, literat, plastyk, aktor...

Talenty Wiesława Dymnego

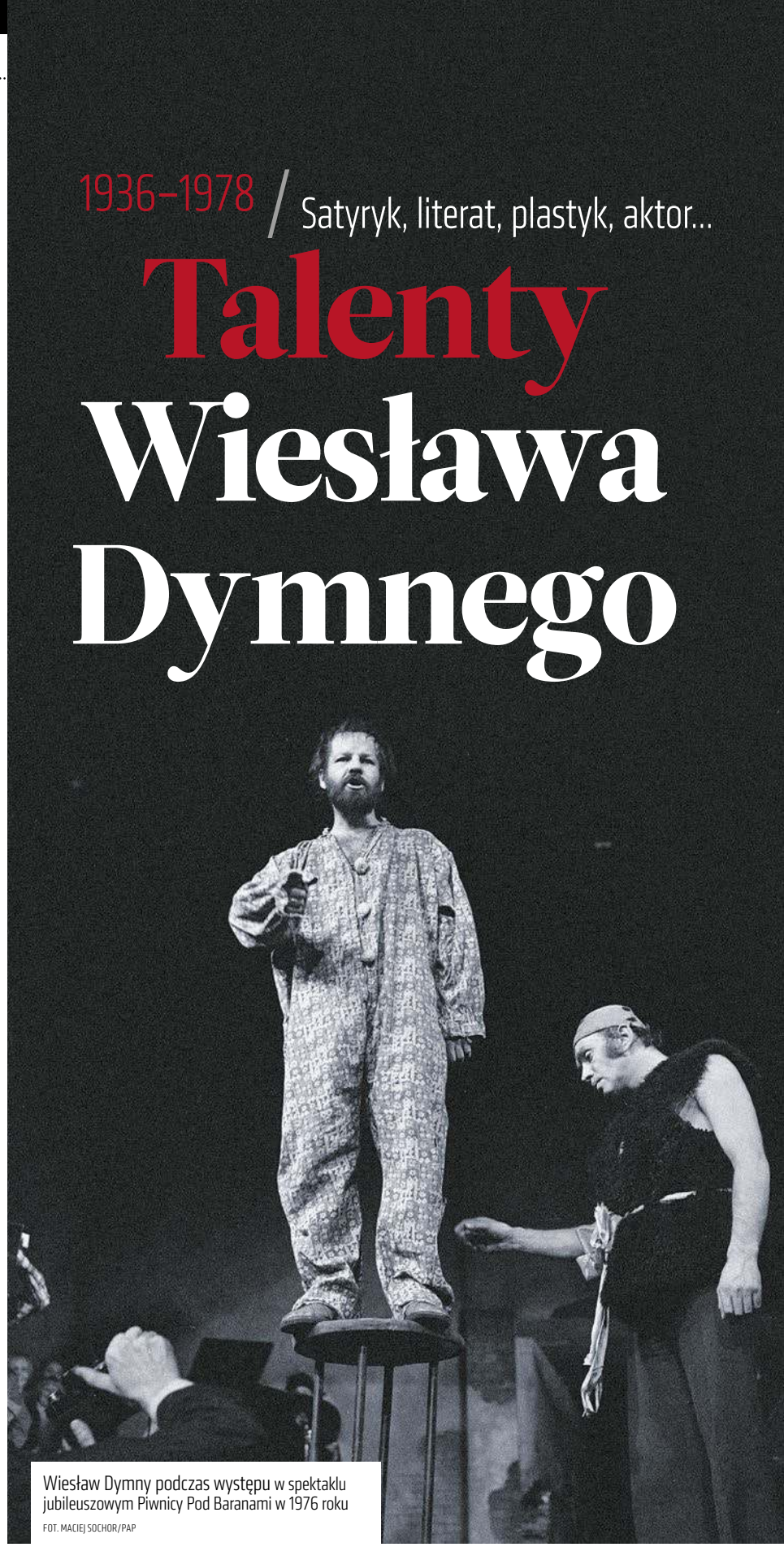


Krzysztof Masłoń

Jedna wielka legenda. Kim w swoim niewiele ponad 40-letnim życiu był, czego nie robił, z kim pił wódkę, kogo nie kochał, kogo nie pobił, a kto mu wybił zęby, co powiedział, co namalował, a co napisał... Zatrzymajmy się na tym ostatnim

W 1963 r. Dymny złożył w Iskrach tom „Opowiadań zwykłych", które spodobały się Marii Dąbrowskiej, za to nie spodobały się Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. W debiutanckim tomie krakowskiego autora dostrzegł on „tylko zapowiedź. Nic tu się jeszcze nie zrealizowało. Nawet usiłowanie przekształcenia codziennie słyszanych opowiadań wojennych – w eposy ludowe. W innych opowiadaniach Dymnego natykamy się ciągle na jakiś fałsz, na coś, co nie brzmi dobrze, na stop metalu, który wydaje dźwięk nie bardzo czysty. Witalnej siły tu dużo – prostoty trochę brak". Mimo zastrzeżeń Iwaszkiewicza debiutancka książka Dymnego nagrodzona została przyznaniem Stypendium im. Tadeusza Borowskiego i, jakże prestiżową, Nagrodą Fundacji im. Kościelskich. Po tę drugą (2 tys. franków szwajcarskich) musiał pojechać do Genewy, co udało mu się dopiero w 1967 r.

Napisał masę piosenek, wiele dla zespołu beatowego Szwagry, którego był szefem, kierownikiem artystycznym, konferansjerem i wszystkim innym po trochu. Ale do historii przeszły jego numery z Piwnicy pod Baranami: „Niebieska patelnia", „Konie Apokalipsy" (ostatnimi laty udanie interpretowane przez Jacka Wójcickiego), a przede wszystkim „Czarne anioły", znakomicie wykonywane, z muzyką Zygmunta Koniecznego, przez Ewę Demarczyk.



Wiesław Dymny podczas występu w spektaklu jubileuszowym Piwnicy Pod Baranami w 1976 roku

FOT. MACIEJ SOCHOR/PAP

eprasa.pl ac2b0923d8



Wiesław Dymny z żoną Anną
FOT. MACIEJ SOCHOR/PAP

Jako aktor zaprezentował się publiczności w 18 filmach. Były to głównie epizody, ale po pierwsze, nie wyłącznie, a po drugie, na tyle charakterystyczne, że zostawały w pamięci na dłużej. Naprawdę o aktorstwie pojęcie miał niewielkie, co jednak nie przeszkadzało tym wszystkim, którzy go słyszeli w najsławniejszym chyba monologu „Na przykład Majewski" i od tamtej pory wpatrywali się w niego jak w obraz. Przypomnę, że w „Majewskim" okrutnie wyszydził samego Gomułkę, w drucianych okularach, świetnie naśladując głos i gesty I sekretarza oraz perorując:

„Zerwijmy z tym chwiejnym balansowaniem na krawędzi egzystencjalizmu i wegetarianizmu. Skończmy, skorygujmy i skonfrontujmy. Na przykład Majewski. Skończył, skorygował, a teraz konfrontuje. Nie oglądajmy się tam na różne prądy, prądziki, arabeski, frytki i frykasy. Na przykład Majewski. Ten się nie ogląda. Wprowadza. Wprowadza mechanizację do stajni i gdzie może. My też bierzemy z niego. Wprowadźmy, zmechanizujmy, podnieśmy. Na przykład Majewski. Podniósł wydajność z jednego hektara i przeniósł ją na drugi hektar. My również podnieśmy, postawmy – niech stoi". I tak dalej, a słuchacze skręcali się ze śmiechu.

Zachowywał się na kabaretowej estradzie jak chyba nikt inny przed nim i po nim. Maja Zającówna-Radwan opowiadała: „Raz wyszedł na scenę w jakimś zamku i, w pełni gotowy, wpatrzył się w widownię. Cisza była, bo budził grozę. Po czym usiadł i mówi: »Tera będę społ«. I usiadł, i zasnął. To Piotr [Skrzynecki – przyp. K.M.] taką historię opowiadał. Piotr się go bał, ale też go to podniecało, więc Wieśka prowokował. Uwielbiał, jak Dymny rzucał wszystkim ze sceny w publiczność i jeszcze wodą polewał. To nie było fajne, ludzie byli mokrzy, ale zazwyczaj nikt się nie obrażał".

Nikt jak nikt, niemniej w prawie każdym wspomnieniu o Wiesławie Dymnym pojawia się wieczny PRL-owski premier, Józef Cyrankiewicz, który przyjeżdżając do swojego rodzinnego Krakowa, kazał zamykać salę w Hotelu Francuskim, ściągał tam artystę, stawiał gorzałę, a ten rysował mu, zazwyczaj sprośne, scenki ż życia i wyzywał od „łysych pał", co niezmiennie wprawiało prezesa Rady Ministrów w znakomity nastrój.

Śmiech się urywał

Legenda sprawiła, że zwracamy uwagę na każde pojawienie się Dymnego na ekranie. U Andrzeja Wajdy we „Wszystko na sprzedaż" (z przypiętymi skrzydłami husarskimi), u Kazimierza Kutza w „Soli ziemi czarnej", u Jerzego Gruzy w „Przyjęciu na dziesięć osób plus trzy"... Grał u Hasa i Stanisława Różewicza. A jako perkusista (walił w bębny z upodobaniem, choć najczęściej w zgodzie jedynie z własnym, niekoniecznie współgrającym z linią melodyczną utworu rytmem) pokazał się w drugiej części trylogii Chęcińskiego o Pawlaku i Kargulu – „Nie ma mocnych". Po której w jego żonie Annie zakochał się już nie tylko Kraków, lecz także Polska. Miał o kogo być Dymny zazdrosny, a zazdrosny – o wszystkie swoje partnerki – był bardzo. O czym wszystkie się przekonały. Często nazbyt dobitnie, jak swego czasu Barbara Nawratowicz, która w scenie zazdrości, którą urządził jej Dymny, oberwała od niego popielniczką w krtań i nie była w stanie odśpiewać na zbliżającej się premierze programu napisanych dla niej przez Zygmunta Koniecznego, oczywiście do tekstu Dymnego, „Czarnych aniołów". Numer przejęła Ewa Demarczyk. Wiadomo, z jakim skutkiem.

A gdyby nie Barbara Nawratowicz, „jej pomoc i naciski – jak mówił Tadeusz Kwinta – Dymny nigdy nie wydałby »Opowiadań zwykłych«". To była jego jedyna książka, wydana za życia autora. Później, gdy wreszcie, przy okazji wyjazdu Piwnicy na Zachód, odebrał Nagrodę Kościelskich, w powrotnej drodze z Genewy zatrzymał się u niej w Monachium. Pracowała już wtedy w Radiu Wolna Europa. Był to jeden z powodów, dla których nękany był w kraju przez służby bezpieczeństwa w stopniu nieporównywalnym z innymi artystami niepokornego kabaretu, swoją drogą inwigilowanego konsekwentnie i skutecznie.

W istocie, jeśli ten człowiek wielu talentów gdzieś się zrealizował, to w kabarecie. Uciekał stamtąd świadomy, że wpędza go Piwnica w alkoholizm, i wracał, bo tylko tam mógł zaistnieć całym sobą. Leszek Długosz w swojej książce „Pod Baranami ten szczęsny czas..." tak zrelacjonował „Cyrk..." swego ówczesnego szwagra (po związku z Barbarą Nawratowicz ożenił się Dymny z Teresą Hrynkiewicz, siostrą żony Długosza Barbary): „Jako tragikomiczny, ale tak naprawdę to złowieszczo-diaboliczny clown (ów »Żongler dwusturęki«, z własnej zresztą piosenki) szalał w tym cyrku. Wyżywał się, wyrzucając z piwnicznej scenki »na orbitę«, czyli na widownię, całą znajdującą się tam rekwizytornię. W dodatku polewając przy tym widzów wodą. Świadomy szczególnego usytuowania, jak matador w ostatecznym momencie triumfu nad bestią, on, Wiesław

eprasa.pl ac2b0923d8

Dymny, przystępował do ostatecznego aktu unicestwienia. My, przyglądając się z głębi naszej kajuty-garderoby, śledziliśmy te działania z niepewnością i lękiem. Skrzynecki drżał, ale był jak w transie. Naprawdę istniała realna możliwość uszkodzenia ciała któregoś z widzów. Piotr zafascynowany był zuchwałością tych działań i siłą efektu, jaki przynosiły. Nie mógł oderwać oczu od tego obrazu! Utwierdzał Dymnego w przekonaniu, że publiczność uwielbia się bać, być poddawana takim aktom przemocy. Gdy już wszystkie te meble, przedmioty, szmaty, rekwizyty, wylądowawszy najpierw na widowni, potem wróciły (oddawane przez broniącą się publikę, przesyłane z powrotem na estradkę), on wtedy wspinał się na sam szczyt tak wzniesionej barykady i zastygał na niej. Na barykadzie tej czy też na stercie teraz tylko unieważnionej »masy nieużytecznej« zastygał w pozie Führera… Triumfatora, demiurga? Urywał się śmiech, na widowni podnosiła się groza i zalegała cisza jak na pobojowisku. Wbiegała Ewa z »Wierszami wojennymi« Baczyńskiego. My, męska drużyna Piwnicy, intonowaliśmy powracający nieustannie marszowy leitmotiv tej pieśni: »Jeno wyjmij mi z tych oczu, szkło bolesne, obraz dni…«".

Przewrotny, piętrowy żart

Bywały jednak kabaretowe finały mniej podniosłe, co nie znaczy, że nieinteresujące. Marek Pacuła wspominał, że kiedyś, po takim odrzucaniu przez publiczność rekwizytów, „jedna z niefortunnie odrzuconych tyczek rozcięła mu wargę. Dymny splunął krwią i wybiegł. Na zapleczu chwycił butelkę po wódce, ubił ją o kant sceny, na którą wskoczył z przerażającym dzikim krzykiem:

– Co jest?!... Kto jest?!... Kto tu!... Cicho mi tu!

Wszystkich sparaliżowało. Większość ludzi znała Wieśka jako człowieka wybuchowego i nieobliczalnego. Tymczasem on, biegając z tą butelką, połączył kilka swoich tekstów w fenomenalny monolog, podyktowany przypadkową sytuacją".

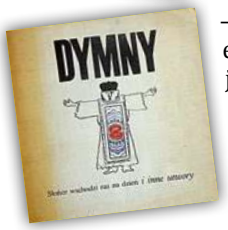
Ale – przypominał dalej Pacuła – zdarzało się też będącemu „pod wpływem" artyście zapomnieć języka w gębie: „Kiedyś, gdy tak stał bezradnie przy mikrofonie, a niezadowolenie widzów narastało, machnąwszy ręką, stwierdził:

– I tak, kurwa, nie zrozumiecie. I zszedł".

Janusz R. Kowalczyk, sam Piwniczanin, w książce „Wracając do moich Baranów" zauważa jednak, że „Dymny nawet najbardziej śmiałe i rubaszne skojarzenia budował na zasadzie przewrotnego, piętrowego żartu, dzięki czemu nigdy nie stawały się dosadne. W kabarecie polskim jego satyryczna i poetycka twórczość stanowi epokę. Po przedwczesnej śmierci Dymnego w 1978 r. krakowska Piwnica pod Baranami nigdy już nie odzyskała takiego impetu, nieprawdopodobnego esprit i owego błysku szaleństwa, który wnosił doń swoją aktywnością aktorską, literacką i plastyczną".







Niby tak, ale Dymny pozostał we wspomnieniach, po nim samym zostało dramatycznie mało. Nie dbał o utrwalenie tego, co pisał, a niemało też spłonęło w pożarze jego mieszkania, który wybuchł po eksplozji kineskopu radzieckiego telewizora, może niekoniecznie przypadkowej, zważywszy na analogiczne okoliczności śmierci rosyjskiego dysydenta Aleksandra Galicza (w Paryżu!). To są sprawy poważne, bo i okoliczności śmierci Wiesława Dymnego wydają się niejasne. Wielokrotnie bywał zatrzymywany, „zapraszany" na rozmówki, a to z milicją, a to z esbecją. W 1976 r., przed planowanymi podwyżkami cen, wraz z innymi „wrogami ludu" został nagle powołany do wojska. Wszystkiego na karb nadużywania przez artystę alkoholu nie da się złożyć.

Z baśni, klechdy, ballady

O Wiesławie Dymnym opowiedziano już jednak, i to wielokrotnie, w wielu przywoływanych już tutaj, a i innych książkach, na czele z jego biografią pióra Moniki Wąs („Dymny. Życie z diabłami i aniołami"), i nie ma sensu ich powtarzać, choć – jak widać – autor niniejszego tekstu też nie może się od legend uwolnić. Bo i jak?

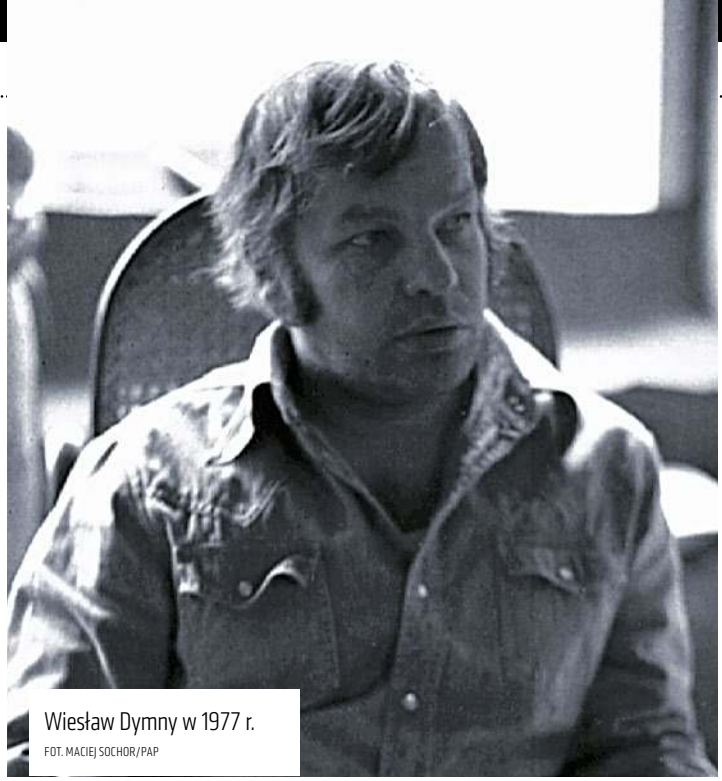
Uściślijmy tu jednak, że „Opowiadań zwykłych" jest sześć. Najgłośniejszym z nich stał się „Oskarżony", wykorzystany m.in. przez Wojciecha Solarza w widowiskach STS i Teatru Telewizji. Tę historię o dwóch Ślązakach – Kani i Rusinie, którzy zdezerterowali z Wehrmachtu, walczyli potem na Zachodzie, przeżyli masę nieprawdopodobnych przygód, by w końcu wrócić do kraju, zamieszkać obok siebie i pielęgnować przyjaźń dopóty, dopóki jednemu nie spodobała się żona drugiego – zamierzał ponoć przenieść na ekran Andrzej Wajda (jeszcze jeden wyraźnie zafascynowany nie tylko twórczością, lecz także osobą Dymnego), ale w tamtym czasie Wehrmacht był nie do przełknięcia przez decydentów. Reżyser żałował tego, bo – jego zdaniem – ten gotowy niemal scenariusz filmowy mógłby być „polską odpowiedzią na Haszkowe »Przygody dobrego wojaka Szwejka«". Tego nie byłbym pewny, ale w każdym razie Franek Dolas nie byłby osamotniony.

Inne „Opowiadania zwykłe" traktują a to o żydowskim mędrcu, a to o odkryciu zbrodni sprzed lat, a to znów o rodzinnej tradycji dezerterów z wojska czy o wciąż świetnie się czytającej o spotkaniu policjanta ze złodziejem, który opowiada mu pokrętną i nieodparcie śmieszną historię, a po aresztowaniu zapowiada następną, bo w końcu jakoś znieść trzeba czekającą ich długą drogę do więzienia. Właśnie w tym ostatnim opowiadaniu, zatytułowanym „Złodziej", w całej krasie ujawnia się mistrzostwo Dymnego – opowiadacza, bo może niekoniecznie gawędziarza.

Tom kończy „Chudy i inni" zekranizowany w 1966 r. przez Henryka Klubę, z którym stworzy Dymny tandem artystyczny, w wyniku czego powstaną dwa jeszcze filmy – „Słońce wschodzi raz na dzień" (1967) i „Pięć i pół bladego Józka" (1971), te jednak, schlastane przez cenzurę i odleżałe na półkach, nie przemówiły do odbiorców z należytą mocą. Z „Chudym i innymi" stało się inaczej. Ten produkcyjniak à rebours i dziś

eprasa.pl ac2b0923d8

budzi emocje, choć młodzi pewnie odczytują go nazbyt dosłownie. Tak czy inaczej kreacje Pieczki, Gołasa, Filipskiego robią wrażenie, a cała historia, włącznie z pieniędzmi wrzucanymi do rzeki przez Partyjnego (w tej roli Marian Kociniak), bo przecież nie pracuje on dla forsy, lecz dla, no właśnie, czego – idei może, jest wzięta z baśni jakiejś, klechdy, bo nie z życia. No właśnie, w filmie tym, wzbogaconym o ekspresyjne efekty wizualne, wyczuwamy tę niezwykłą balladowość prozy Dymnego, którą udało się reżyserowi uchronić przed filmową dosłownością.



Wiesław Dymny w 1977 r.
FOT. MACIEJ SOCHOR/PAP

Wiesław Dymny świetnie odnalazł się w filmie i jako scenarzysta, i jako autor piosenek (jego „Pejzaż horyzontalny" ze średnio udanego filmu Janusza Kidawy z 1978 r. stał się wręcz evergreenem i wciąż jest śpiewany, przy czym amatorscy wykonawcy są święcie przekonani, że to piosenka Edwarda Stachury), scenografii, wreszcie jako aktor. Nie ukrywał zresztą, że film pociągał go głównie ze względów finansowych.

Andrzej Wajda akcentował charakterystyczną cechę działalności artystycznej Dymnego: „Był poniekąd częścią systemu. On mógł się wyśmiewać z przemówień Gomułki, bo nie był inteligentem. Objął je i przefiltrował własnym niepokornym, plebejskim rozumem. Miał nieprawdopodobny talent we wszystkich dziedzinach: jako satyryk, literat, plastyk, aktor. W tym, co pisał, był autentyczny i niezwykle oryginalny".

Taką twarz posiadamy wszyscy

Po jego śmierci Anna Dymna doprowadziła do wydania w 1981 r. książki „Słońce wschodzi raz na dzień i inne utwory", nieco chaotycznej i w gruncie rzeczy utwierdzającej czytelnika w przekonaniu, że pisarska sztuka Dymnego była, powiedziałbym, zanadto użytkowa, by zaistnieć samodzielnie, autonomicznie, poza kontekstem sytuacyjnym. Chociaż… W 1974 r. Wiesław Dymny napisał scenariusz pierwszych siedmiu, z planowanych 30, odcinków serialu „Droga na Dziki Zachód", które ukazały się drukiem dopiero w wydaniu Muzy z roku 1998. Scenariusz powstawał na zamówienie Zespołu X, a Dymny w tej swojej kolejnej balladzie odwoływał się do własnych przeżyć, bo urodzony we wsi Połoneczka koło Nowogródka przeżył podobną wędrówkę ludów, co – jak pisał we wprowadzeniu do, cytuję, „Krótkiego scenariusza seryjnego filmu telewizyjnego o przeprowadzce rodziny Macieja Pokornego ze Wschodu na Ziemie Zachodnie" – „kilka milionów Polaków, którzy zaraz po zakończeniu działań wojennych, a niejednokrotnie tuż za frontem, ruszyli na zachód, aby objąć w posiadanie i osiedlić się na starych ziemiach piastowskich". Dla Dymnego, jego matki i braci wędrówka ta znalazła finał gdzie indziej, bo na ziemi beskidzkiej, ale piekło przeżył to samo. Takiej opowieści o dramatycznej drodze Polaków z Polski do Polski bardzo brakuje i naszej literaturze, i kinematografii, bo – co tu dużo mówić – „Sami swoi" to jednak tylko poczciwa humoreska, skądinąd świetna.

Przymierzając się do „Drogi na Dziki Zachód", Dymny deklarował: „Na te wszystkie sprawy chcę popatrzeć od strony szarego, małego człowieka. Zobaczyć rzeczy zwykłe, a jednak niezwykłe, o których nie decydują widzowie, a wobec których mały człowiek często staje się bezbronny, ale zawsze musi wybierać, musi decydować, w imieniu swoim i w imieniu wszystkich. Naród bowiem to rzesze małych ludzi i jakie jest ich oblicze, taką twarz posiadamy wszyscy". To ostatnie zdanie powinno się wyryć złotymi literami na wszystkich polskich książkach i pomnikach, wbijając do głów kolejnych pokoleń Polaków. I dla tego jednego zdania powinien Dymny mieć trwałe miejsce w naszej kulturze.

A „Droga na Dziki Zachód"? Cóż, po przesłaniu pierwszych odcinków komisja odrzuciła scenariusz, radząc autorowi, by zabrał się raczej do pisania o Hucie Katowice czy Porcie Północnym. Ta – a jakże – użytkowa proza Dymnego była, na ówczesne PRL-owskie standardy, zbyt dosadna, bolesna, a przede wszystkim prawdziwa. I nie chodziło wcale o Sowietów, w końcu jeden z bohaterów „Drogi…", po powrocie z robót w Niemczech, twierdzi, że „tylko Ruskie mogą wykończyć faszystów, choć jest to bestia nadludzka", dalej jednak wywodzi: „Ile tam miast i jakich, fabryk, żelaza i stali, a ile narodów pracuje jak bydło, gorzej, a oni jak jeden mąż. Przez dwa lata nie napotkałem ani jednego przeciwnego. Wszyscy tylko »hajhitla«, aż dreszcz po plecach szedł. Opętani są i nierealni, i wszystko »Für Sieg', i ordnung jak w zegarku. Gdyby ich było więcej, przeszliby przez świat jak burza, zderzyliby się ze sobą i pewnie wymordowaliby się, tacy to wilcy nienasyceni krwi – zaśmiał się złośliwie ze swego pomysłu.

– Skąd się bierze u człowieka takie pożądanie wszystkiego – zamyślił się Ojciec".

No nie, przecież towarzysze z NRD zaprotestowaliby, a do tego jeszcze nie wiadomo, czy bardziej bać się „leśnych" czy jednak milicji. „Temat nie był »po drodze« – wspominała Anna Dymna. – Jedni oceniali go jako fantastyczny, a drudzy uznali tekst za skandaliczny i pouczali, że w komunizmie tak pisać nie można. Wtedy Wiesiek zaczął pić, i pił cały miesiąc. Trudno mu się dziwić".

Wiesław Dymny zmarł 2 lutego 1978 r. w Krakowie. Miał 42 lata. Zaledwie.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8



Niemieccy żołnierze podczas parady w Paryżu, czerwiec 1940 r. FOT. BUNDESARCHIV, BILD 1011-126-0350-26A/FREMKE, HEINZ/CC-BY-SA 3.0

Książka miesiąca / Upadek Francji 1940 r.

Klęska bez mitów

Szlak od Verdun do Dijon był dla mnie dużo gorszym przeżyciem niż walki w korytarzu pomorskim – wspominał w rozmowie ze mną w 2018 r. Marian Słowiński, żołnierz września '39 (zmarł w 2020 r.), który w maju i w czerwcu 1940 r. bronił Francji przed Niemcami, a po ewakuacji do Wielkiej Brytanii dołączył do 1. Dywizji Pancernej gen. Maczka. – Widać było wtedy dobrze różnice w podejściu do wojowania między Polakami i Francuzami. Przykładowo nie wolno nam było ściąć drzewa, żeby zatarasować Niemcom szosę! A były przecież sytuacje, że aż się o to prosiło. Czasem, gdy Francuzi nie widzieli, na własną rękę ścinałem drzewo, kiedy uważałem, że jest to niezbędne – uśmiechał się porozumiewawczo polski weteran.

W 1940 r. we Francji walczyło 50 tys. polskich żołnierzy i lotników. Obrona Dijon, które leżało na końcu krwawego szlaku bojowego Mariana Słowińskiego, to już druga, nieco zapomniana część kampanii francuskiej – Fall Rot. O trwającym trzy tygodnie niemieckim Fall Gelb, rozpoczętym brawurowym atakiem czołgów Wehrmachtu przez Ardeny, słyszał każdy fan historii. Drugiej części niemieckiej kampanii przeciw Francji swoją najnowszą książkę poświęcił Robert Forczyk, amerykański znawca historii militarnej drugiej wojny światowej, którego polscy czytelnicy mogą kojarzyć z lektury arcyciekawej pracy pt. „Fall Weiss. Niemiecki najazd na Polskę 1939".

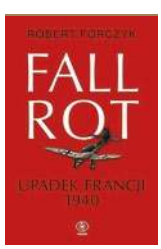
Forczyk tym razem analizuje przyczyny klęski Francji, której armia była przecież powszechnie uważana za siłę zdolną powstrzymać Niemcy. W gronie najważniejszych przywódców, którzy wierzyli w potęgę Francuzów, był m.in. Stalin, który uważał, że wybuch wojny między Berlinem i Paryżem sprawi, że Hitler co najmniej przez rok będzie uwiązany na zachodnim froncie. Po kapitulacji Paryża wściekły Stalin miał krzyczeć: „Czy nie mogli stawić jakiegokolwiek oporu?". Zresztą sama niemiecka generalicja była przerażona perspektywą uderzenia na Francję – poza Hitlerem niewielu niemieckich decydentów wierzyło, że tak szalony plan może się udać.

Dlaczego więc potężna Francja przegrała z Niemcami? Forczyk punkt po punkcie rozprawia się z mitami na ten temat i odsłania rzeczywiste powody klęski.

Przykładowo zwykło się twierdzić, że Linia Maginota to symbol francuskiego defetyzmu, przez który Francuzi poczuli się fałszywie uspokojeni. Ponadto umocnienia te miały być spektakularnym przykładem marnotrawstwa. Forczyk przypomina jednak, że Linię Maginota zbudowano w latach 1928–1936 kosztem ok. 195 mln dol., co stanowiło ok. 7,5 proc. francuskiego budżetu wojskowego w tym okresie. Tymczasem Niemcy w latach 1934–1939 wydali ponad 400 mln dol. na umocnienia Wału Zachodniego, zużywając przy tym dwa razy więcej betonu i cztery razy więcej stali niż Francuzi. „W jaki sposób program budowy umocnień jednej strony może być szkodliwy dla morale, a podobny program drugiej strony już nie? Co więcej, Linia Maginota nie tylko przyniosła Niemcom poważne straty, ale stawiała opór dłużej niż ruchome elementy armii francuskiej" – przekonuje Forczyk.

Jego zdaniem poza kluczowym dla zwycięstwa Niemców atakiem z zaskoczenia przez Ardeny głównymi powodami klęski Francuzów było nieposiadanie przez nich przewagi ogniowej na polu walki i ponad nim (Francja zaniedbała własne artylerię i lotnictwo), poleganie w planach obronnych w zbyt dużej mierze na wsparciu koalicjantów zagranicznych, a także postawa samych Brytyjczyków. Okazuje się bowiem, że wysłane przez nich na kontynent siły były słabo przeszkolone i dysponowały przestarzałym sprzętem. Szczególnie widać to było na francuskim niebie – Brytyjczycy nie zdecydowali się wysłać do Francji swoich najnowocześniejszych myśliwców... ©℗

Piotr Włoczyk



ROBERT FORCZYK
„FALL ROT. UPADEK FRANCJI 1940"
REBIS

eprasa.pl ac2b0923d8

Ochotnik do piekła powraca

Jednym z najstraszniejszych „wyrównywaczy" szeregów w Auschwitz był blokowy o nazwisku Krankenmann. O ile inni oprawcy żelazną dyscyplinę podczas apeli utrzymywali za pomocą drągów, o tyle Krankenmann używał do tego innego narzędzia. „Jeśli ktoś się nieopatrznie wysunął parę centymetrów wprzód, to Krankenmann wbijał mu noszony w prawym rękawie nóż. Ten zaś, kto przez zbytnią ostrożność cofnął się trochę za wiele do tyłu, otrzymywał od przebiegającego szeregi kata cios nożem w nerki. [...] Wskakiwał wtedy [Krankenmann] nogami na klatkę piersiową, kopał w nerki, w narządy płciowe, wykańczał jak najprędzej – zmuszał do milczenia. Nas ten widok przenikał jakby prądem". To fragment raportu rtm. Witolda Pileckiego, spisany przez niego w 1945 r., dwa lata po brawurowej ucieczce z niemieckiego obozu zagłady. Dokument ten w całości został opublikowany w znakomitej książce dr. Adama Cyry pt. „Rotmistrz Pilecki. Ochotnik do Auschwitz", doskonale uzupełniając wartko napisaną przez kustosza Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu historię życia bohaterskiego polskiego żołnierza.

Ta bez wątpienia najciekawsza, najlepiej udokumentowana praca na temat rtm. Pileckiego doczekała się właśnie drugiego wydania (pierwsze ukazało się w 2000 r.). Doktor Cyra, bazując na tysiącach dokumentów źródłowych, skrupulatnie odtworzył życiorys tego niezwykłego bohatera, największą wagę przykładając oczywiście do trwającego dwa i pół roku uwięzienia (na własne życzenie) w Auschwitz. Na szczególną uwagę zasługuje pieczołowicie przedstawiona przez autora książki struktura organizacji konspiracyjnej (wraz ze zdjęciami członków), którą w niemieckim obozie zagłady założył rtm. Pilecki. Finalnym celem Związku Organizacji Wojskowych miało być wzniecenie powstania, ale na co dzień członkowie tej organizacji wspierali się nawzajem w obozowych trudach. Dla mnie osobiście najbardziej wstrząsającym fragmentem książki jest jednak rozdział szczegółowo opisujący iście szatański proces, który po wojnie wytoczyli rotmistrzowi komuniści, zakończony wydaniem zbrodniczego wyroku. Bez wątpienia warto odświeżać chociaż raz na pokolenie tak ważne książki. ©℗

Piotr Włoczyk



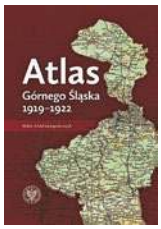
ADAM CYRA
„ROTMISTRZ PILECKI. OCHOTNIK DO AUSCHWITZ" WYDANIE DRUGIE
WYDAWNICTWO RM

Warszawska tarcza

W szczytowym momencie oporu w 1939 r. stolica wraz z pobliską twierdzą w Modlinie angażowały ok. jednej trzeciej sił niemieckich rzuconych na Polskę przez Hitlera. Było to o tyle niespodziewane, że jeszcze na początku września w Warszawie nie stacjonowały żadne większe siły, przypisane specjalnie do obrony Warszawy. Niemiecki blitzkrieg i sowieckie uderzenie w plecy pokrzyżowały plany Sztabu Głównego WP. Trzeba było na szybko zebrać dostępne pod ręką wojsko i zorganizować z niego garnizon twierdzy Warszawa. Żołnierzy niezwykle ofiarnie wspierały rzesze warszawiaków, co świetnie pokazano w książce. ©℗ ***(p.w.)***



DARIUSZ KALIŃSKI
„TWIERDZA WARSZAWA"
ZNAK HORYZONT



GRZEGORZ BĘBNIK, MICHAŁ MĄCZKA, SEBASTIAN ROSENBAUM, MIROSŁAW WĘCKI
„ATLAS GÓRNEGO ŚLĄSKA 1919–1922"
IPN

ŚLĄSK NA MAPACH

Niesamowite wydawnictwo! Monumentalny album przedstawiający mapy Górnego Śląska z czasu powstań śląskich, plebiscytu i podziału regionu między Polskę a Niemcy (1919–1922). Ależ to było skomplikowane i złożone! Nie dziwię się, że członkowie misji alianckich przybywający na Śląsk łapali się za głowy. ©℗ ***(p.z.)***



BARBARA WŁODARCZYK
„NIE MA JEDNEJ ROSJI"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

ROSJA PRZEŚWIETLONA

Barbarę Włodarczyk mało komu trzeba przedstawiać. Doskonała reportażystka, znawczyni Rosji, która była wieloletnią korespondentką TVP w Moskwie. „Nie ma jednej Rosji" to jej książkowy debiut z 2013 r., który doczekał się drugiego wydania w związku z inwazją na Ukrainę. Ten zbiór reportaży pokazuje, jak wygląda życie prostych Rosjan z prowincji – co im naprawdę w duszy gra i dlaczego mają tak przedziwny stosunek do władzy. Każdej władzy. ©℗ ***(p.w.)***



TOMASZ ŁABUSZEWSKI
„UKRADZIONE DZIECIŃSTWO/STOLEN CHILDHOOD"
IPN

UTRATA 2 MLN DZIECI

Album – którego głównym autorem jest wybitny znawca okresu ostatniej wojny i powojnia – dotyczy bezbronnych polskich dzieci, ofiar ZSRS i III Rzeszy w latach 1939–1945. Zginęły ich 2 mln. Traciły życie podczas deportacji, pacyfikacji, w obozach koncentracyjnych i w obozach zagłady. Głód i mróz, nieludzkie warunki, brutalne katowanie, planowa eksterminacja stały się ich udziałem. ©℗ ***(m.r.)***

eprasa.pl ac2b0923d8



Partenon na ateńskim Akropolu FOT. JIM KILLOCK/WIKIPEDIA

Nie takie miłe Ateny

Z przyjemnością obserwuję konsekwencję, z jaką Wydawnictwo Poznańskie kontynuuje wydawanie książek o życiu codziennym w starożytności. Tym razem są to Ateny okresu klasycznego w pełnym rozkwicie połowy V w. p.n.e., mistrzowsko opisane przez kolejnego anglosaskiego historyka. Przywykliśmy do idealizowanego obrazu tego miasta, pełnego wspaniałych marmurowych rzeźb Fidiasza i Polikleta, imponujących kolumnad i kształtnych amfor, gdzie Sokrates i Platon przechadzają się po Agorze pod rękę z Sofoklesem i Eurypidesem, a spogląda na nich życzliwie sam Perykles.

Nie zacierajmy tego obrazu. Greccy filozofowie stworzyli fundament dla rozwoju nauki, rzeźbiarze osiągnęli niezrównany do dziś kunszt, a dzieła dramatopisarzy stanowią punkt odniesienia dla zachodniej literatury. Politycy powinni uczyć się od Peryklesa spojrzenia dalekosiężnego i poczucia służby publicznej w działaniach dla dobra współobywateli.



ROBERT GARLAND
„JAK PRZEŻYĆ W STAROŻYTNEJ GRECJI”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

A jednocześnie przejdźmy razem z prof. Garlandem śmierdzącymi uliczkami Aten, których nikt nie czyści z odchodów, spójrzmy na znanego stratega Alkibiadesa, który publicznie ciągnie za włosy żonę za to tylko, że miała dość domowych upokorzeń, które z pokorą ma znosić każda ateńska żona, unikajmy nocnych spacerów po nieoświetlonym mieście, bo nikt nie obroni nas przed napadem. Przy braku podstawowej higieny i opieki medycznej zarazy szerzą się nieustannie, skutkiem wypadków oraz wojen bywa częste kalectwo mężczyzn, a dziewczęta – by urodziły jak najwięcej dzieci – wydawane są za mąż (za mężczyzn starszych przynajmniej o 10 lat), gdy tylko zaczną dojrzewać.

Wiele umiera więc już przy pierwszym porodzie, a rzadko która osiąga 40. rok życia. Żadna nie ma prawa do procesu sądowego, uczestnictwa w życiu publicznym oraz do własnego majątku. Od urodzenia decyduje za nie o wszystkim mężczyzna: ojciec, starszy brat, mąż. Co ciekawe, o wiele lepsza jest sytuacja Spartanek i starszych Spartan, przed którymi młodzi z szacunkiem schodzą z drogi i zapewniają im opiekę. Jeśli natomiast Ateńczyk nie zgromadzi zawczasu wystarczającego majątku, to ląduje jako żebrak przy drodze do Pireusu bądź zostaje niewolnikiem. Warto wiedzieć… ©℗

Maciej Rosalak

Pancerny ulubieniec 2. Korpusu

O wybitnym dowódcy wojsk pancernych 2. Korpusu Polskiego, mjr. Władysławie Drelicharzu ciekawą biografię napisała dr. Maria Radożycka-Paoletti, a wydał ją Instytut Pamięci Narodowej. Przedstawiła ona histirię bohatera ze szczególnym uwzględnieniem działań we Włoszech w 1944 r., ale na szerszym tle losów żołnierza polskiego w drugiej wojnie światowej. Generał Anders powiedział o nim tak: „Wszystkie walki, w których brał udział, zdobyły mu serca żołnierskie całego Korpusu”. Z przedwojennych Brzeżan, przez pola walk wrześniowych i obóz internowania na Węgrzech, dotarł na Bliski i Środkowy Wschód do Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich i wraz z nią do Armii Polskiej na Wschodzie i 2. Korpusu Polskiego.

Jako dowódca 2. szwadronu czołgów 4. Pułku Pancernego „Skorpion” przeszedł kampanię włoską 1944 r., walczył o Monte Cassino, Ankonę, Cesano, Metauro…

Jego droga do ojczyzny „zagubionej w wrześniowych chmurach” dobiegła kresu w listopadzie 1944 r. pod Monte Fortino. Trzykrotnie ranny, wysoko ceniony przez przełożonych i podwładnych, zginął w czołgu, dowodząc swym szwadronem w bitwie o Faenzę. Został odznaczony licznymi orderami polskimi i brytyjskimi, m.in. srebrnym i złotym krzyżem Virtuti Militari i kilkakrotnie Krzyżem Walecznych. ©℗

Maciej Rosalak



MARIA RADOŻYCKA-PAOLETTI
„WCIĄŻ SZUKAMY OJCZYZNY ZGUBIONEJ W WRZEŚNIOWYCH CHMURACH… WOJENNYM SZLAKIEM MAJORA WŁADYSŁAWA DRELICHARZA (1913–1944)”
IPN

eprasa.pl ac2b0923d8

Koch – łupieżca Ukrainy

Szykując się do inwazji na ZSRS, Adolf Hitler musiał zastanowić się nad kwestią przyszłości okupowanych ziem sowieckiego imperium. Rozważał dwie opcje. Pierwsza koncepcja, lansowana przez Alfreda Rosenberga, wiązała się ze stworzeniem państw narodowych Ukrainy, Białorusi, Litwy, Łotwy i Estonii oraz republik kaukaskich. Jej realizacja gwarantowałby wykorzystanie antykomunistycznego potencjału tkwiącego w nierosyjskich narodach żyjących w ZSRS i dawała możliwość odniesienia szybkiego zwycięstwa w wojnie z Sowietami, choć brakującym jej elementem było pominięcie całkowicie rosyjskich antykomunistów. Drugą opcją było scedowanie na Wehrmacht głównej roli w odniesieniu zwycięstwa nad państwem rządzonym przez Józefa Stalina bez ponoszenia koncesji politycznych. Konsekwencjami tego planu były okupacja obszarów ZSRS, stworzenie na nich niemieckiej administracji cywilnej i niedopuszczenie do zbudowania nowych i odbudowania wcześniej istniejących antysowieckich organizmów państwowych. I to rozwiązanie wybrał kanclerz III Rzeszy.



RALF MEINDL
„GAULEITER PRUS WSCHODNICH ERICH KOCH – BIOGRAFIA POLITYCZNA"
INSTYTUT PÓŁNOCNY

W kontekście owego wyboru pojawiło się pytanie, kto będzie stał na czele administracji cywilnej na okupowanych terenach. Teoretycznie całym obszarem miał kierować Alfred Rosenberg stojący na czele ministerstwa ds. okupowanych obszarów wschodnich, ale nie jego pomysły i koncepcje miały być realizowane. Nie on miał też wyznaczać swoich podwładnych i choć ta sztuka mu się udała w odniesieniu do Heinricha Lohsego, to na komisarza Riechskomisariatu Ukraina wyznaczony został, wspierany przez Göringa, Erich Koch – gauleiter Prus Wschodnich, członek NSDAP od 1921 r. Hitler zamierzał zastosować na Ukrainie brytyjską politykę kolonialną realizowaną w Indiach. Ukraina miała być poddana bezwzględnej eksploatacji gospodarczej, stając się jednym wielkim zapleczem surowcowo-żywnościowym Rzeszy.

Koch wydawał się jak najbardziej pasować na stanowisko realizatora tej brutalnej polityki, ponieważ – jak sam mówił – chciał wycisnąć z Ukrainy, „ile się da". Jego stwierdzenie, że „Ukraińcy są ludem kolonialnym, który powinien być traktowany batem jak Murzyni", stało się powszechnie znane i budziło irytację Rosenberga. Koch stał się symbolem bezwzględności i okrucieństwa podczas dokonywanych pacyfikacji ukraińskich wsi. Jego polityka bezmyślnego wykonywania zarządzeń Hitlera przyniosła Niemcom opór w postaci sowieckiej, a potem także ukraińskiej partyzantki UPA. Było to szkodliwe dla długofalowych interesów niemieckich i służyło de facto bolszewikom. Kiedy Armia Czerwona zajęła Ukrainę i siedzibę RKU Równe, Koch zaprzestał podróży na swe ukraińskie włości. Klęski na froncie wschodnim spowodowały, że Sowieci zaczęli zbliżać się do Prus Wschodnich, które gauleiter starał się przygotować do obrony przed nimi.

W trosce o zachowanie morale Koch wstrzymywał ewakuację niemieckiej ludności cywilnej. Niemcy z Prus Wschodnich zapłacili straszliwą cenę za te błędne decyzje. Koch jej nie poniósł, ponieważ przedostał się do Niemiec i tam ukrywał się aż do momentu aresztowania. W 1950 r. został przekazany polskim władzom komunistycznym. Przygotowanie do procesu zabrało dziewięć lat. Postepowanie sądowe rozpoczęło się 20 października 1958 r., a zakończyło 9 marca 1959 r. Skazano go na karę śmierci. Od wydania wyroku Koch toczył batalię o zachowanie życia. Jak się okazało, wyrok na nim rzeczywiście nie został skierowany do wykonania. Erich Koch przebywał w więzieniu w Barczewie aż do 12 listopada 1986 r. Tego dnia gauleiter Prus Wschodnich opuścił „ziemski padół łez". ©℗

Arkadiusz Karbowiak

HISTORYCZNE BITWY

Czerniaków

Autor wiernie przedstawia przebieg zażartych walk toczonych na Czerniakowie we wrześniu 1944 r. z udziałem powstańczych zgrupowań „Kryski" i „Radosława", z przeglądem poszczególnych oddziałów, ich dowódców i uzbrojenia. Czytamy o heroizmie żołnierzy batalionów harcerskich „Zośka" i „Parasol", tak mocno już wykrwawionych na Woli i Starym Mieście, że łącznie tworzyły jeden tylko batalion, a mimo to chłopcy (i dziewczęta!) trwali do końca w ruinach ostatnich redut przy ul. Wilanowskiej 5 i 1. Niektórzy wreszcie ratowali się, przepływając Wisłę. Zapytałem ciężko poranionego już na Starówce sierż. podch. Stanisława Krupę „Nitę" (batalion „Zośka"): – Stasiu, a jakim stylem płynąłeś? – Jakim?! – usłyszałem. – Rozpaczliwym!

Nareszcie ktoś uczciwie i wyczerpująco napisał o udziale w walkach żołnierzy 1. Armii LWP między 16 a 21 września. Słuszna jest konkluzja: „… był to jedyny przypadek, kiedy ramię w ramię walczyli powstańcy z Armii Krajowej, uznający Rząd RP na uchodźstwie w Londynie, i żołnierze… z wojska będącego pod rozkazami i pełną kontrolą Moskwy. Wyjątkowym momentem tej walki była chwila, gdy oficer AK został mianowany dowódcą batalionu berlingowców…". A co do rzekomo samodzielnej decyzji gen. Berlinga o wysłaniu desantu na lewy brzeg rzeki, dowiadujemy się, że rozkaz wydał szef sztabu Frontu Białoruskiego gen Malinin, ale następnie opóźnił operację, a wkrótce Rosjanie zakazali wsparcia artyleryjskiego podczas desantu. Stalin mógł więc pochwalić się aliantom, że pomaga Polakom, a zarazem pozwolić Niemcom zabić nas jak najwięcej. ©℗

Maciej Rosalak



SZYMON NOWAK
„CZERNIAKÓW 1944"
BELLONA

eprasa.pl ac2b0923d8



Rafał A. Ziemkiewicz

/ Felieton

Dziaders i „Dziady”

Powieść Bolesława Prusa, którą ostatecznie zatytułował on „Lalka”, niemal do samego końca nazywać się miała „Trzy pokolenia”. Ostateczny tytuł jest bez wątpienia lepszy od roboczego, ale stał się przyczyną jednego z największych nieporozumień w polskim literaturoznawstwie. Trwa ono w najlepsze do dziś, mimo wszelkich sprostowań, w tym jednoznacznej wypowiedzi samego autora, która powinna rozwiać wszelkie wątpliwości. Dla pokoleń krytyków i czytelników tytułowa „lalka” to Izabela Łęcka, i już.

Jak celnie zauważył w poświęconym tej sprawie felietonie Mieczysław Grydzewski, w powieści panna Łęcka określana jest mianem „dziwnej kobiety”, „dziwną”, a w języku owych czasów była to kobieta mająca swoje zdanie, samodzielna. I jako taka właśnie jest Łęcka przedstawiona: walczy, nie daje się osaczyć i wepchnąć w małżeństwo z nowobogackim dziadersem, który zrobił kasę na małżeństwie z bogatą staruchą i jakichś podejrzanych spekulacjach, wcisnął się w lepsze od niego towarzystwo i wykorzystując zubożenie rodziny, próbuje ją po prostu sobie kupić od nieprzesadnie mądrego ojca, omalże jak krowę na targu.

Ja wiem, dla tych, którzy nie omawiali arcydzieła polskiej literatury z prawie dorosłymi córkami, takie postawienie spraw brzmi bluźnierczo, ale obiektywnie przyznajmy, że tradycyjna interpretacja, w której nieszczęśliwie zakochany Wokulski ustawiany jest w jednym szeregu z Mickiewiczowskimi Gustawem i Jackiem Soplicą oraz innymi polskimi Werterami, a więc Łęcka musi być kobietą złą, oparta jest raczej na przesłankach spoza tekstu powieści, nie z niej samej. Nie trzeba tu zresztą wdawać się w spór o to, czy postępowanie bohaterki było bezduszne i egoistyczne czy uzasadnione – wystarczy stwierdzić, że było. A skoro ktoś postępuje tak lub owak, o coś lub przeciw czemuś walczy, no to nie jest osobą bezwolną, pustą, pozbawioną mózgu. Więc dlaczego „lalka”? Dlatego, że Łęcka opisana jest jako kobieta piękna, potocznie mówiąc „lala”? Nie wiem nawet, czy w czasach Prusa tak się mówiło, ale gdyby nawet, tej klasy pisarz nie posłużyłby się tak trywialnym skojarzeniem.

Sprawa trochę mi przypomina inny literacki humbug, o którym pisałem tu kilka lat temu (felieton miał tytuł „Chłostanie wieszczem”) – teorie o rzekomym żydowskim, frankijskim pochodzeniu matki Mickiewicza, nabudowane na jednej frazie, że „44” z widzenia w „Dziadach” pochodzi „z matki obcej”. Sam Mickiewicz zaprzeczał przecież, jakoby tym „44” miał być on sam – ale nie wyjaśniał, kto w takim razie jest, więc mu nie uwierzono. Prus też zapewniał, że nie chodziło mu o Łęcką, ale jego wyjaśnienie tytułu jest jakieś takie… W Wiedniu – pisze – był świadkiem procesu o kradzież dziecięcej lalki (co włączył do powieści) i właśnie gdy obserwował ten proces, cała historia wreszcie mu się poukładała w głowie, że już nic, tylko siadać i pisać – no to z wdzięczności zmienił przyciężkie „Trzy Pokolenia” na „Lalkę” właśnie. A gdyby natchnienie naszło go, bo ja wiem, w wiedeńskiej kawiarni, to powieść by nazwał „Sznycel” albo „Piszinger”? Przekonuje to państwa? Chyba nie, podobnie jak uniki Mickiewicza, męczonego, o co mu chodziło z tym „czterdzieści i cztery”, że sam już nie pamięta, bo to dawno było.

Ale może to dobry znak, że czytelnicy podejrzewają pisarzy o znacznie głębsze zastanawianie się nad szczegółami i nasycanie ich ukrytymi sensami, niż oni sami to zwykli robić. ©℗

/ Skoro ktoś o coś lub przeciw czemuś walczy – jak Izabela Łęcka – to nie jest osobą bezwolną, pustą, pozbawioną mózgu. **Więc dlaczego „lalka”?**

eprasa.pl ac2b0923d8



Piotr Semka

/ Felieton

Gdy miasta płonęły jak zapałka

Przez wieki wznoszone, w ciągu godzin niszczone" – taką refleksją niemiecki pisarz Manfred Hausmann spuentował opis zagłady starówki w Kassel (Hesja) podczas alianckiego nalotu w nocy z 22 na 23 października 1943 r. W tę pamiętną dla mieszkańców Kassel noc zostało zniszczone będące chlubą Hesyjczyków niezwykle malownicze, zabytkowe centrum miasta. Jeszcze bardziej drastyczne były straty w czasie nalotu Brytyjczyków i Amerykanów w marcu 1944 r. we Frankfurcie nad Menem. To stare cesarskie miasto miało największą w skali całych Niemiec siatkę starych domów z belkowaniem drewnianym, zwanym w Polsce murem pruskim lub fachwerkiem. Spłonęło wtedy we Frankfurcie aż 1,8 tys. najstarszych budynków. Łącznie ok. 90 tys. budynków zamieniło się w proch. Specjaliści budowlani po wojnie szacowali, że miasto pokryło 17 mln m sześc. gruzu.

Jeszcze bardziej dramatyczna była operacja „Gomorrah" – sekwencja bombardowań dokonanych przez RAF i USAAF między 24 lipca a 3 sierpnia 1943 r. Burza ogniowa, która trwała prawie tydzień, zabiła ok. 34 tys. osób. Na efekty bombardowania wpłynęły też wcześniejsze długotrwałe upały, które wysuszyły drewniane konstrukcje XIX-wiecznych domów. Bardzo duże, często średniowieczne centra zabytkowe niemieckich miast cechowała właśnie ta typowa teutońska technika opierania konstrukcji domu na siatce drewnianych belek. To, co było podstawą statyki takich budynków, w momencie pożaru stawało się czynnikiem szybkiego i całkowitego ich spalenia. W większości te fachwerkowe jądra starych miast nigdy nie zostały już odbudowane. W latach 70. tylko we Frankfurcie na rynku Römer odbudowano grupę czterech kamieniczek według starych ciesielskich technik. Podobny wysiłek rekonstrukcyjny wykonano przy zespole dawnych budynków Trzy Siostry w Hamburgu.

> To, że powojenna zrujnowana Polska była w stanie odbudować gdańską starówkę, musi zdumiewać mieszkańców Kassel czy Hamburga, **gdzie dawne centrum odbudowano byle jak**

Urodziłem się w Gdańsku i z racji doświadczeń z mojego rodzinnego miasta uważałem za coś oczywistego powojenną cierpliwą i dokładną rekonstrukcję przedwojennych kamieniczek tak, jak to się odbyło po wojnie w grodzie nad Motławą. Z tym większym zaskoczeniem obserwowałem w wielu niemieckich miastach bardzo mało wyrafinowaną architekturę odbudowanych tuż po wojnie w RFN kamienic w centrach miast. Każdy z inwestorów chciał jak najszybciej postawić na nowo dom i nikt nie dbał o jakieś pieczołowite odtwarzanie przedwojennego kształtu. Dopiero w tym wieku odbudowano część starówki we Frankfurcie nad Menem i w Dreźnie, ale i tak budowano te kopie przedwojennych budynków z odlewanych segmentów. Nikt nie bawił się w pieczołowite odtwarzanie niegdysiejszych drewnianych konstrukcji muru pruskiego. To tłumaczyć może, dlaczego niemieccy turyści chodzą dziś po gdańskiej starówce, tak szeroko otwierając oczy. To, że powojenna zrujnowana Polska była w stanie odbudować gdańską starówkę, musi zdumiewać mieszkańców Kassel czy Hamburga, gdzie dawne centrum odbudowano byle jak.

Skąd ta niemiecka obojętność na dawne dziedzictwo? Po wojnie nowe pokolenia odwracały się plecami do przeszłości, widząc w nowoczesności wyrwanie się z rozliczeń z epoką nazistowską. Hasło odbudowy zabytków nie stało się zbyt popularne nawet wtedy, kiedy od połowy lat 60. RFN stała się naprawdę bogatym państwem. Trzeba było drugiej dekady XXI w., aby rozpoczęła się odbudowa zamku Hohenzollernów w Berlinie. Niekiedy jednak ta odbudowa także bulwersuje przybysza z Polski. Pamiętam nieprzyjemne zdziwienie, gdy w Brunszwiku odkryłem, że dawny królewski pałac stanowi tylko skorupę skrywającą banalne handlowe mall. Mówiąc krótko, niemiecka odbudowa spalonych starówek niespecjalnie się udała.

Dlatego zrekonstruowane przez Polaków stare części z Wrocławia, Gdańska i ze Szczecina mogą tylko przynosić nam chlubę. Najwyraźniej jest coś innego w stosunku Polaków do przeszłości, w odróżnieniu od naszych sąsiadów zza Odry. Dlaczego tak jest? To już temat na osobny felieton. ©℗

eprasa.pl ac2b0923d8



Witold, wielki książę litewski. Fragment obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

1413–1447 / Witold i Jagiełło oraz ich następcy

Unia po Grunwaldzie



Tomasz Stańczyk

Formalnie Litwa została wcielona do Polski, w praktyce zachowała odrębność, a związek dwóch państw przechodził burzliwe momenty

Polsko-litewskie zwycięstwo na polach Grunwaldu było wspaniałym rezultatem przymierza dwóch państw. Zakon krzyżacki myślał jednak o rewanżu, co kazało Jagielle i Witoldowi zacieśnić współpracę. Taka była geneza unii w Horodle, zawartej w 1413 r., ze względu na – jak wówczas zapisano – „nieprzyjacielskie napady i zasadzki Krzyżaków i ich popleczników, którzy usiłują zniszczyć wspomniane ziemie litewskie i królestwo polskie”.

Jednak znaczenie unii horodelskiej nie wyczerpywało się na potwierdzeniu antykrzyżackiego sojuszu Litwy i Polski. Sprecyzowano wówczas stosunki między tymi państwami. Choć teoretycznie unia w Krewie mówiła o włączeniu Litwy do Polski, choć znów Jagiełło zadeklarował, że ziemie Litwy wciela do niej i przyłącza, to nic przecież takiego nie nastąpiło. W Horodle stało się właściwie coś odwrotnego. Jak pisał Oskar Halecki, historyk unii polsko-litewskich, w Horodle utrzymano odrębność państwową Litwy, lecz także zasadę jej przynależności do Królestwa Polskiego.

Co więcej, jak wywodził Halecki, władza wielkoksiążęca – którą dzierżył dożywotnio Witold – stawała się instytucją, która mogła trwać po jego śmierci. Przy czym jednak zgodzono się, że bojarzy i szlachta Litwy nie wybiorą sobie na wielkiego księcia nikogo innego jak tego, którego wskażą polski król i jego rada. Tak więc wykluczony został wybór władcy Litwy samodzielnie przez Litwinów.

Z drugiej jednak strony wybór polskiego króla miał się odbyć za radą i zgodą Litwinów.

W Horodle przyjęto prawie 50 litewskich bojarów do polskich rodzin herbowych, co było wskazówką, że – jak pisał Jan Długosz – unia polsko-litewska nie była wówczas unią państw, lecz narodów, a litewska szlachta miała cieszyć się takimi przywilejami i swobodami jak polska.

Witold i husyci

Rok później wybuchła wojna pomiędzy zakonem krzyżackim a Polską i Litwą. Toczyła się na terytorium państwa zakonnego i zyskała nazwę „głodowej”, gdyż Krzyżacy stosowali taktykę spalonej ziemi. Rozjemcą został Zygmunt Luksemburski, sprzyjający Krzyżakom, więc orzeczenie, które wydał, nie zadowoliło ani Witolda, ani Jagiełły. Na wieść o niekorzystnym rozstrzygnięciu Jagiełło i Witold mieli „ryczeć jak lwy”. Jerzy Ochmański, autor „Historii Litwy”, uważał, że obaj niepotrzebnie i nieopatrznie zgodzili się na arbitraż Luksemburczyka.

W 1422 r. doszło do nowej wojny, zakończonej szybko pokojem mełneńskim. Był to duży sukces Litwy – Krzyżacy

eprasa.pl ac2b0923d8

rezygnowali z praw do Żmudzi, a Litwa zyskała dostęp do morza. Marzenia o połączeniu się terytoriów zakonu krzyżackiego z ziemiami jego inflanckiej gałęzi się rozwiały. Polska natomiast zyskała mało – Nieszawę i kilka wsi.

Stronniczy negocjator Zygmunt Luksemburski wbrew Czechom nałożył sobie w Pradze w 1420 r. koronę św. Wacława, szybko jednak musiał umykać ze stolicy przed husytami. Jagiełło otrzymał od nich propozycję zostania królem. Odmówił, lecz czeską propozycję przyjął Witold i wysłał do Czech jako swojego namiestnika Zygmunta Korybutowicza z wojskiem. Niektórzy historycy, tacy jak Robert Frost, uważają, że działo się to za zgodą Jagiełły, ale Jarosław Nikodem, biograf Witolda, uważa, że przyjęcie przez niego czeskiej propozycji – choć niebezpośrednio – miało wzmocnić międzynarodową pozycję wielkiego księcia, a osłabić pozycję Jagiełły. Polski król zareagował na tę sytuację, zawierając w Lubowli w 1423 r. układ z Zygmuntem Luksembuskim. Zgodził się poprzeć go w walce z husytami, a w zamian za to Luksemburczyk zobowiązał się nie popierać Krzyżaków. W tym stanie rzeczy Witold rozkazał Zygmuntowi Korybutowiczowi wycofać się z Czech.



Akt unii horodelskiej FOT. WIKIPEDIA

Korona dla Witolda

W 1424 r. urodził się Jagielle syn Władysław. Miał oczywiście zapewnione prawa dziedziczne do Litwy, ale nie do Polski. Rok później na zjeździe w Brześciu Kujawskim szlachta zgodziła się uznać Władysława za następcę tronu, jednak za cenę potwierdzenia przez Jagiełłę dotąd wydanych przywilejów. Jagiełło zgodził się na to, ale później wycofał się z przyrzeczenia. W 1427 r. wściekła szlachta na kolejnym zjeździe rozsiekała dokument uzgodniony w Brześciu Kujawskim. Kwestia, kto będzie następnym królem po Jagielle, pozostawała więc chwilowo otwarta, wszystko jednak zmierzało do tego, że tron polski odziedziczy któryś z synów Jagiełły. A po śmierci Witolda – obejmie władzę w Wielkim Księstwie Litewskim.

Przyszłość unii rysowałaby się wówczas w jasnych barwach. Nie mogło się to podobać Zygmuntowi Luksemburskiemu, który zamierzał wbić klin pomiędzy Witolda i Jagiełłę, proponując w 1429 r., podczas zjazdu monarchów w Łucku, wielkiemu księciu litewskiemu, by się koronował. Witold chętnie przyjmował tę sugestię, chciał – jak stwierdzał Jarosław Nikodem – nie tylko rządzić (jak dotychczas) samodzielnie na Litwie, lecz także być równorzędnym partnerem Jagiełły, a taki status dawałaby mu korona. Królestwo nie może przecież podlegać królestwu.



Zamek w Łucku FOT. WIKIPEDIA/RYKHLYUK

Jak przekonywał Oskar Halecki, pomysł Luksemburczyka i koronacja Witolda, „silniejsze wyodrębnienie Litwy jako państwa równorzędnego Polsce, a dziedzicznego w rodzie Giedymina, zabezpieczały temu rodowi ojcowiznę, a w konsekwencji dla zachowania unii wybór na tron polski". Jagiełło miał więc sprzyjać koronacji Witolda.

Natomiast Jarosław Nikodem stwierdza, że nie była ona w interesie Jagiełły. „Witold jako król będzie miał prawa dziedziczne do Litwy i choć sam bezdzietny, będzie mógł przekazać koronę

eprasa.pl ac2b0923d8

niekoniecznie synom Jagiełły". Jagiełło więc „ani nie mógł, ani nie chciał się zgodzić na koronację stryjecznego brata". Jagiełło chciał wobec tego umówić się z Witoldem, żeby był królem dożywotnio, a wyznaczył na swojego następcę Władysława albo Kazimierza.

Tymczasem Witold szykował swą koronację w Wilnie. Wyznaczono datę: 8 września 1430 r. Zdaniem Roberta Frosta nie oznaczałaby ona jednak, że wielki książę chce przez to zerwać więzi z Polską. Witold zaprosił już gości do Wilna, ale Polacy zatrzymali poselstwo od Luksemburczyka, wiozące jego pismo kreujące królestwo Litwy. Tuż przed śmiercią, która nastąpiła w październiku 1430 r., Witold pogodził się z Jagiełłą. Miał zrezygnować z korony w zamian za następstwo Zygmunta Kiejstutowicza po sobie.



Zygmunt Luksemburski
FOT. WIKIPEDIA

Ambicje Świdrygiełły

Sprawy przybrały jednak inny obrót. Wybiła godzina Świdrygiełły – brata Jagiełły – wieloletniego rywala Witolda. Litewscy bojarzy wynieśli go na tron wielkoksiążęcy, lecz zrobili to bez porozumienia z Jagiełłą i Polakami, mimo że taki tryb elekcji przewidywała unia horodelska. Woleli mieć swojego wielkiego księcia, a nie być rządzonymi bezpośrednio przez Jagiełłę. W gruncie rzeczy chcieli kontynuacji układu, który panował między Witoldem i Jagiełłą – dającego Litwie rzeczywistą autonomię.

Robert Frost uważał, że Świdrygiełło chciał całkowitego uniezależnienia się od Polski, nie wszyscy jednak bojarzy litewscy go w tym popierali. Co gorsza, zaostrzył się konflikt o posiadanie Podola oraz Wołynia i doszło na tym tle w 1431 r. do wojny polsko-litewskiej. „Z obu stron nie prowadzono tej wojny właściwie na serio – twierdził Oskar Halecki – ze stanowczym zamiarem zniszczenia przeciwnika".

Świdrygiełło wzmocnił swoją pozycję sojuszem z Krzyżakami, którym deklarował: „Nic na świecie nie może nas z wami poróżnić". Jednak Halecki sądził, że dla Świdrygiełły sojusz z Krzyżakami był tylko środkiem nacisku na Polaków, by byli skłonni do ustępstw. Z pewnością takim środkiem było uznanie jego tytułu wielkoksiążęcego. Ambicje Świdrygiełły były jednak większe, skoro – jak uważał Frost – odrzucił on bardzo daleko idącą w jego stronę polską propozycję powrotu do „systemu Witoldowego". Nie spodobało się to części litewskich bojarów i – z pewnością za zachętą Polaków – uknuli spisek przeciw Świdrygielle. Ale mieli do niego jeszcze większą pretensję o to, że otaczał się bojarami ruskimi, których Litwini nie chcieli dopuścić do władzy.

Nie udało się go jednak pojmać – na Litwie zaczęła się wojna domowa między Świdrygiełłą i pretendentem do wileńskiego tronu Zygmuntem Kiejstutowiczem. To właśnie z nim podpisano w Grodnie w 1432 r. kolejny akt unii. Otrzymywał on tytuł wielkiego księcia i dożywotnią władzę na Litwie, przy zwierzchniej władzy Jagiełły. Po śmierci Zygmunta Litwa miała wrócić do Jagiełły lub jego synów. Podole miało przypaść Polsce, a Wołyń otrzymywał Zygmunt jako lenno.

Niezwykle ważna była decyzja Jagiełły, aby „książętom, bojarom, szlachcie i mieszkańcom ruskim, poddanym ziemi litewskiej" nadać wszystkie przywileje i wolności nadane wcześniej katolickiej szlachcie litewskiej, z zastrzeżeniem jednak, że prawosławni nie mogli sprawować urzędów na Litwie właściwej, etnicznej. Frost widzi w tym zrównaniu prawosławnych z katolikami wielką mądrość polityczną.

W ślady Jagiełły poszedł w 1434 r. Zygmunt Kiejstutowicz, podcinając tym samym poparcie bojarów ruskich dla Świdrygiełły. W tym samym roku zmarł Władysław Jagiełło. Cztery lata wcześniej w Jedlni zapewnił tron jednemu ze swoich synów; polscy możnowładcy mieli wybrać „sposobniejszego". Wybrali pierworodnego – 10-letniego Władysława. W zamian za zgodę na to w przywileju jedleńskim Jagiełło zobowiązał się, że szlachcic nie może być uwięziony bez wyroku sądowego.

W 1435 r. wojska Zygmunta, wspomagane przez Polaków, pokonały Świdrygiełłę i wspierających go inflanckich Krzyżaków nad rzeką Świętą, koło Wiłkomierza. Walczący po stronie Świdrygiełły Zygmunt Korybutowicz, samozwańczy król Czech w 1424 r., został ciężko ranny i zmarł w niewoli. W tym samym roku Zygmunt Kiejstutowicz zawarł pokój z Krzyżakami, a osobno – Jagiełło w Brześciu Kujawskim, a w zawartej tam umowie, która kończyła wojnę polsko-krzyżacką, wielki mistrz zobowiązywał się nie wspierać Świdrygiełły.

Choć Kiejstutowicz objął tron i obronił go przy pomocy polskiej, to jednak bynajmniej nie był uległy Jagielle. Marzyła mu się co najmniej taka pozycja, jaką miał Witold i jaką chciał mieć Świdrygiełło. „Prowadził politykę samodzielną – oceniał Paweł Jasienica – nie licząc się z interesami Polski, a czasem wrogą jej". Proponował nawet Krzyżakom antypolski sojusz. „Stawało się oczywiste

eprasa.pl ac2b0923d8

– stwierdzał Robert Frost – że model z oddzielnym wielkim księciem litewskim jest problematyczny".

Model ten funkcjonował dobrze dzięki dość zgodnej współpracy Witolda i Jagiełły, kompletnie jednak zawiódł w przypadku Świdrygiełły i Zygmunta Kiejstutowicza. Stawało się oczywiste, że jeśli unia polsko-litewska ma być trwała i nie tylko na papierze, to wielkim księciem litewskim i królem polskim musi być ta sama osoba.

W 1440 r. litewscy spiskowcy zamordowali Zygmunta Kiejstutowicza. Wielki książę był niebezpieczny dla bojarów, łatwo rzucał oskarżenia o spiski i zdradę i równie łatwo ferował wyroki śmierci.

Po śmierci Władysława Jagiełły tron polski objął jego syn, Władysław. Wysłał na Litwę brata Kazimierza jako swojego namiestnika. Bojarzy litewscy obwołali go jednak – znów niezgodnie z ustaleniami z Horodła, bez konsultacji z Krakowem – wielkim księciem. Polacy nie uznali tego wyboru, unia faktycznie przestawała istnieć. Po śmierci Władysława III pod Warną zaproszono Kazimierza na tron polski, by ją reaktywować. On jednak i stojący za nim bojarzy zwlekali, pragnąc wymusić na Polsce uznanie odrębności Litwy i dziedziczne prawa do niej Kazimierza. Jednocześnie Kazimierz oświadczył, że „nie byłby na to obojętny, ale, owszem, wielce byłby obrażony, gdyby bez jego rady i zezwolenia tron ojczysty [polski, a nie miał przecież do niego praw dziedzicznych – przyp. T.S.] i rządy królestwa polskiego kto inny miał opanować". Był to szantaż.

Paweł Jasienica zauważał, że wypuszczenie Polski z rąk nie leżało w interesie reprezentowanego przez Kazimierza rodu Jagiellonów, gdyż „przecież to korona polska, a nie mitra litewska zapewniła Jagiellonom poczesne miejsce w Europie". Ostatecznie w 1447 r., po kilku latach polsko-litewskich przepychanek, Kazimierz został koronowany na króla polskiego. Doszło do kompromisu. Kazimierz przyznał, że tron objął nie z racji praw dziedzicznych, lecz został wybrany, zachował jednak prawa dziedziczne do Litwy i jej samodzielny status. Unia została wznowiona i nawet wzmocniona, gdyż Kazimierz Jagiellończyk nie zamierzał mianować kogokolwiek wielkim księciem litewskim – a żyli wówczas jeszcze Świdrygiełło i Michał, syn Zygmunta Kiejstutowicza – pozostawiając sobie jego władzę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Grób Łukaszenki i Kalenkiewicza



Tomasz Stańczyk

Akcja niszczenia cmentarzy żołnierzy Armii Krajowej jest próbą wymazania w krajobrazie Białorusi znaków polskiej obecności i sprzeciwu wobec Rosji. Dla Łukaszenki żołnierze Armii Krajowej są wyklęci. Nic dziwnego. Walczyli przecież nie tylko z Niemcami, lecz także z partyzantką sowiecką i oddziałami NKWD, czyli z Rosją, wtedy czerwoną, dziś wspierającą władcę Białorusi.

Czy podejmując decyzję o dewastowaniu grobów polskich żołnierzy, Łukaszenka zastanawiał się, jaki los może czekać jego grób? Czy przyszło mu do głowy, że być może Białorusini odreagują na jego mogile zmarnowane lata życia pod dyktaturą? Jeśli grób Łukaszenki będzie na terenie Białorusi. Być może pewnego dnia przyleci po niego rosyjski śmigłowiec i przewiezie go do Moskwy.

Zniszczone zostały kolejne groby żołnierzy AK, tym razem w Surkontach. Spoczywa tam Maciej Kalenkiewicz, jedna z najwybitniejszych i najpiękniejszych postaci czasów niemieckiej i sowieckiej okupacji.

Sto kilometrów dzieli Surkonty od Pacewicz, gdzie się urodził w 1906 r. Wybrał karierę zawodowego wojskowego, a na tę drogę wszedł, wstępując do Korpusu Kadetów. Studia w Wyższej Szkole Wojennej przerwała kpt. Maciejowi Kalenkiewiczowi napaść Niemiec na Polskę. Po kampanii wrześniowej, w której wziął udział, się nie poddał. Walczył w szeregach Oddziału Wydzielonego Wojska Polskiego mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala", został jego zastępcą.

Oddział „Hubala" przestał istnieć, a Kalenkiewicz przedostał się do Francji. Chciał jednak walczyć na terenie kraju. Wraz z kpt. Janem Górskim stworzył koncepcję przerzutu drogą powietrzną do Polski, do pracy w Armii Krajowej, oficerów wyspecjalizowanych w zakresie łączności, dywersji, sabotażu, prac sztabowych. Nazwano ich cichociemnymi.

Na liście cichociemnych jest 316 nazwisk, jego również. Przerzucony do kraju drugim lotem został oficerem sztabowym Komendy Głównej AK. Stworzył plan powstania powszechnego, miało ono wybuchnąć w momencie załamywania się militarnego Niemiec. W 1944 r. został skierowany do Nowogródzkiego Okręgu AK, opracował wówczas plan operacji „Ostra Brama" – zdobycia Wilna. Nie wziął w niej udziału, został ranny w walce z Niemcami. Po zajęciu Wileńszczyzny przez Armię Czerwoną uniknął aresztowania i zesłania do obozu, co stało się losem tysięcy żołnierzy Armii Krajowej. Trwał ze swoim oddziałem na ziemi kresowej, jego rodzinnej. 21 sierpnia 1944 r. jego kilkudziesięcioosobowy oddział został zaatakowany przez sowiecki batalion. Poległ wraz z 36 żołnierzami w nierównej walce. A teraz były dyrektor sowieckiego kołchozu kazał zniszczyć ich groby… © ℗

eprasa.pl ac2b0923d8



Przeszkody przeciwczołgowe po niemieckiej stronie granicy z Francją (Linia Zygfryda)
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wrzesień 1939 r. / Ofensywa francuska w Zagłębiu Saary

Wojna na niby



Maciej Rosalak

„Lecz cóż, kiedy ryby śpiewały tylko na niby, żaby na aby–aby, a rak byle jak…” – ów cytat z Jana Brzechwy pasuje do Europy Zachodniej pierwszych miesięcy drugiej wojny światowej. Niestety

Okres od 3 września 1939 r., a więc od wypowiedzenia wojny Niemcom przez naszych aliantów zachodnich, do ataku Hitlera na Francję 10 maja 1940 r. Francuzi nazwali „dziwną wojną” (drôle de guerre), Anglicy „udawaną wojną (phoney war), a Niemcy „wojną siedzącą” (Sitzkrieg). Po polsku najtrafniej chyba brzmi „wojna na niby”. O ile zachodni Europejczycy nazywali ją (i traktowali) nieco żartobliwie, o tyle Polacy – którzy we krwi i w łunach pożarów tracili we Wrześniu ’39 swoją odrodzoną po przeszło stuletniej niewoli ojczyznę – nieskorzy byli do żartów. Brak skutecznej pomocy ze strony potężnych sojuszników wywoływał rozpacz, żal i pełen pretensji wyrzut.

Francuzi i wtedy, i po wojnie tłumaczyli, że ich armia na kontynencie europejskim nie była jeszcze zmobilizowana. Trwały uzupełnianie i wymiana sprzętu, a jej liczebność niewiele przewyższała te wojska Wehrmachtu (23 dywizje liniowe, do których w połowie września doszło ok. 10 mobilizowanych w głębi Rzeszy), które broniły niemieckich granic. Powoływali się też chętnie na to, że w dniach 7–12 września (kilka dni wcześniej, niż przewidywał układ sojuszniczy) przeprowadzili ofensywę z udziałem trzech armii i ponieśli przy tym straty.

Brytyjczycy mieli w owym czasie oddziały lądowe rozlokowane po swym rozległym jeszcze imperium i pomocą mogły służyć tylko ich flota oraz siły powietrzne. Jeśli nawet przyjąć to wszystko za szczerą prawdę, to nasuwa się znacznie poważniejsze pytanie: Dlaczego dwa światowe mocarstwa tak zwlekały z przygotowaniem swych sił zbrojnych do wojny z Hitlerem? Skoro ostateczny zabór (i rozbiór) Czechosłowacji nastąpił w marcu 1939 r., a żądania terytorialne wobec Polski przybierały już wtedy formę ultimatum, to dlaczego mocarstwa od razu nie przystąpiły do zwielokrotnienia swych sił do definitywnej rozprawy z imperialistycznym agresorem?

W maju 1940 r. Niemcy zdołali wystawić – pół roku po zakończeniu rozprawy z Polską – aż 135 dywizji. W tym: 118 dywizji piechoty, 10 pancernych, sześć zmotoryzowanych i jedną powietrzno-desantową. Alianci przeciwstawili im 134 dywizje: 22 belgijskie, dziewięć holenderskich, 10 brytyjskich i 93 francuskie. Francuzi wysłali wtedy na front sześć dywizji pancernych oraz 24 zmotoryzowane. Niemcy górowali w lotnictwie bojowym (3,8 tys. samolotów w stosunku do 2,4 tys.), natomiast ustępowali liczbą czołgów (2,6 tys. do 3,4 tys.). Co prawda, ich tanki były na

eprasa.pl ac2b0923d8

ogół lepsze, a jeszcze większe znaczenie miały organizacja, sposób użycia oraz dowodzenie na polu walki.

Od marca do sierpnia 1939 r. minął taki sam czas (ok. pół roku), jak od października 1939 do maja 1940 r. Niemcy podczas obu okresów zwiększali swą potęgę w szybkim postępie arytmetycznym. Francuzi i Brytyjczycy w aspekcie militarnym pierwszy okres zlekceważyli. I na tym chyba polega ich główna wina wobec lojalnego, choć słabszego polskiego sojusznika. Jak również na arogancji, z którą gen. Maurice Gamelin wyrzucał Polakom, że zamiast paru tygodni nie wytrwali we Wrześniu '39 paru miesięcy. Dzielny Francuz był gotów bić się z Niemcami do ostatniego Polaka.

Wybitny znawca dziejów drugiej wojny światowej, historyk brytyjski Ian Kershaw, napisze już w naszych czasach: „Z wojskowego punktu widzenia zachodnie mocarstwa nie uczyniły absolutnie nic dla ratowania Polski".

Osiem kilometrów spaceru

Kilkusetkilometrowy pas umocnień zwanych Linią Zygfryda biegł w odległości 5–20 km od granicy z Francją. Zbudowano je w latach 1936–1939. Na południu biegły brzegiem Renu, a na północy docierały do krajów Beneluksu. Natomiast centralny, 160-kilometrowy odcinek fortyfikacji chronił przemysłowy rejon Zagłębia Saary. Na ten właśnie obszar ruszyli 7 września Francuzi. Trudno użyć tu słów „uderzyli" czy nawet „wtargnęli", lepiej napisać po prostu „weszli". Ich armie – pierwsza, trzecia i czwarta – liczące łącznie 11 dywizji, posuwały się powoli, poprzedzane patrolami, w pasie o długości 32 km. W kierunku Saarbrücken – stolicy regionu, którą do 1935 r. zarządzali jako rekompensatą za własne ośrodki przemysłowe zniszczone przez Niemców podczas pierwszej wojny światowej – wyruszyło zgrupowanie 4. Armii w składzie sześciu dywizji.

Szpice awangardy posunęły się podczas pierwszych trzech dni o ok. 8 km na wschód przez opuszczony teren, z którego mieszkańców przeniesiono za Linię Zygfryda. Trzy kilometry na dzień – tempo zaiste zabójcze. W oczy Francuzów rzucały się napisy: „Nie będziemy strzelać pierwsi", „My nie prowadzimy wojny", „Nie dopuścimy do rozlewu krwi". Natomiast sprytnie ukryto przed nimi miny przeciwpiechotne, które raniły ich i zabijały. Znaczna część strat francuskich – 1,5 tys. rannych, chorych, zaginionych i poległych – była wynikiem nieopatrznych wejść francuskich piechurów na pola minowe.



Francuskie czołgi R-35 z załogami podczas ofensywy w Zagłębiu Saary, w lesie Warndt. Poniżej mapa francusko-niemieckiej linii frontu we wrześniu 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA



9 września, po tym, jak poprzedniego dnia Polacy musieli odeprzeć spod Warszawy 4. Dywizję Pancerną, marsz. Rydz-Śmigły zaapelował depeszą do gen. Gamelina o wzmożenie walk na froncie zachodnim. Gamelin replikował: „Ponad połowa dywizji na froncie północno-wschodnim jest zaangażowana w boju. Niemcy stawiają zaciekły opór. Z zeznań jeńców wynika, że Niemcy wzmacniają linie frontu nowymi silnymi jednostkami. Akcje naszego lotnictwa są ściśle powiązane z operacjami na lądzie. Wiemy, że zaangażowaliśmy znaczną część Luftwaffe. Reasumując, nasze działanie jest bardziej niż wystarczające, biorąc pod uwagę, że mobilizacja naszych sił jest jeszcze toku. W tej sytuacji większy wysiłek jest niemożliwy". O charakterze „walk", które samej Linii Zygfryda nawet nie tknęły, francuski generał nie pisał.

Do 9 września Francuzi znaleźli się na północny zachód od Saarbrücken i zajęli niemal cały las Warndt i 12 okolicznych wsi – w tym wioskę Apach. Akurat wtedy Niemcy zaczęli kontratakować, co wywołało nareszcie dość zacięte walki. 10 września niewielki niemiecki oddział odbił tę wioskę, ale Francuzi okazali się zawzięci i po kilku godzinach znów zajęli Apach. 12 września 32. pułk piechoty zdobył miasto Brenschelbach, tracąc dziewięciu żołnierzy. U zbiegu granic Luxemburga oraz Francji i Niemiec zniszczono most w Schengen (45 lat później właśnie tu zawarto porozumienie o zniesieniu kontroli granic) i odcięto jeden z niemieckich oddziałów.

Czterdzieści jeden samolotów brytyjskich już 4 września bombardowało porty niemieckie. Lekko uszkodzono pancernik „Admirał Scheer" i krążownik „Emden", ale Brytyjczycy stracili pięć lekkich bombowców typu Blenheim i dwa średnie wellingtony. Strącono jeden myśliwiec Luftwaffe – messerschmitta Bf-109D. Do kolejnych walk i strat obu stron dochodziło potem nad Morzem Północnym. Między 9 a 13 września Francuzi – po pierwszych dniach lotów zwiadowczych i zrzucania ulotek – prowadzili działania bojowe. Utrata 28 samolotów oraz 27 zabitych, 22 rannych, 28 zaginionych lotników spowodowały zaniechanie walk powietrznych.

eprasa.pl ac2b0923d8


DAILY NEWS

FRENCH ENTER SAAR CAPITAL

„Daily News" z 13 września 1939 r. donosi o wkroczeniu Francuzów do stolicy Saary
FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kres operacjom na froncie francusko-niemieckim położyli premierzy i głównodowodzący wojskami Francji i Wielkiej Brytanii na konferencji w Abbeville 12 września. W październiku Niemcy całkiem wypchnęli Francuzów z Zagłębia Saary i jeszcze sami zajęli kilka kilometrów kwadratowych ziemi francuskiej. A potem bez przeszkód już trwała w schronach dziwna, udawana, siedząca wojna na niby. Na wojnę prawdziwą zamieniła ją dopiero niemiecka ofensywa, która rozpoczęła się 10 maja 1940 r.

Ironside i Gamelin

Trafną analizę sytuacji strategicznej roku 1939 zawarł Marian Porwit (1895–1988) w swych znakomitych, a dziś zapomnianych „Komentarzach do historii polskich działań obronnych 1939 roku". Krytycznie ocenia marsz. Edwarda Śmigłego-Rydza zarówno jako generalnego inspektora sił zbrojnych w czasie pokoju, jak i Naczelnego Wodza podczas wojny, który – skutkiem zaniechania rzetelnych gier wojennych – błędnie zorganizował i rozmieścił wojska oraz nie przygotował realnego planu ich działań. Porwit pisze: „Najwyższe czynniki państwowe postanowiły z początkiem marca 1939 r. po pierwsze: stawić natychmiast i zdecydowanie opór zbrojny bezpośredniej lub pośredniej agresji Niemiec, po wtóre: doprowadzić do natychmiastowego i czynnego wystąpienia państw zachodnich z chwilą rozpoczęcia działań wojennych przeciw Polsce […]". Porwit w pełni popiera punkt pierwszy.

W punkcie drugim natomiast zwraca uwagę, że „natychmiastowe i czynne wystąpienie sił zbrojnych państw zachodnich powinno być brane w rachubę jako jeden z wariantów. Równocześnie należało uwzględnić drugi wariant, hipotezę, że armie zachodnie pozostaną w defensywie. Tak obca była polskiej psychice ta hipoteza, że można usprawiedliwić wszystkich łącznie z generalnym inspektorem sił zbrojnych, że sobie takiej ewentualności nie wyobrażali. Należało jednak wziąć pod uwagę trzecią hipotezę, tak samo niekorzystną, że armie zachodnie wyruszą przeciw Niemcom, lecz nie uzyskają potrzebnego efektu, że albo zostaną zatrzymane, albo też dostatecznie silnie związane, że Niemcy nie powtórzą błędu z 1914 r. i nie odciągną żadnych większych sił z Polski". Brał to pod uwagę gen. Tadeusz Kutrzeba (we Wrześniu '39 dowódca Armii Poznań, a w 1920 r. wybitny sztabowiec podczas wyprawy kijowskiej oraz zwycięstwa nad Niemnem) w studiach strategicznych z lat 1936 oraz 1938.

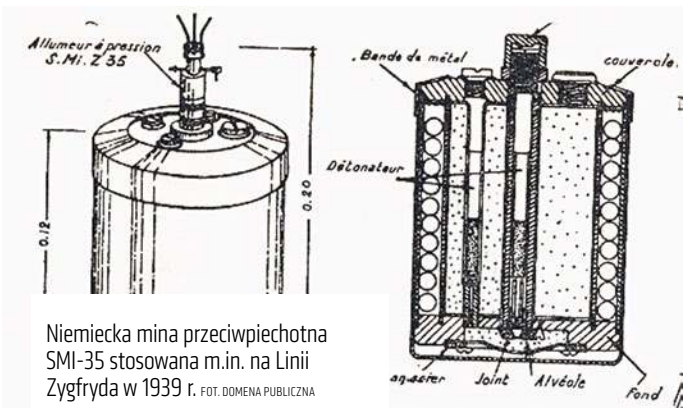
Na taką ewentualność wskazywała postawa francuskiego głównodowodzącego – gen. Gamelina, który w rozmowach z Polakami „liczył na natychmiastowe współdziałanie polskich sił zbrojnych, jeśli główny wysiłek Niemiec skieruje się przeciw Francji, natomiast wymigiwał się od konkretnych zobowiązań, jeśli główne siły Niemiec uderzą na Polskę". Pozostawienie w 1938 r. Czechosłowacji bez pomocy zbrojnej, mimo zawartego z nią – jak z Polską – sojuszu, również nakazywało większą rezerwę wobec Francji.

Ówczesny szef Imperialnego Sztabu Generalnego gen. Edmund Ironside doskonale znał francuskie plany militarne i nie znalazł w nich żadnej wskazówki, z której wynikałoby, że dowództwo francuskie planowało kiedykolwiek wczesny atak na Linię Zygfryda. Wiedział, że francuskie zobowiązania wobec Polski nie zostaną dopełnione. „Francuzi okłamują Polaków, mówiąc, że zamierzają przystąpić do ataku. Taka koncepcja w ogóle nie istnieje" – zanotował w swoim dzienniku.

Obydwaj sojusznicy liczyli, że Polacy będą się opierać Niemcom przynajmniej trzy miesiące, a oni w tym czasie dozbroją wojska. Jednak sami przyczynili się do osłabienia polskiego oporu, skłaniając władze polskie do odwołania ogólnej mobilizacji wyznaczonej na 29 sierpnia. Miało to opłakane skutki dla zmobilizowania i dostarczenia na pozycje przynajmniej czwartej części wojsk, które miały się tam znaleźć. Jak pisał gen. Władysław Anders: „Świat nie chciał wierzyć w wojnę. Polskę kosztowało to wiele, gdyż co najmniej o kilka tygodni przyspieszyło naszą klęskę".

Syndrom Maginota

Francja miała Linię Maginota – ok. 450 km umocnień (600 głównych obiektów bojowych i 5,8 tys. różnych typów fortyfikacji) – zbudowaną za ponad 2,9 mld franków i nie myślała znów, jak w latach 1914–1918, wysyłać w pole swych chłopców. Po utracie 1,4 mln zabitych i 2,5 rannych (w tym 700 tys. inwalidów) pacyfizm dominował i w społeczeństwie, i w armii. Jeszcze w 1940 r. płk Franciszek Skibiński – podkomendny płk./gen. Stanisława Maczka – był zaskoczony bezgranicznym zadufaniem francuskich oficerów. Lekceważyli oni świadectwa Polaków o sile niemieckiego blitzkriegu i pouczali ich z wyższością, jak to wykrwawią Wehrmacht pod niezdobytą linią ze stali i tak zmuszą go do



Niemiecka mina przeciwpiechotna SMI-35 stosowana m.in. na Linii Zygfryda w 1939 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl ac2b0923d8

kapitulacji („Pierwsza Pancerna"). Gdy w maju 1940 r. pancerna pięść wroga, przechodząc przez Ardeny, ominęła od północy Linię Maginota, ta zdała się psu na budę…

Podczas procesu norymberskiego Alfred Jodl – we wrześniu 1939 r. szef sztabu Wehrmachtu w OKW – oświadczył, że właśnie wtedy Francja i Wielka Brytania wraz z Polską miały dostateczną przewagę, aby wygrać wojnę. Stwierdził, że 23 dywizje niemieckie na froncie zachodnim nie sprostałyby 110 dywizjom, które mogli rzucić na nie alianci. Co prawda, w ciągu września ta (wyolbrzymiona) dysproporcja zmalała, ale w polu alianci nadal dominowali. Także bombowce Royal Air Force byłyby w stanie podjąć wyprawy odwetowe na przemysłowe ośrodki III Rzeszy. Cóż, premier Neville Chamberlain, podobnie jak jego francuski kolega Édouard Daladier, lękał się odwetu Luftwaffe.

Tylko natychmiastowa, prowadzona z rozmachem ofensywa – zamiast jedynie demonstracji zbrojnej pod Linią Zygfryda – mogłaby rzeczywiście zmienić bieg wydarzeń, odwrócić wynik wojny i byłaby tym, czego mieli prawo oczekiwać Polacy. I do takiej ofensywy – do wojny nie na niby, ale naprawdę – powinni przygotować się nasi sojusznicy.

Na zakończenie przytoczę za Maksem Hastingsem („I rozpętało się piekło") fragment interwencji ambasadora RP w Paryżu Juliusza Łukasiewicza u szefa dyplomacji francuskiej Georges'a Bonneta: „To nie jest w porządku!... Traktat jest traktatem i należy respektować jego postanowienia! Czy zdaje pan sobie sprawę, że każda godzina, o którą odkładacie atak na Niemcy, oznacza śmierć tysięcy polskich mężczyzn, kobiet i dzieci?". Bonnet wzruszył ramionami: „Czy chce pan zatem, aby zabijane były kobiety i dzieci mieszkające w Paryżu?".

12 września na tajnym (przed Polakami) spotkaniu w Abbeville premierzy Francji i Wielkiej Brytanii solennie zapewnili siebie nawzajem, że nie podejmą większych działań zbrojnych na froncie – ani na lądzie, ani w powietrzu. Akurat wtedy trwało polskie kontruderzenie nad Bzurą, na Lubelszczyźnie Wojsko Polskie zbierało się do bitwy, a Sowieci nie uderzyli jeszcze ze wschodu i nie wiadomo, czy na wiadomość o wielkiej ofensywie aliantów w ogóle odważyliby się uderzyć...

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Łukaszenka pod Surkontami



Maciej Rosalak

Wiosną i latem 1943 r. partyzanci sowieccy – wykonując rozkazy Moskwy – rabowali i mordowali polską ludność oraz żołnierzy Armii Krajowej. Szef partii komunistycznej na Białorusi Pantielejmon Ponomarienko zalecał nie tylko wykrywać i likwidować polskie organizacje konspiracyjne, lecz także wszystkimi sposobami wystawiać je oraz wspierającą je ludność pod uderzenie niemieckiemu okupantowi. Bandyckie działania sowieckie zmuszały Polaków do walki na dwa fronty. Kiedy sowiecki dowódca partyzancki Żyszko podczas narady sztabowej zameldował o wydaniu rozkazu nakazującego oddawanie przez ludność broni pod groźbą kar, Ponomarienko odpowiedział: – Po co wydawać rozkazy, wystarczy, że rozstrzela się sołtysa, albo powiesi; niech powisi trzy dni i odechce im się sprzeciwiać naszym zaleceniom. – My tego nie robimy – stwierdził Żyszko – uważamy, że to nie po sowiecku; my nie wieszamy. Co innego spalić w ognisku, zamęczyć, żywcem zakopać – tak, to się zdarza.

Efektem były takie zbrodnie partyzantów sowieckich jak wymordowanie 138 polskich mieszkańców w Nalibokach (8 maja 1943 r.), 38 w Koniuchach (29 stycznia 1944 r.) czy 47 w Dokudowie (5 marca 1944 r.). Podstępne uwięzienie dowódców AK na Wileńszczyźnie po walkach o Wilno ramię w ramię z Sowietami, a następnie obława na żołnierzy AK w Puszczy Rudnickiej latem 1944 r. powinny rozwiać jakiekolwiek wątpliwości co do zamierzeń „sojusznika naszych sojuszników" wobec Polaków. Dowódca Nadniemeńskiego Zgrupowania AK ppłk Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz", który uniknął pułapki zastawionej na polskich dowódców w Wilnie, wątpliwości nie miał i wraz z oddziałem wiernych podkomendnych stał się dla oddziałów NKWD najbardziej poszukiwaną zwierzyną łowną. Groźną jednak i dla łowczych. Po utracie ręki w walkach z Niemcami 6–7 lipca „Kotwicz" potrafił 20 lipca odeprzeć obławę NKWD w lasach nad jeziorem Kiernowo. Uczestnik boju wspominał skradających się krasnoarmiejców: „I wtedy, gdy są już tak blisko… ze środka oddziałów, z traw leśnych, paproci unosi się bezręka postać w polówce, jakby w zwolnionym tempie, i bez pośpiechu pada spokojna komenda: ognia – skokami naprzód!".

Maciej Kalenkiewicz, urodzony w ziemiańskiej rodzinie pod Wołkowyskiem (1906), oficer 110. pułku ułanów we wrześniu 1939 r., towarzysz mjr. Henryka Dobrzańskiego „Hubala", po przejściu na Zachód zainicjował utworzenie polskich wojsk spadochronowych i formacji cichociemnych. Nocą z 27 na 28 grudnia 1941 r. zrzucony wraz z kilkoma kolegami omyłkowo poza granicą GG rozbił posterunek niemiecki, który nieopatrznie ośmielił się ich aresztować, i dotarł do KG AK w Warszawie. Stąd wysłano go na rodzinną Nowogródczyznę. Już na niej pozostał. 21 sierpnia 1944 r. otoczony znacznymi siłami NKWD zginął po zaciętej walce pod wsią Surkonty wśród 36 poległych żołnierzy AK, w tym sześciu oficerów. Miejsce tej bitwy zostało upamiętnione przez rodaków, otoczone czcią i opieką. Do sierpnia roku 2022. Oto białoruski uzurpator postanowił pójść w ślady towarzyszy Ponomarienki, Żyszki oraz Czerniachowskiego i – nie mogąc żadnego Polaka powiesić, zamęczyć, spalić lub żywcem zakopać – miejsce polskiej pamięci zrównał z ziemią, a ziemię kazał zaorać. Jeśli ktoś jeszcze miał jakieś wątpliwości co do Łukaszenki, to już chyba ich się pozbył. ©℗

eprasa.pl ac2b0923d8

Krótka kurtka i rogatywka legionistów Dąbrowskiego



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Wyrazem patriotycznych idei przyświecających twórcom Legionów we Włoszech był mundur wojskowy – na wskroś polski

W styczniu 1797 r. gen. Jan Henryk Dąbrowski, popierany przez rząd francuski i wspomagany przez głównodowodzącego we Włoszech gen. Napoleona Bonaparte, podpisał z władzami Republiki Lombardzkiej konwencję o utworzeniu wojska polskiego. Wiosną tego roku w ramach dwóch legii sformowano sześć pierwszych batalionów. Już u zarania projektu jego polscy inicjatorzy poświęcili wiele wysiłku, aby wyglądem nawiązywały do rodzimej, przedrozbiorowej tradycji. W umowie z Administracją Generalną Lombardii zapisano: „Ubiór, znaki wojskowe i organizacja tego Korpusu zbliżać się będą, jak można najwięcej, do zwyczajów polskich".



Polski mundur wojskowy ukształtował się w latach 80. XVIII w. Zdążył jednak mocno wrosnąć w narodową świadomość na polach bitew wojny polsko-rosyjskiej (1792 r.) oraz podczas powstania 1794 r. Jego najbardziej charakterystycznym elementem była rogatywka, wprowadzona oficjalnie do naszego ubioru wojskowego w 1785 r. Nie mniej oryginalna była krótka kurtka wraz z kamizelką, efekt ewolucji szlacheckiego ubioru – kontusza i żupana. W okresie Sejmu Czteroletniego (1788–1791) dokonano istotnych reform wojskowych, wprowadzając jednakowy krój munduru dla całej armii. To właśnie do tamtych wzorców nawiązano we Włoszech, kiedy granatowe kurtki w poszczególnych batalionach obu Legii otrzymały odmienne kolory wyłogów i wypustek.

Generał Józef Wielhorski pisał: „Naszym zadaniem było, dając każdemu batalionowi inny mundur (a nasi żołnierze znają się na nich), stworzyć z każdego batalionu zawiązek pułku dla Polski, dlatego mundury naszych batalionów są identyczne z mundurami pewnych pułków polskich". Rogatywki posiadały karmazynowy otok i granatowe denko, dawnym zwyczajem „w pręty na bawełnie przeszywanym". Spodnie, także granatowe, noszono do krótkich sztylp i trzewików. Nieustanne walki i reorganizacje polskich oddziałów nie pozostawały bez wpływu na umundurowanie. W 1798 r. zdecydowano się usunąć barwne wyłogi i wprowadzić jednakowe dla wszystkich batalionów – w 1. Legii karmazynowe, a w 2. pąsowe. Odtąd wyróżnikiem miały być jedynie odmienne kolory otoków na rogatywkach i numery na guzikach.

Wydaje się, że zarówno zmieniające się regulaminy, jak i nieustanne braki materiałowe powodowały, iż w poszczególnych oddziałach mundury były różne. Świadczy o tym list gen. Franciszka Rymkiewicza, dowódcy 2. Legii: „Wiem, że jest rozkazem ministra, aby cała legia miała wyłogi i obszlegi [wypustki – przyp. M.M.] pąsowe, ale to dopiero wtenczas stać się musi, kiedy cała legia się umunduruje de novo, to jest za dwa lata; teraz ażeby 200 lub 300 uniformów było w batalionie pierwszym i drugim pąsowymi, a reszta jak jest, nie wypada. Jestem pewny, że minister na to nic nie powie, bataliony więc zostaną się jeszcze co do obszlegów i wyłogów, jak teraz są". Utworzona w 1798 r. jazda legionowa także umundurowana była zgodnie z przedrozbiorową tradycją. Wśród nielicznych pamiątek związanych z Legionami jest mundur gen. Dąbrowskiego zachowany w zbiorach MWP w Warszawie (na zdjęciu). Składa się z karmazynowej rogatywki z barankowym otokiem oraz granatowej kurtki zapinanej na dwa rzędy guzików, ze srebrnymi haftowanymi naramiennikami i wstążkami orderowymi: Virtuti Militari, Legii Honorowej i Korony Żelaznej. Całość uzupełniają paradna ładownica z literami „LP" oraz pas generalski – karmazynowy z haftowanym wężykiem i srebrną zdobioną klamrą. ©℗

eprasa.pl ac2b0923d8



Asyryjskie oblężenie

Pierwsza połowa ostatniego tysiąclecia p.n.e. była okresem rozwoju sztuki oblężniczej, której mistrzami okazali się Asyryjczycy. Ważne miejsce w ich arsenale zajmował taran. Jego zasadniczym elementem była gruba belka o długości od kilkunastu do kilkudziesięciu metrów i ciężarze sięgającym kilku ton. Okuwano ją na końcu żelazną głowicą o tępym lub ostrym kształcie – w zależności od przeszkody (cegła z suszonej gliny, kamienne bloki). Taran podwieszano na linach lub łańcuchach do belki poprzecznej i osadzano na drewnianym rusztowaniu z metalowymi okuciami. Całość montowano na ruchomej platformie zaopatrzonej w koła i obudowywano drewnianymi osłonami mającymi zabezpieczać obsługę. Dodatkowym elementem były np. świeże skóry, które przybijano do desek w celu osłony przed podpaleniem.

Bardziej zaawansowane było połączenie tarana z wieżą, również „opancerzoną" i zaopatrzoną w platformy bojowe. Stanowiła przede wszystkim miejsce dla łuczników, chociaż dokonywano też z niej szturmów na mury za pomocą kładek. Łucznicy strzelali z poziomu, na którym znajdowali się obrońcy, absorbowali ich uwagę i zapobiegali atakom na obsługę tarana. Pozostali łucznicy, chronieni wysokimi tarczami (zespół tarczownik i łucznik), prowadzili nieustanny ostrzał z poziomu ziemi. Nie używano jeszcze artylerii. Pierwsza wzmianka o jej zastosowaniu pochodzi od Diodora, który opisał oblężenie kartagińskiej twierdzy Motye (Sycylia) przez władcę Syrakuz Dionizjusza w 397 r. p.n.e. ©℗

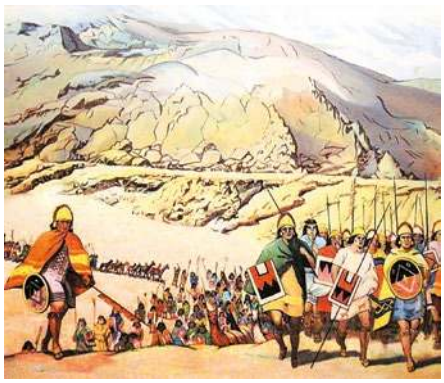
Remington

Rewolwery kapiszonowe Colt były najliczniej wykorzystywane podczas amerykańskiej wojny secesyjnej. Używano jednak zarówno broni importowanej z Europy, jak i wielu wzorów rodzimych. Wśród nich pierwszeństwo należy się kapiszonowym remingtonom, które cieszyły się dobrą opinią, a od coltów różniły się przede wszystkim zamkniętym szkieletem. Produkowano je w kilku wersjach i dwóch kalibrach: 0,36 i 0,44 cala. Na zdjęciu: kapiszonowy New Model Army kal. 0,44 ze zbiorów MWP. Jest to broń pojedynczego działania, sześciostrzałowa, z zamkniętym szkieletem łączącym wszystkie jej części. Lufa jest gwintowana i z zewnątrz oktagonalna w przekroju; pod lufą znajduje się dźwigniowy pobojczyk blokowany zatrzaskiem pod lufą; służył do przybijania ładunku w komorach bębna. Bęben jest cylindryczny, bez wybrań, a okładki chwytu drewniane, mocowane pojedynczą śrubą. Kabłąk spustu wykonano z mosiądzu. Przyrządy celownicze złożone są z muszki i szczerbinki frezowanej przez całą długość ramy szkieletu. Części stalowe zabezpieczono poprzez oksydowanie. Długość rewolweru wynosi 35 cm. ©℗



Inkaski arsenał

Choć militarna wyższość zdobywców Nowego Świata była oczywista, arsenał prekolumbijskiej Ameryki był bogaty i różnorodny. Wśród uzbrojenia ochronnego wyróżniały się lekkie watowane, pikowane kaftany, które z uwagi na wygodę zostały zaadaptowane przez Europejczyków. Poza nimi Inkowie stosowali m.in. koniczne hełmy wykonywane z plecionej trzciny; na ich szczytach oficerowie nosili mocowane w poprzek pióropusze. Używano dwóch rodzajów tarcz: niewielkich okrągłych lub większych prostokątnych – wykonanych z drewnianych desek lub wikliny, pokrytych tkaniną i ozdobionych piórami. Tarcze posiadały przymocowany do dolnej krawędzi płat płótna chroniący nogi wojownika przed pociskami z broni miotanej. Ważną rolę odgrywała proca. Znano także prosty łuk, jednak był rzadziej stosowany niż u Azteków. Konkwistadorzy narażeni byli także na oszczepy wyrzucane z drewnianych miotaczy. Bolasy, czyli kilka kamieni powiązanych rzemieniami, po ciśnięciu w przeciwnika, ranio go lub krępowało ruchy jego kończyn. Włócznie posiadały kościane lub kamienne groty, a topory i maczugi - różną długość. Miewały też brązowe gwiaździste głowice. Miecz



sporządzano z twardego i długiego na ponad metr drewna; posiadał wyprofilowaną rękojeść, a część tnąca posiadała dookolne brązowe ostrza (u Azteków wykorzystywano obsydian). ©℗

eprasa.pl ac2b0923d8

XIX–XXI w. / Zaczęło się od silników na kołach...



Traktor firmy John Deere

FOT. ØYVIND HOLMSTAD/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

Traktory



Tymoteusz Pawłowski

Niemal wszystkie traktory produkowane po drugiej wojnie powtarzały układ konstrukcyjny fordów 9N, które do Europy i Azji przybyły po 1945 r. wraz ze zwycięską US Army

Ciągniki rolnicze należą do najstarszych pojazdów mechanicznych. Ich początki sięgają czasów wcześniejszych niż kolej żelazna, ponieważ Richard Trevithick, zanim zbudował pierwszą lokomotywę, umieścił silnik parowy na kołach. Można go było transportować drogami tam, gdzie był potrzebny do napędzania wszelkiego rodzaju mechanizmów: czy to młotów w fabrykach, czy też sieczkarni w gospodarstwach rolnych.

Oczywiście silniki na kołach zrobiły oszałamiającą karierę, gdy zastosowano je do napędzania lokomotyw jeżdżących po szynach, ale w połowie XIX w. pojawiły się również lokomobile, czyli drogowe odpowiedniki lokomotyw. Nie osiągały one dużych prędkości, a napęd służył niemal wyłącznie do przetransportowania silnika z jednego miejsca pracy do innego, ale faktom nie można zaprzeczać: były to pojazdy samobieżne, czyli samochodowe.

Wykonywały one dokładnie taką samą pracę jak współczesne ciągniki rolnicze: napędzały stacjonarne maszyny znajdujące się w gospodarstwie (przede wszystkim sieczkarnie i młockarnie) oraz pomagały w pracach polowych (przede wszystkim ciągnąc pługi oraz brony). Nieco inaczej jednak te prace wykonywano. Młockarnię napędzano skórzanym pasem transmisyjnym, który łączył koło pasowe silnika parowego z kołem pasowym napędzanej maszyny. Podczas prac polowych lokomobile stały w miejscu, a pług ciągnięto długim łańcuchem, nawijanym na kołowrót (napędzany oczywiście pasem transmisyjnym).

Na przełomie XIX i XX w. ciągniki stały się bardziej popularne, zawitały też do Polski. Długo szukano dla nich odpowiedniej nazwy. Na świecie powszechnie nazywane były łacińskim słowem wywodzącym się od czasownika „traho, trahere", czyli ciągnąć. W języku polskim najpierw popularne było słowo „ciągówka", ale ostatecznie zdecydowano się na słowo „ciągnik". Powszechnie jednak stosuje się międzynarodową nazwę „traktor".

Gdy w 1914 r. wybuchła wielka wojna, ciągniki rolnicze zostały zmobilizowane, doskonale nadawały się do ciągnięcia armat i haubic po polach bitew. Produkowano je tysiącami, więc gdy wojna się skończyła, traktory z demobilu stały się łatwo dostępne i trafiły – niemal dosłownie – pod strzechy. Zaczęto również

eprasa.pl ac2b0923d8

produkować je w Polsce, pierwszym był Ursus model 1921/1922.

Harry Ferguson i Henry Ford

Pomiędzy wojnami światowymi pożegnano się wreszcie z napędem parowym. Zrobiono to zresztą dość późno, bo w latach 30., a ostatnim bastionem była bogata w węgiel Anglia. Silniki parowe – nie tylko zresztą w traktorach, lecz także w samochodach ciężarowych – sprawowały się na tyle dobrze, że o ich klęsce zadecydowały niekorzystne stawki podatkowe. W Europie podstawowym napędem były – zapomniane dziś – silniki średnioprężne, mające co prawda dużą masę i prymitywny zapłon od gruszki żarowej, ale za to mogące spalać każde paliwo płynne. Najbardziej popularnym z nich był niemiecki Lanz Bulldog, powstały w 1921 r. i kopiowany w wielu państwach, m.in. w Polsce, od 1947 r., jako Ursus C-45. W Ameryce zdecydowano się natomiast na nowoczesne silniki dieslowskie.

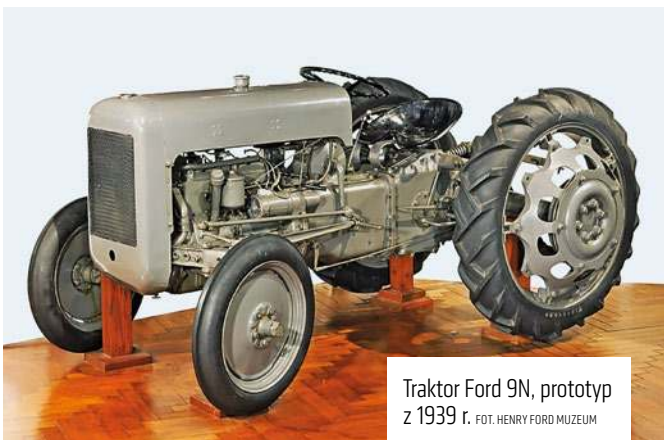
Stany Zjednoczone nazywane są krajem wielkich możliwości i najłatwiej zilustrować to opowieścią o ciągnikach rolniczych. Olbrzymie, płaskie pola są wprost stworzone dla traktorów, rozwinięty przemysł motoryzacyjny daje olbrzymie możliwości techniczne, a biznesmeni chętnie sfinansują wynalazki, które mogą przynieść zysk. Nic więc dziwnego, że do USA przybył ze swoimi pomysłami Harry Fergusson – brytyjski wynalazca, pionier irlandzkiego lotnictwa i sprzedawca samochodów – którego pomysły nie miały szansy zostać zrealizowane w zbiurokratyzowanej i oszczędnej Europie.

Jego wynalazek nosi niewdzięczną nazwę „trzypunktowy układ zawieszenia" i w połączeniu z innym wynalazkiem o niewdzięcznej nazwie – „wałem odbioru mocy" – zrewolucjonizował rolnictwo. Do tej pory traktor mógł ciągnąć po ziemi niektóre narzędzia i napędzać niektóre maszyny pasem transmisyjnym. Trzypunktowy układ zawieszenia pozwalał zamontować do ciągnika wszelkie możliwe narzędzia – chociażby kosiarkę – i operować nimi na dowolnej wysokości. Wał odbioru mocy pozwalał je napędzać, zarówno podczas postoju, jak i w ruchu.

Trzypunktowy układ zawieszenia to dwie podnoszone hydraulicznie belki współpracujące z trzecią. Z reguły znajduje się on z tyłu ciągnika – tam, gdzie jest również wał odbioru mocy, będący w gruncie rzeczy przedłużonym wałem korbowym silnika, jednak o niezależnie regulowanej prędkości obrotowej. Niby proste rzeczy, ale kilkukrotnie zwiększały wydajność traktora. Niby proste rzeczy, ale opracowanie całego układu oraz narzędzi z nimi współpracujących zajęło Harry'emu Fergussonowi blisko 20 lat. Sukces odniósł wyprodukowany wspólnie z Fordem model 9N, który zadebiutował 29 czerwca 1939 r.

PRL i RP

Ford 9N był tak nowoczesną maszyną, że gdyby dziś spotkać go przy pracy, nie robiłby wrażenia pojazdu zabytkowego. W gruncie rzeczy niemal wszystkie produkowane przez kolejne lata traktory na całym świecie powtarzały układ konstrukcyjny fordów 9N, które do Europy i Azji przybyły po 1945 r. wraz ze zwycięską US Army. Na nim wzorowany był pierwszy nowoczesny polski traktor Ursus C-325, produkowany od 1959 do 1993 r. Oczywiście wprowadzano niewielkie zmiany i nowe nazwy – C-328, C-330 – w których dwie ostanie cyfry oznaczały moc silnika w koniach mechanicznych. Do dziś te ursusy można spotkać przy pracy, nie tylko zresztą na wsi, lecz także w miastach.



Traktor Ford 9N, prototyp z 1939 r. FOT. HENRY FORD MUZEUM

Koniec produkcji tych traktorów, sięgających swoją genezą czasów przedwojennych, nastąpił wraz z upadkiem komunizmu. Wówczas dość nieśmiało pojawiły ciągniki z Zachodu. Nieśmiało, ponieważ chociaż Polska Rzeczpospolita Ludowa nazywała się państwem ludzi pracy, to jednak władza nimi gardziła. Narzędzia pracy były prostackie i prymitywne, wszelkie udogodnienia i wygody były wyśmiewane jako niepotrzebne luksusy. No bo kto to słyszał, żeby ciągnik rolniczy miał klimatyzację i ergonomiczny fotel?! I chociaż PRL nie istnieje od blisko 30 lat, to tego rodzaju myślenie przetrwało do dzisiaj.

Klimatyzacja i ergonomiczny fotel to minimum wygód, które są potrzebne podczas żniw, gdy temperatura w słońcu przekracza 50 st. C, a praca zaczyna się przed świtem i kończy po zmierzchu. Silnik o mocy kilkuset koni mechanicznych pozwala na zamontowanie kilkukrotnie wydajniejszych urządzeń i kilkukrotne przyśpieszenie pracy. Równie potrzebne wydaje się wspomaganie kierownicy, bo przecież pole nie ciągnie się kilometrami i trzeba bardzo często zawracać. I automatyczna skrzynia biegów, bo traktory mają kilkanaście biegów do przodu i kilka wstecz! Czy lodówka to nadmiar luksusu czy też środek do zwiększenia wydajności, dzięki ograniczeniu zjazdów do domu na posiłki?

Kolejny kamień milowy polskie ciągniki rolnicze przekroczyły 1 maja 2004 r., gdy Rzeczpospolita stała się częścią Unii Europejskiej. Wówczas w traktorach na masową skalę zaczęły pojawiać się komputery. Wcześniej były tylko dodatkiem ułatwiającym pracę. Teraz są bez mała koniecznością. Wcześniej spór o miedzę kończył się co najwyżej bójką – jak między Kargulem i Pawlakiem – i ucieczką do Ameryki (jeśli bójka była zbyt agresywna). Teraz spór o miedzę kończy się gorzej: zaangażowaniem Komisji Europejskiej ds. rolnictwa i rozwoju obszarów wiejskich, problemami z otrzymaniem dopłat, zwarciem pomiędzy Warszawą i Brukselą i kryzysem na olbrzymią skalę. Lepiej więc wyposażyć swój traktor w porządny komputer, porządny odbiornik GPS i porządne oprogramowanie...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl ac2b0923d8

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



eprasa.pl ac2b0923d8

DZISIAJ

GŁÓWNE WYDANIE INFORMACJI

codziennie
18:30



zaprasza **Piotr Kieraga**

REPUBLIKA

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną oraz poprzez dostępną telewizję naziemną w województwie śląskim i okolicach. Dostępna jest również dla odbiorców korzystających z nadajnika MUX w Katowicach i okolicach, a także w internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl ac2b0923d8

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

Wzruszający album

poświęcony najbardziej bezbronnym polskim ofiarom II wojny światowej – czyli dzieciom.



Wydanie polsko-angielskie

Pełna oferta na www.ksiegarniaipn.pl • Fb.com/ksiegarnia.ipn

ksiegarniaipn.pl

eprasa.pl ac2b0923d8